



BRENDA JOYCE ZOSTAĆ DAMĄ

NR 1 01/11 INDOS 2014/4 CENA 14,99 ZŁ W TM 4,95 ZŁ

POWIEŚĆ  
*Historyczna*  
HARLEQUIN®

# BRENDA JOYCE

WYBITNA AUTORKA Z LISTY  
BESTSELLERÓW NEW YORK TIMES

RÓD DE WARRENÓW

## ZOSTAĆ DAMĄ



# Joyce Brenda

Ród de Warenne'ów (Rodzina Warenne) tom 09

## Zostać damą

*Jamajka, Anglia, Irlandia, 1820*

*Amanda i Cliff; córka pirata i znany żeglarz pozostający w służbie Korony; zuchwała dziewczyna i przestrzegający honorowego kodeksu dżentelmen; nieokiełznana piękność i bywały w salonach uwodziciel. Czy będzie z nich para?*

*Śmierć skazanego na szubienicę ojca to dla Amandy nie tylko powód do głębokiego smutku. To także koniec beztroskiego, pełnego przygód życia na Jamajce. Nie może sama zostać na wyspie, której mieszkańcy nie bez przyczyny nazwali ją Dzikuską. Wychowywana przez ojca, wie, że w Anglii mieszka jej matka, dama obracająca się w najlepszym towarzystwie. Amanda przyjmuje pomoc urzeczzonego jej urodą Cliffa de Warenne'a. Słynny żeglarz zabiera ją na pokład swojego płynącego do Europy statku. Czując się odpowiedzialny za pełną temperamentu dziewczynę, trzyma na wodzy własną namiętność. W Londynie zamierza przekazać Amandę jej matce. Tymczasem...*

## **Rozdział pierwszy**

### ***Jamajka, Spanish Town, Pałac Królewski 20 czerwca 1820***

Był najślynniejszym szlachcicem korsarzem, a ponieważ słowa „szlachcic” i „korsarz” nigdy nie idą w parze, bawił go fakt, że ten zaszczyt przypadł mu w udziale.

Z niewesołą miną Cliff de Warenne, trzeci, najmłodszy syn hrabiego Adare'a, spoglądał na szubienicę. Był człowiekiem sukcesu i nie zdarzyło mu się przegrać bitwy czy zgubić ściganego statku, ale nie lekceważył śmierci. Jak niedawno policzył, umknął jej już sześć razy i zakładał, że szczęście nie opuści go jeszcze co najmniej trzykrotnie.

Śmierć przez powieszenie zawsze przyciąga tłumy. Do miasta ściągnie łotr i plantator, dama i dziwka, żeby oglądać pirata, który zadynda na

szubienicy. Będą dyszeć z oczekiwania i podniecenia, zaklaszczą, kiedy rozlegnie się drażniący trzask łamanego karku.

Cliff był wysokim, smukłym mężczyzną o przydługich, rozjaśnionych przez słońce blond włosach i złotawobrazowej karnacji, o olśniewająco niebieskich oczach, z których słyneeli mężczyźni z rodu de WARENNE'ÓW. Ubranie, które miał na sobie - skórzane wysokie buty, białe irchowe bryczesy i koszula z delikatnego lnu - było proste i praktyczne. Za to nie brakowało mu broni. Zdobyty w trudzie majątek przysporzył mu wrogów, więc nawet w kulturalnym towarzystwie zawsze nosił sztylet za pasem, a drugi, długi i wąski, za cholewą.

Był spóźniony na spotkanie z gubernatorem kolonii, ale na placu pojawiło się kilka modnie ubranych dam, z których jedna była prawdziwą pięknoscią. Kobiety zerkaly na niego i szeptały z ozywieniem, zmierzajac w strone miejsca kazni. Móglyby bez trudu zaciagnac jedna z nich do lozka, ale bijaca od nich zardza krwi budzila w nim szczerą odrazę.

Majac za plecami imponujace wrota Palacu Królewskiego, patrzył na damy, które podeszły spacerkiem do szafotu. Jak wszyscy mężczyźni z rodu, Cliff był bardzo męski. Sukcesy odnosil nie tylko na morzu, ale i w alkowie. Bez trudu móglyby wykorzystac niezdrową fascynację dam na innym polu, wiedzial o tym doskonale. Blondynka była żoną znajomego plantatora, ale ciemnowłosa piękność musiała zjawić się tu niedawno. Ona jednak wiedziała, kim on jest, zdradził to jej uśmiech:

„Słyszałam o tobie, mogę być twoja, jeśli zechcesz”.

Nie chciał. Skłonił się z galanterią, a dama przetrzymała jego spojrzenie, po czym odwróciła się. Wedle prawa był kupcem zamorskich dóbr, szlachetnie urodzonym dżentelmenem, lecz tylko wtedy, gdy nie posługiwał się listami kaperskimi. Wówczas wszystko się zmieniało. Otaczała go złowroga aura wyjętego spod prawa awanturnika. Jedna z kochanek nazywała go nawet piratem, to słowo działało na nią jak afrodyzjak. Zresztą prawda była taka, że choć Cliff wychował się w arystokratycznym domu, wolał SpanishTown od Dublina, Kingston od Londynu, Jamajkę od

Zjednoczonego Królestwa, i nie robił z tego tajemnicy. Na morzu, w pogoni za łupem, nie można być dżentelmenem. Szlachetność oznaczałaaby śmierć.

Nie przejmował się plotkami. Dokonał wyboru i żył, jak chciał, nie korzystając z pomocy ojca, aż zyskał sławę jednego z najznakomitszych panów morza. Choć tęsknił za Irlandią, wolnym człowiekiem czuł się tylko na pełnym morzu. Nawet w posiadłości ojca, w otoczeniu ukochanej rodziny, nie opuszczała go świadomość, że w niczym nie przypomina dwóch starszych braci, mających pierwszeństwo w sukcesji. Przywiązani do ziemi, gotowi do objęcia lordowskich obowiązków, gdy on był wolnym strzelcem. Towarzystwo słusznie wytykało mu ekscentryczność i ryobcowanie.

Już miał wejść do pałacu, kiedy do grupy dołączyły dwie damy. Tłum na placu powiększał się z minuty na minutę. Po chwili do pań doszedł

szlachetnie urodzony bogaty kupiec z Kingston, a także kilku marynarzy.

- Mam nadzieję, że smakował mu ostatni posiłek

- zaśmiał się jeden z nich.

- Podobno poderżnął gardło oficerowi brytyjskiej marynarki - wykrztusiła ciemnowłosa dama.

- I wymalował swoją kabinę jego krwią, podłogę, ściany, sufit... Tak było?

- To stara piracka tradycja - z ohydny uśmiechem oznajmił marynarz.

Na tak absurdalne oskarżenie Cliffowi nie pozostało nic innego, jak wznieść oczy do nieba.

- Czy wieszają tu wielu piratów? - zapytała podekscytowana piękność.

Zanosi się na niezły cyrk, pomyślał z niesmakiem i ruszył w swoją stronę.

Jak na ironię Rodney Carre był jednym z najmniej groźnych piratów. Zawiśnie tylko dlatego, że gubernator Woods chciał ostrzec innych. Przewinienia Carre'a były niczym w porównaniu z bezprawiem kubańskich piratów grasujących na Karaibach, tyle że Carre dał się złapać.

Cliff tedwie go znał. Carre często zjawiał się w Kingston, by rozładować lub naprawić statek, a dom Cliffa, Windsong, znajdował się na północno-zachodnim krańcu ulicy Portowej. Przez te wszystkie lata zamienili kilka zdawkowych słów, kłaniali się sobie, to wszystko. Cliff nie miał specjalnego powodu, by przejmować się jego losem.

- A córka pirata? - zapytała podnieconym głosem jedna z kobiet. - Czy i ją powieszają?

- Dzikuskę? - podchwycił dżentelmen. - Nie została złapana. Zresztą nikt na wyspie nie zarzuci jej przestępstwa, jak myślę.

Cliff zasepił się. Carre zostawi córkę, która jest zbyt młoda, by oskarżyć ją o piractwo, nawet jeśli towarzyszyła ojcu w wypadach.

To nie moja sprawa, pomyślał, kontynuując drogę do Pałacu Królewskiego. A jednak zachował w pamięci żywy obraz dziewczyny. Zerkał na nią nieraz, gdy w samej tylko koszuli pruła wodę i igrała z falami jak delfin lub stała nieustraszenie na dziobie kanoe, jakby drwiąc z wiatru i morza. Nigdy nie zamienił z nią choćby słowa, ale, jak każdy na wyspie, znał ją z widzenia. Wolna, dzika,

nieujarzmiona. Kiedy przemierzała plaże wyspy i ulice miasta, nie sposób było nie dostrzec jej długich, splątanych włosów w kolorze księżyca. Tak, była dzika i wolna, a on z dala podziwiał ją od lat.

Nie było sensu dumać o tym. Nawet nie będzie go jutro w Spanish Town, kiedy Carre zawiśnie na szubienicy. Musiał skupić się na tym, dlaczego wezwał go gubernator Woods. Byli dobrymi znajomymi, łączyła ich troska o strategiczne, a nawet legislacyjne problemy wyspy i nieraz podejmowali wspólnie decyzje. Woods prowadził stanowczą politykę, za co Cliff go szanował. Ta znajomość miała również prywatny charakter. Kilka razy zabawili się wspólnie, bo gdy żony nie było w pałacu, Woods nie gardził towarzystwem dam.

Dwóch żołnierzy wyprężyło się, kiedy mijał szóstą jońską kolumnę podtrzymującą fronton, na którym widniało godło brytyjskie, i podszedł do wrót rezydencji.

- Kapitanie de Warenne - rzekł jeden z nich. - Gubernator Woods prosi pana do siebie.

Po chwili Cliff znalazł się w ogromnym, tonącym w bogactwie holu i przestąpił próg salonu przyjęć.

Thomas Woods z uśmiechem wstał zza biurka.

- Cliff, witam, drogi przyjacielu!

Uścisnęli sobie dłonie. Gubernator był szczupłym, wysokim mężczyzną po trzydziestce.

- Dzień dobry, Thomasie. Widzę, że wyrok zostanie wykonany zgodnie z planem - wyrwało mu się mimo woli.

- Owszem. - Woods nie krył satysfakcji. - Długo cię nie było, więc nie masz pojęcia, co to znaczy.

- Oczywiście, że mam. - Cliff znów pomyślał o niepewnej przyszłości córki pirata. A gdyby tak przed egzekucją odwiedził skazańca? Może coś zdołają ustalić. - Czy Carre jest w Fort Charles?

- Został przetransportowany do więzienia sądowego. - Nowy gmach sądu, ukończony rok temu, wznosił się na wprost Pałacu Królewskiego, po drugiej stronie placu. Woods podszedł do baru wbudowanego w potężny holenderski kredens, nalał dwa kieliszki wina i podał jeden gościowi. - Za jutrzejszą egzekucję, Cliff.

Cliff nie przyłączył się do toastu.

- Może powinieneś podjąć próbę schwytania piratów pływających pod banderą generała José Artigasa - powiedział, mając na myśli wojowniczego pół Indianina, pół Hiszpana, który walczył zarówno z Portugalią, jak i Hiszpanią. - Rodney Carre nie ma nic wspólnego z tymi żadnymi krwi złoczyńcami, mój drogi.

- No cóż, a ja miałem nadzieję, że to ty schwytasz ludzi Artigasa. - Uśmiech Woodsa był uprzejmy, ale stanowczy.

Cliff polowanie miał we krwi, więc propozycja żywo go zainteresowała, jednak w tej chwili zamierzał drażnić inny temat.

- Carre nie był głupi i nie zagrażał brytyjskim interesom - zauważył, wypijając łyk czerwonego wina.



- Czyżbyś go uważał za przyzwoitego pirata? - zareagował ostro Woods. - Dlaczego go bronisz?

Został osądzony, uznany za winnego i zawisnie jutro w południe.

Jednak Cliff go nie słuchał. Przypomniawszy sobie pewną scenę. Włosy Dzikuski jaśniały niczym gwiazda, bluzka i bryczesy ociekały wodą. Wyciągnęła szczupłe ramiona i dała nurka do morza z dziobu słupa. Wracając w zeszłym roku do domu i stał na pokładzie rufowym fregaty „Fair Lady”, kiedy wypatrzył ją przez lunetę. Czekając, aż wypłynie, a kiedy zobaczył ją roześmianą, poczuł przemożną chęć ponurkowania razem z nią w turkusowej wodzie.

- A co z dzieckiem? - wyrwało mu się. Nie miał pojęcia, ile lat mogła mieć, ale była nieduża i szczupła, więc dawał jej nie więcej niż dwanaście, najwyżej czternaście.

- Córka Carre'a? Dzikuska? - zdumiał się gubernator. - Tym się trapisz?

- Słyszałem, że farma została skonfiskowana na rzecz Korony. Co stanie się z dziewczyną?

- Na Boga, Cliff, nie mam pojęcia. Może pojedzie do Anglii, gdzie podobno ma rodzinę, ale

raczej uda się do klasztoru Świętej Anny w Sewilli, gdzie siostry zakonne prowadzą ochronkę dla sierot i podrzutków.

Cliff aż się wzdrygnął. Dla tak wolnej, nieokiełznanej istoty byłoby to równoznaczne z uwięzieniem. Dowiedział się natomiast, że to dziecko ma rodzinę w Anglii. No tak, Carre był kiedyś oficerem marynarki brytyjskiej, więc nic dziwnego.

- Dziwnie się zachowujesz, przyjacielu - zauważył Woods. - Zaprosiłem cię, bo liczę, że przyjmiesz moje zlecenie.

Cliff odsunął od siebie myśli o córce Carre'a.

- Czy mogę mieć nadzieję, że poszukujesz El Toreadora? - Chodziło o najbardziej bezwzględnego awanturnika siejącego postrach na wodach.

- Możesz. - Woods uśmiechnął się szeroko.

- Byłbym usatysfakcjonowany, mogąc przyjąć to zlecenie. - Pogoń za bandytą z całą pewnością poprawi mu humor, uwolni od napięcia nerwowego, które jak zawsze gnębiło go na lądzie. Od trzech tygodni zaszył się w Windsong, zwykle nie przebywał tu dłużej niż miesiąc. Czas opuścić port. Jedyne, czego będzie mu brakować, to dzieci. W domu są córka i syn i zawsze, gdy pływa po morzu lub przebywa za granicą, strasznie za nimi tęskni.

- Może zjedlibyśmy razem obiad? Poleciałem szefowi kuchni przygotować twoje ulubione potrawy. - Uradowany Woods uścisnął ramię Cliffa. - Porozmawiamy o szczegółach misji, chętnie też wysłucham twojej opinii na temat nowych przedsięwzięć w Indiach Wschodnich.

Cliff już miał przyjąć zaproszenie, kiedy żołnierze trzymający wartę przy wejściu do pałacu podnieśli alarm. Błyskawicznie sięgnął po sztylet.

- Cofnij się - nakazał Woodsowi. Gubernator zbladł, w jego ręku pojawił się nieduży pistolet, posłuchał jednak i udał się pośpiesznie w głąb salonu, a Cliff zamaszystym krokiem wyszedł do holu. Usłyszał jęczącego z bólu żołnierza.

- Wstęp wzbroniony! Nie wolno wchodzić do środka! - wołał drugi.

Frontowe drzwi otworzyły się z impetem i do pałacu, wymachując pistoletem, wpadła drobna kobieta z burzą jasnych włosów.

- Gdzie gubernator? - zapytała gromko, celując w Cliffa.

Przepiękne szmaragdowe oczy przeszły go na wylot. Z wrażenia zapomniał o skierowanym w jego czoło pistolecie. Dzikuska nie była dzieckiem, tylko młodą kobietą, piękną przy tym. Miała trójkątną twarz o wysokich kościach policzkowych, zgrabny prosty nosek i pełne, ponętne usta, ale najbardziej olśniły go intrygujące i egzotyczne, jak u dzikiego kota, oczy.

Puszczane swobodnie długie włosy w kolorze jaśniejszego księżycy kręciły się samowolnie. Ubrana była w wielgachną męską koszulę sięgającą do połowy ud, pod którą rysował się zarys piersi. Nogi zakryte bryczesami, w chłopięcych butach z cholewami, były długie i zdecydowanie kobiece.

Jak mógł nawet z daleka wziąć ją za dziecko!

- Rozum panu odebrało? - krzyknęła. - Gdzie jest Woods?

Wymusił na sobie coś na kształt uśmiechu.

- Panno Carre, proszę nie mierzyć we mnie. Czy jest naładowany? - silił się na spokój.

Pobladła, jakby dopiero go rozpoznała.

- De Warenne. - Pistolet zadrżał w jej dłoni.

- Woods. Muszę się widzieć z Woodsem.

A więc jednak go znała. Skoro tak, musi wiedzieć, że nie ma z nim żartów. Że każdy, kto będzie wymachiwał mu bronią przed nosem, zginie na miejscu. Czy jest aż tak odważna, czy taka głupia? Lub zdesperowana? Uśmiechnął się szerzej, choć nie było mu do śmiechu. Musi zażegnać kryzys, zanim ją zranią czy aresztują.

- Proszę oddać pistolet, panno Carre. Potrząsnęła głową.

- Gdzie on jest?

Zanim się zorientowała, złapał ją za nadgarstek i odebrał broń.

Łzy wściekłości napłynęły jej do oczu

- Niech to diabli! - Walnęła go pięścią, w furii biła na oślep.

Podał pistolet jednemu z żołnierzy i chwycił jej drugą rękę. Starał się przy tym nie sprawić jej bólu.

Była zdumiewająco silna, choć taka szczupła i drobna. Oczywiście z nim nie miała szans.

- Proszę przestać. Zrobi sobie pani krzywdę

- powiedział łagodnie.

Wiła się jak dzika kotka. Sycząc i prychnając, próbowała wydrapać mu oczy, gdy na moment uwolniła rękę.

- Dość - rozkazał stanowczo. - Ze mną pani nie wygra.

Kiedy zwarli się wzrokiem, znieruchomiła, on zaś poczuł przyływ współczucia. Nawet jeśli ma osiemnaście lat, to z uwagi na niekonwencjonalne wychowanie jest jeszcze dzieckiem pod wieloma względami. A teraz ujrzał coś więcej niż desperację w jej oczach. Ujrzał strach.

Jutro powieszają jej ojca, a najwyższą władzą był tu gubernator.

- Na pewno nie zamierzasz zamordować mojego przyjaciela Woodsa?

- Zrobiłabym to, gdybym tylko mogła! Jednak odłożę to na później! - Znow zaczęła się wyrywać. -

Przyszłam błagać go o ułaskawienie mojego ojca.

Miał wrażenie, że serce mu pęka.

- Jeśli cię puszcze, nie będziesz się rzucać? Mogę ci załatwić audiencję u gubernatora.

Nadzieja zabłysła w jej oczach.

- Tak - wyszeptała.

Targały nim dziwne uczucia. Że też w takiej chwili zastanawia się, ile panna Carre może mieć lat!

Oczywiście nie był nią zainteresowany, nie w taki sposób. Skądże! Za młoda, do tego jest córką pirata.

Ostatnią metresą Cliffa była habsburska księżniczka, uchodząca za największą piękność Starego Kon-

tynentu. Z kolei egzotyczną i nadzwyczaj urodziwą konkubinę, zmarłą już matkę jego dziecka, wziął

do haremu księżę maghrebski. Rachel była Żydówką, kobietą światłą i wykształconą, jedną z

najinteligentniejszych, jaką kiedykolwiek spotkał. Był bardzo wymagający, gdy chodzi o damy serca.

Porzucone dzikie dziecko wymachujące pistoletem w sposób,

w jaki inne kobiety noszą parasolkę, nie powinno go zainteresować.

- Zachowasz się, jak należy - nakazał ostro. Zaniepokoił go jej ironiczny uśmiezek. Czyżby ukryła gdzieś broń, na przykład pod tą obszerną koszulą? Wprawdzie nie była damą, ale niezręcznie byłoby ją przeszukać. - Panno Carre, proszę dać słowo, że podczas audiencji zachowa się pani przykładnie i z należyty szacunkiem wobec gubernatora.

Zrobiła minę, jakby nie rozumiała, pokiwała jednak głową.

Dotknął jej ramienia, by skierować ją do salonu, ale obruszyła się, więc nie ponowił próby.

- Thomas? Zechciej, proszę, wyjść na chwilę. Chciałbym ci przedstawić pannę Carre.

Po chwili Woods stanął w progu. Minę miał groźną, na policzkach pojawiły się rumieńce,

- To już nawet pierwsze lepsze dziecko z ulicy może przebić się przez moją straż? - Był bliski wybuchu.

- Martwi się o ojca - wyjaśnił Cliff - czemu trudno się dziwić. Obiecałem, że jej wysłuchasz.

- Zaatakowała moich ludzi! - pieklił się Woods. - Robards, doznałeś jakiegoś uszczerbku?

Żołnierz wyprężył się.

- Nie, sir. - Zaczerwienił się. - Przepraszam, panie gubernatorze, za to najście.

- Jak jej się udało was wyminąć i wtargnąć aż tutaj? - indagował wściekły Woods.

- Nie wiem, proszę pana... - Robards przypominał teraz ugotowanego raka.

- Poprosiłam, żeby pomogli znaleźć mojego szczeniaczka - oznajmiła Dzikuska z naiwną miną, patrząc na gubernatora i trzepocząc rzęsami, po czym zakołysała lekko biodrami i wybuchnęła płaczem. - Byli taaacy zatroskani!

Cliff uśmiechnął się pod nosem. Panna Carre umiała robić użytek z kobiecego wdzięku, nie była więc aż takim niewiniątkiem.

Woods zmierzył ją lodowatym wzrokiem.

- Aresztować ją!

Spojrzała przerażona na Cliffa.

- Obiecał pan!

Zasłonił ją sobą, zastępując drogę wartownikom.

- Nie róbcie tego! - ostrzegł łagodnym tonem. Ci, co go znali, wiedzieli, że gdy mówił w taki sposób, szczególnie należało się mieć na baczności.

Wartownicy go znali, zastygli więc w bezruchu.

- Cliff! Ona napadła na moich ludzi! - zaprotestował Woods.

- A pan wieśa mojego ojca! - krzyknęła Dzikuska, piorunując wzrokiem gubernatora.

Cliff chwycił ją za ramię, by nie zrobiła czegoś głupiego, ale też by ją bronić.

- Thomasie, jeśli mnie pamięć nie myli, winien mi jesteś co najmniej jedną przysługę. Chcę, żebyś ją teraz spłacił. Wysłuchaj panny Carre.

- Do licha, de Warenne! Dlaczego to robisz?

- Proszę, wysłuchaj jej - aksamitnym głosem powtórzył Cliff.

Woods wiedział, że to nie prośba, a rozkaz. Owszem, był tu najwyższą władzą, lecz de Warenne to de Warenne.

Gestem nakazał Dzikusce wejść przed sobą do salonu.

Zmrużyła piękne szmaragdowe oczy.

- Pan pierwszy - powiedziała z lodowatym uśmiechem. - Nigdy nie idę przodem, nie trzymam wrogów za plecami.

Cliff przyklasnął jej w głębi duszy, nadal jednak nie był przekonany, czy nie ukrywa dodatkowej broni.

Dzikuska już miała wejść za nim, kiedy przechwycił jej skryty uśmiech. Złapał ją za ramię.

- Hola! Co pan wyprawia? Szeptem, by Woods nie słyszał, spytał:

- Na pewno nie masz broni?

- Jeszcze nie oszalałam - odpowiedziała, patrząc mu w oczy. - Oczywiście, że nie.

Nie zaczerwieniła się, nie spuściła na moment wzroku. A przecież wiedział, że kłamie.

Ścisnął mocniej jej ramię. Zaczęła protestować, próbowała się wyrwać, ale na próżno.

- Przykro mi. - Wiedział, że się czerwieni, kiedy przez koszulę sprawdzał ją, spodziewając się znaleźć ukryty pistolet. Talię miała jak osa.

- Precz z łapami - wykrztusiła oburzona.

- Cicho. - Przesunął dłoń w okolice krzyża, starając się nie myśleć, co będzie dalej.

- Rozpustnik!

- Uspokój się! - Badał talię z drugiej strony.

- Zadowolony? - zapytała purpurowa z wściekłości, wijąc się niemiłosiernie.

- Nie pogarszaj swojej sytuacji. - Z lewej strony talii wyczuł to, czego szukał.

Dzikuska próbowała przyłgnąć do niego. Przyszpilił ją wzrokiem, wsunął rękę pod koszulę i trafił na ostrze sztyletu.

- Niech to diabli! - syknęła, próbując się wywinąć. Doznał wstrząsu, gdy chwytając nóż, musnął dłonią krągłą, nagą pierś. Znieruchomieli.

- Bydlak! - Wyrwała się.



Próbował oddychać, ale był zbyt pobudzony. Pod luźną, obszerną koszulą kryło się podniecające ciało dojrzałej kobiety. Wsunął skonfiskowany sztylet za pas i syknął:

- Kłamałaś!

Rzuciła mu złe spojrzenie i pomaszerowała za Woodsem do salonu.

Miał tylko nadzieję, że na biodrze albo na udzie nie zatknęła drugiego sztyletu. Nie pojmował swojej reakcji. Miał setki pięknych kobiet. Pożądał, kiedy mu to odpowiadało. Nie był niedoświadczonym młokosem, kontrolował swoje emocje. Przyływ pożądania wobec Dzikuski, w tak niestosownej chwili czy kiedykolwiek, był ze wszech miar absurdalny, ale ciało go zdradziło.

Niech to piekło pochłonie.

Wszedł zamaszystym krokiem do salonu, nie zamykając za sobą drzwi. Gubernator rozsiadł się w reprezentacyjnym fotelu, by dodać sobie godności. Pogardliwym gestem dał znak, że Dzikuska może zabrać głos.

Cliff wiedział doskonale, że Woods podjął już decyzję i niezależnie od tego, co powie lub zrobi Dzikuska, pozostanie przy swoim.

Lecz oto panna Carre zaczęła płakać. Łzy spływały po prześlicznej twarzyczce. Cliff wyczuł, że wprawdzie po części są na pokaz, ale biorą się również ze strachu i desperacji.

- Pozwól, by przedstawiła swoją sprawę - powiedział do gubernatora.

- Nie ma takiej potrzeby - rzucił niesamowicie wściekły Woods.

- Proszę - wyszeptała, przyciskając do siebie ręce jak w modlitwie. Ten gest sprawił, że naciągnęła koszulę, ukazując kształt zdumiewająco bujnych piersi. Przez chwilę obaj, bo i gubernator nie pozostał obojętny na jej wdzięki, wpatrywali się w nią błędnym wzrokiem. - Sir, mam tylko ojca. To dobry człowiek, dobry ojciec. Nie jest piratem, tylko plantatorem. Proszę pojechać do Belle Mer i przekonać się na własne oczy. Od lat mamy jedne z najlepszych zbiorów!

- Przecież oboje wiemy, że dopuścił się wielu pirackich czynów - zaoponował Woods.

Panna Carre osunęła się na kolana. Cliff poczuł, jak cały sztywnieje. Jej twarz znajdowała się na wysokości kolan Woodsa. Czy zdawała sobie sprawę z tej wielce prowokującej pozycji?

- Pan się myli! Nigdy nie był piratem! Sądzę się pomylił! Ojciec był korsarzem. Pracował dla Wielkiej Brytanii, tropił piratów, tak jak kapitan de Warenne. Jeśli mu pan daruje karę, nigdy więcej nie będzie żeglował, przenigdy.

- Panno Carre, proszę wstać. Oboje wiemy, że twój ojciec nie ma nic wspólnego z lordem de Warenne'em.

Nie posłuchała. Jej opuchnięte z płaczu wargi zaczęły drżeć. Nawet gdy stała, jej zachowanie było ze wszech miar prowokacyjne, ale na kolanach wyglądała jak wytrawna dziwka przed klientem. Woods nie odrywał oczu od jej ust. Miał napiętą twarz, ciemne oczy zrobiły się czarne.

- Nie mogę go stracić - ciągnęła gardłowym szeptem. - Jeśli go pan ułaskawi, tata będzie przestrzegać prawa jak święty. A ja... - Przerwała, oblizując wargi. - A ja będę panu tak wdzięczna, na zawsze wdzięczna, zrobię wszystko, o co... mnie pan poprosi...

Woods wybałuszył oczy, ale na krok nie ruszył się z miejsca.

Cliff nie wierzył własnym uszom. Czy była zdolna sprzedać się za ojca? Schwycił ją za ramię, by postawić na nogi, lecz nie uległa mu.

- Wystarczy.

Rzuciła mu mordercze spojrzenie.

- Nikt cię tu nie potrzebuje! Zostaw mnie. Rozmawiam z gubernatorem! Zajmij się własnymi sprawami!

- Kupczenie sobą to coś więcej niż rozmowa. - Czuł narastającą wściekłość. Znow spróbował podnieść ją z klęczek. - Milcz lepiej. - Popatrzył na Woodsa. - Thomas, czy nie można go ułaskawić? Jeśli dać wiarę córce, Carre zrezygnuje z wypadów. Jeśli nie, obiecuję, że osobiście go doprowadzę. Woods podniósł się powoli, spojrzał przelotnie na Cliffa, potem utkwiał wzrok w Dzikusce, która już stała, wyprostowana i drżąca.

- Zastanowię się nad twoją propozycją, panno Carre.

Zrobiła wielkie oczy. Podobnie jak Cliff.

- Naprawdę?

- Zajmę się tym wieczorem. - Zamilkł, chcąc, by wypowiedziane słowa dotarły do adresatki.

Cliff, dla którego intencje gubernatora były aż nadto czytelne, zagotował się z wściekłości.

Dzikuska, nie mając tego doświadczenia co oni, potrzebowała trochę więcej czasu. Po chwili zaczerwieniła się.

- Więc mogę poczekać tutaj na pańską decyzję?

- Oczywiście. - Woods wreszcie się do niej uśmiechnął.

- I pomyśleć, że uważałem cię za przyjaciela

- warknął Cliff.

- Przecież sam byś skorzystał z takiej okazji. Bronisz jej cnoty? - rzucił rozbawiony.

- Domyślam się, że pani Woods przebywa w Londynie?

- We Francji - odparł beztrąsko. - Uspokój się, Cliff. Zjedzmy wreszcie lunch, skoro panna Carre zostanie i zaczeka na moją decyzję.

- Przykro mi, ale straciłem apetyt. - Cliff odwrócił się do Dzikuski. - Idziemy.

- Zostaję - oznajmiła twardo.

- Nie ma mowy! - powiedział zdecydowanie. W jej oczach znów pojawiły się łzy.

- Idź sobie, de Warenne - szepnęła z rozpaczą.

- Zostaw mnie w spokoju.

Walczył z sobą. Co go to w końcu obchodzi? Przecież nie jest jej opiekunem.

- Posłuchaj... pani - miękkiem głosem odezwał się Woods. - Nic złego jej się nie stanie, Cliff. Może nawet będzie zadowolona.

Ogarnęła go furia. Wyobraził sobie, jak Woods obłapia Dzikuskę, bezlitośnie wykorzystuje jej smukłość, ponętne ciało.

- Nie rób tego, Thomas.
- Dlaczego? Jest piękności^, nawet jeśli pachnie odrażająco. Pachniała morzem. Nie był to odrażający zapach.
- Spodziewa się, że ułaskawisz jej ojca.
- A ty jesteś jej orędownikiem? - ze śmiechem spytał Woods.
- Wolałbym nie być niczym obrońcą.
- Przestańcie mówić o mnie, jakby mnie tutaj nie było! - krzyknęła.

Cliff spojrział jej w oczy.

- Chodź ze mną. Nie musisz tego robić. Twarz miała bladą jak płótno.
- Muszę uwolnić ojca.
- Więc weź dowód na piśmie. Twoje usługi za jego ułaskawienie - powiedział brutalnie.
- Nie umiem czytać...

Cliff syknął, po czym zwrócił się do gubernatora:

- Będiesz umiał z tym żyć, Thomas?
- Na Boga, to córka pirata.

Cliff odwrócił się do niej, ale nie chciała na niego patrzeć. Był wściekły na nią, na Woodsa i na siebie. Wybiegł z pałacu, by odciąć się od tej odrażającej transakcji.

Gromadziły się chmury, od morza wiał rześki wiaterek. Spanish Town było oddalone dwanaście

i pół mili od wybrzeża, wiedział jednak, że warunki do żeglowania będą sprzyjające. Zapraagnął ścigać się z wiatrem na pełnych żaglach.

Waliło mu w skroniach. Czy może teraz uciec? Zasepił się. W końcu co go obchodzi Dzikuska.

Niby nic... ale jest naiwna, nie rozumie sytuacji. Wydaje jej się, że ciałem kupi wolność ojca, podczas gdy prawda jest taka, że Woods ją wykorzysta, po czym i tak powiesi Carre'a.

Jamajka była jego domem. Choć spędzał tu ledwie kilka miesięcy w roku, należał do ścisłej elity, a większość ważnych dla wyspy decyzji zapadała z jego przyzwoleniem. Był przy tym, jak pojmano Carre'a, i powinien nie dopuścić, by sprawa trafiła do sądu. Niestety, stało się inaczej, a wiadomość o tym podała prasa, i nie tylko „Jamaican Royal Times”, ale większość gazet na wyspie. Nawet prasa amerykańska zamieściła informację o skazaniu pirata. Już za późno na wstrzymanie egzekucji.

A Woods był energicznym i skutecznym gubernatorem. Cliff popierał jego starania, by rozprawić się z kubańskimi rozbójnikami. Tak czy inaczej, musi pozostać z nim w dobrych stosunkach. Mają zbyt wiele wspólnych interesów.

„Sir, mam tylko ojca. To dobry człowiek, dobry ojciec”.

Nie uratuje ojca, a już na pewno nie w łóżku Woodsa. Cliff zawrócił. Do licha, musi działać.

Ruszył w kierunku pałacu.

- Obawiam się, że będę musiał jeszcze raz niepokoić gubernatora.

- Przykro mi, kapitanie - odpowiedział zakłopotany Robards. - Gubernator zarządził, żeby mu już dzisiaj nie przeszkadzać.

- Ta sprawa nie może czekać. - Jego głos stał się dziwnie łagodny.

- Przykro mi bardzo... - powtórzył żołnierz. Cliff położył rękę na rękojeści szabli, przeszedł mimo Robardsa i otworzył frohtowe drzwi. Przytłoczyła go panująca w domu cisza. Serce mu biło jak oszalałe. Zaczął szukać Woodsa i Dzikuski.

Nigdy nie był w prywatnych pokojach gubernatora, domyślił się jednak, że apartament znajduje się w zachodnim skrzydle, jak w większości georgiańskich budowli.

Pognał zachodnim korytarzem, zaglądając do czterech pustych pokojów gościnnych. Dopiero zza ostatnich drzwi usłyszał przytłumiony męski śmiech.

Zawrzał z gniewu. Oby nie było za późno! Wpadł do środka i zobaczył ich.

Woods stał pośrodku sypialni obok wielkiego łóża z baldachimem. Zrzucił surdut, kamizelkę i koszulę, obnażając muskularny tors. W rozpiętych spodniach widać było jego przyrodzenie.

Obok stała ona. Nad wyraz skąpy i przezroczysty szafirowoniebieski szlafrok bezwstydnie eksponował smukłe, opalone uda, aksamitny brzuch i dorodne, pełne piersi. Biła od niej rozpacz, ale też dzika determinacja. Nie ustąpi tak łatwo, pomyślał Cliff.

Podszedł zdecydowanym krokiem do Woodsa, który był tak zajęty swoją ofiarą, że zobaczył Cliffa, dopiero gdy ten podniósł na niego pięści. Krzyknął,

ale Cliff rzucił go jednym ciosem na ścianę, po którym Woods osunął się bezwładnie na ziemię. Stał nad nim, złapał za włosy i gwałtownym ruchem odchylił mu głowę.

- Towarzystwo będzie zachwycone tą pikantną ploteczką, nie uważasz? - warknął.

- Jesteśmy... przyjaciółmi! - jęknął Woods.

- Już nie! - Cliff walczył z sobą, żeby nie uderzyć go ponownie. Wtem usłyszał stłumiony szloch. Podbiegł do niej. Była na czworakach, próbowała się pozbierać. Ukląkł, wziął ją pod ramiona, świadomy jej obnażonego ciała, a także tego, że Woods już wykorzystał ją w najnikczemniejszy sposób.

Spojrzała na niego z niemą skargą i błaganiem. Miał nadzieję, że jednak nie doszło do tego, czego się lękał.

- Zabieram cię stąd - powiedział łagodnie. Potrząsnęła głową, wprawiając go w osłupienie.

- Zostaw mnie... w spokoju - powiedziała urywanym szeptem.

Miał ochotę zabić byłego przyjaciela.

- Posłuchaj mnie! - Ujął jej twarz. - Nieważne, co zrobisz i ile razy to zrobisz, on i tak nie ulaskawi twojego ojca! Czy mnie rozumiesz?

- To jedyna szansa, by go uratować - wykrztusiła. Dopiero teraz zobaczył jej pękniętą wargę. Wziął Dzikuskę na rękę, a ona uczepliła się go kurczowo. Nie miał już wątpliwości, że chce ją chronić.

- Taka szansa nigdy nie istniała - rzekł ostrym tonem, unosząc ją z pokoju.

Zatrzymał się na korytarzu. Dopiero teraz dotarło do niego, że drzwi wejściowych pilnują wartownicy, a on właśnie zaatakował gubernatora. Musi jak najszybciej wydostać się stąd, najlepiej przez okno. Przyjacielskie stosunki z Woodsem skończyły się raz na zawsze, niemniej powinni nadal trzymać wspólny front i razem pracować dla dobra wyspy, jeśli Cliff w dalszym ciągu chce mieć tu swoją bazę. Nagle uświadomił sobie, że panna Carre dziwnie znieruchomiała. Popatrzył na nią. Zaczerwieniona przyglądała mu się, obejmując go za szyję.



Spojrzał na jej piękne piersi, na szczupły tors i niżej, na sekretny trójkącik. Korsarzem bywał, ale urodził się dżentelmenem, toteż błyskawicznie przeniósł wzrok na twarz, czując, że i on się czerwieni. Niezdarnie próbował ją zakryć przezroczystą materia.

- Jak bardzo cię skrzywdził? - zapytał ochryłym głosem.

- Może mnie pan puścić? Usłuchał bezzwłocznie;

Uśmiechnęła się do niego, po czym z całej siły kopnęła go w goleń i zaczęła uciekać.

Próbował ją złapać, ale była zwinna, szybka i zdeterminowana. Pognała korytarzem, a szlafrok powiewał na nagim ciele jak sztandar. Gdy wreszcie dotarł do drzwi, nikogo już tam nie było.

Dzikuska zniknęła.

## Rozdział drugi

Amanda minęła tarasowe drzwi i przebiegła przez patio, niemal sfrunęła po białych, kamiennych schodach i znalazła się w ogrodzie. Nagle potknęła się i upadła na kolana. Zebrało jej się na wymioty, lecz od dawna nie jadła, nie mogła ze strachu o ojca, więc żołądek miała pusty. Padła na bujną, wilgotną trawę i rozsłochała się w głos.

Jutro w południe powieszają jej ojca. Interwencja u gubernatora była ostatnią szansą. Nie wdarła się do pałacu, by kupczyć ciałem, ale kiedy Thomas Woods popatrzył na nią w sposób, w jaki robią to żeglarze i prostacy, instynkt jej jednak podszeptał, co należy zrobić. Widziała już tak wiele. Pewna kobieta, mizdrząc się do ojca i pozwalając mu na wszystko, dostała od niego broszkę, kiedy indziej, za tę samą cenę, kupon jedwabiu. Wychowała się wśród żeglarzy, markietanek i nierządnic. Dziewczęta szybko poznawały, co jest ich najlepszą walutą, i tak to trwało, póki wdzięki nie przekwitły. Nie było gwałtów, bo nie było słówka „nie”. W tym świecie z jednej strony dominowała siła, a z drugiej spryt i uległość. I seks.

Jednak nie oddała się Woodsowi, bo Cliff de WARENNE powstrzymał ją od tego.

Ścisnęło ją serce. Dlaczego interweniował? Był najstłynniejszym korsarzem, bogaczem potężnym jak król. Nie miał równych sobie na morzu, nawet tata to mówił. Równie niebezpieczny był na lądzie. Tata. Już go opłakiwała, choć żył jeszcze. Jednak gdy w parze idą żal i strach, działają tak silnie jak opium, które kiedyś jej podsunęto.

Ojciec poderżnął gardło piratowi, który dał jej narkotyk i próbował uwieść. Rodney był pewien, że uwiódł... Wpadł w szal, dokonał rzezi na oczach córki.

Starął się strzec Amandę przed mężczyznami, nauczył władać szpadą, pistoletem i sztyletem, by była bezpieczna, gdy on przebywa poza domem. Bywało, że wyplýwał na długie miesiące. Zostawiał wtedy zapasy jedzenia, żeby nie była głodna. Był dobrym ojcem, a ona go zawiodła, i to w chwili, gdy ważyły się jego losy!

Musiła działać. Jak wydostać Rodneya z więzienia? Już rozważała ucieczkę z fortu, jednak nie miała kogo prosić o pomoc. Prawie cała załoga ojca poległa podczas bitwy z brytyjską jednostką, a dowodzący nią oficer zarekwirował „Amandę C”. Marynarze, którzy przeżyli, czekają na swoją kolej na szubienicy.

Nie da rady uwolnić go siłą, więc może powinna znów pójść do Woodsa?

Zebrało jej się na wymioty. W pałacu działała pod wpływem impulsu, chciała zrobić to, co robią kobiety w krytycznych sytuacjach, ale poczuła taki wstręt... To prawda, widziała wiele, jednak nikomu się nie oddała ani nikt jej nie zdobył. Nawet nie pocałował. Rodney Carre stawiał sprawę jasno: każdemu mężczyźnie, który ośmieli się to zrobić, poderżnie gardło, a genitalia rzuci na pożarcie rekinom.

De Warenne ją uratował.

Przycisnęła kolana do piersi. Nie była w stanie dłużej udawać, co naprawdę zaprzęta jej myśli. Jego bezinteresowne zachowanie wprawilo ją w osłupienie. Dlaczego interweniował? Znani jej ludzie zachowywali się rozważnie i egoistycznie, bo takie było prawo przetrwania. Obcy nie pomagają sobie nawzajem. Bo po co? Świat jest zbyt niebezpieczny, by wyciągać pomocną dłoń. Więc dlaczego ratował ją przed gubernatorem?

Na samo wspomnienie tego człowieka zasychało jej w gardle.

Zdezorientowana, przycisnęła dłonie do policzków. De Warenne patrzył na jej nagie ciało, ale patrzył też, kiedy weszła do Pałacu Królewskiego całkiem ubrana. Nikt dotąd nie patrzył na nią tak przenikliwie. Tego spojrzenia nie zapomni do końca życia. Gdyby jeszcze mogła zrozumieć, co ono znaczy.

Oczywiście znała go, bo kto go nie znał? Od razu rzucił się w oczy, gdy stał na rufie żaglowca, trzydziestośredniościłowej fregaty, którą ochrzcił „Fair Lady”. Potężny, imponującego wzrostu mężczyzna, z lwią czupryną. Czy takiego można nie zauważyć? I każdy wiedział, że wziął do niewoli czterdziestu dwóch dowódców pirackich okrętów w swej krótkiej jeszcze przecież, dziesięcioletniej karierze korsarza. W Indiach Zachodnich nikt nawet się nie zbliżył do tego rekordu.

Czuła się niepewnie, miała mętlik w głowie. Dlaczego taki mężczyzna pomógł właśnie jej? Był nie tylko zwykłym korsarzem. Był możnym i wpływowym panem. Jakże myliły się tutejsze wytwornice, gdy paplały konspiracyjnym szeptem, że większy z niego pirat niż dżentelmen. Piraci są paskudni, mają cuchnący oddech, brakuje im zębów, nie myją się. Nie znają litości, po ich przejściu wszędzie

jest krew i flaki, choć szanują przysięgę na wierność. Gdy ją złożą, nie masz bardziej sobie oddanych przyjaciół. Są jednak obrzydliwi. Cuchną, uwielbiają towarzystwo najszpetniejszych wiedźm i ladacznic.

De WARENNE pachnie jak morze z dodatkiem ziół i korzeni z Dalekiego Wschodu, i mango z wyspy. Choć wzorem niektórych piratów nosi złoty kolczyk w uchu, a także ogromne złote ostrogi wysadzone rubinami, jego ubranie jest nieskazitelne. Powszechnie wiadomo, że matka jednego z jego nieślubnych dzieci była prawdziwą księżniczką. Cieszył się reputacją uwodziciela, ale kochankami nie były czarownice i dziwki, wręcz przeciwnie. Wiadomo dlaczego. De WARENNE jest synem hrabiego, panem całą gębą, ma w sobie coś z króla.

Nawet ona, która zawsze unikała mężczyzn, musiała przyznać, że jest porażająco piękny.

Poczuła, że się czerwieni. Aż za dobrze pamiętała, co czuła w ramionach de Warenne'a, gdy wynosił ją na rękach z sypialni Woodsa. Tylko skąd, u licha, takie myśli? Musi uwolnić ojca. Czasu zostało tak niewiele!

Jeśli podstępem lub siłą nie wyrwie ojca z więzienia, jeśli nie uda jej się uwieść Woodsa i uzyskać ułaskawienia, co jej pozostanie?

Nagle zaświeciła jej w głowie pewna myśl, iskierka nadziei. Co powiedział de Warenne?

Czemu by nie ułaskawić Carre'a? Jeśli nie zrezygnuje z piractwa, de Warenne osobiście dostarczy go do więzienia.

Amanda poderwała się na nogi. De Warenne może jej pomóc. Nie tylko może - musi!

Pałac Windsong górował nad Zatoką Kingston. Była to potężna rezydencja z białego kamienia, której budowę Cliff rozpoczął przed pięcioma laty i wreszcie ukończył w tym roku. Z tyłu obwiedzione balustradą tarasy schodziły do samej wody, od frontu zaś klatka schodowa wiodła na inny taras i dalej, ku imponującemu marmurowemu portykowi. Po obu stronach strzelistego, trzykondygnacyjnego głównego budynku wznosiły się dwa bliźniacze pawilony. Z muru obronnego na północy roztaczał się widok na całą ulicę Królewską, ale Cliff wolał spędzać czas na południowym tarasie, sącząc irlandzką whiskey i obserwując wpływające żaglowce. Nie patrzył jednak na morze, tylko w kierunku Port Royal i na majaczące w oddali ceglane mury Fort Charles. Podniósł do oka lunetę.

Stojąca na kotwicy „Amanda C” miała porwany takielunek, złamane maszty i podziurawiony od kul armatnich pokład. Ten mały, dziewięciodziałowy słup, niegdyś szybki i zwinny, nie nadawał się nawet do remontu. W miejsce pirackiej flagi, czaszki ze skrzyżowanymi piszczelami, powiewała trójkolorowa flaga brytyjska.

Opuścił lunetę. Nie zamierzał zwracać sobie głowy piratem i jego córką. Carre czeka w Spanish Town na egzekucję. Tylko gdzie jest Dzikuska? Uciekła jak duch, jak rozplywające się w powietrzu widmo.

Bóg mu świadkiem, że chciał o tym zapomnieć, ale wciąż miał w pamięci dotyk jej jędrnego, a zarazem delikatnego ciała.

- Tatku! Tatku!

Odwrócił się na radosne wołanie ukochanej córki, rozpląnął w uśmiechu, i wszystkie myśli o dzikiej kobiecie dziecku ulotniły się. Sześćioletnia Ariella miała olbrzymie, błyszczące niebieskie oczy, oliwkową cerę i zadziwiająco złociste włosy. Była tak śliczna, a jej karnacja tak egzotyczna, że ilekroć na nią patrzył, czuł nieklamany podziw i ojcowską dumę.

- Chodź tu, skarbie

Pognała prosto w jego ramiona. Zaśmiał się, podniósł ją wysoko, a potem objął i mocno uściskał. Była ubrana jak mała angielska księżniczka w sukienkę z najdelikatniejszego jedwabiu, a sznurek najczystszych pereł ozdobił małą szyjkę.

Gdy postawił ją na ziemi, zapytała:

- Żeglowałeś dzisiaj, tatku? Bo obiecałeś, że zabierzesz mnie następnym razem.

Nie mógł się nie uśmiechnąć. Wiedział, że córka, która nie lubiła pływać statkiem, nadrabia miną.

- Nie zapomniałem, kochanie, ale dzisiaj musiałem załatwić sprawy w Spanish Town.

- Dobre sprawy?

- Tym razem niezbyt przyjemne. - Pociągnął dziewczynkę za kosmyk włosów. - A dzień był dobry do żeglowania. Wiatr na ile węzłów?

Ariella zawahała się, zagryzła wargę.

- Dziesięć. Westchnął.

- Osiem, kochanie, ale byłaś blisko. - Wiedział, że odpowiedziała na ślepo.

- Czy muszę umieć obliczać prędkość wiatru, żeby z tobą pływać?

- Nie, nie musisz, twój brat może to zrobić. Poza tym nie zamierzam zrobić z ciebie żeglarza. - Ariella, w przeciwieństwie do brata, nie lubiła morza, choć tolerowała je, żeby spędzać czas z ojcem. Jednak Cliff akurat tym się nie martwił, ponieważ dziewczynka odznaczała się zadziwiająco dociekliwym umysłem. Spędzała całe dni z nosem w książce, a on nie wiedział, czy ma być dumny, czy zaniepokojony takimi inklinacjami młodej damy.

- Niedługo popłyniesz ze mną w podróż dookoła świata.

- Tylko ja, bez Aleksa. On z nami nie pojedzie. - Nadała buzię.

Rozbawiła go jej zazdrość.

- Jest twoim bratem, kochanie, więc on także pojedzie. Jest urodzonym marynarzem. Pomoże mi żeglować, zna się też na nawigacji.

Dziewczynka rozpromieniła się.

- Nauczyłam się czterech nowych konstelacji, które mi pokazałeś, tatusiu. Czy ta noc będzie dość jasna, żeby oglądać gwiazdy? Czy później będę mogła ci je pokazać?

- Jak najbardziej. - Naprawdę ma nadzwyczajną córkę! Potrafi dodawać i odejmować szybciej od niego, dobrze radzi sobie z mnożeniem, robi błyskawiczne postępy w dzieleniu. Ma też nadzwyczajną



pamięć. Biegła poznała łacinę, dosłownie z dnia na dzień jest coraz lepsza z francuskiego. W czytaniu starszy brat nawet nie ma co się z nią równać.

Spojrzał w stronę domu i zobaczył w oddali guwernantkę dzieci, kobietę drobną i tak szczerze zawoalowaną, że ledwie było widać jej twarz spowitą w pomarańczowe i błękitne jedwabie.

- Czy Ariella odrobiła lekcje? - Puścił oko do córki. Była tak bystra, że z pewnością przerobiła w jeden dzień całe tygodniowe pensum.

- Tak, proszę pana, i to z nawiązką. - Anahid mówiła bezbłędnie po angielsku, choć z wyraźnym ormiańskim akcentem. Była niewolnicą Rachel, matki dziewczynki, której historia była ze wszech miar tragiczna, z wyjątkiem cudownego ocalenia Arielli. Rachel odbywała wraz z ojcem podróż do Ziemi Obiecanej, lecz statek zaatakowali korsarze, zabijając każdego, kto nie miał czym się wykupić, włącznie z ojcem Rachel. Rachel, piękna Żydówka, dostała się do niewoli, bo jej uroda warta była majątek. Wkrótce ksiązę Rohar zapłacił za nią hojnie i uczynił swą nałożnicą. Cliff, który w tym czasie

negocjował z księciem cenę ładunku złota, również był pod przemożnym wrażeniem jej urody. Wiedział, że za samo złożenie takiej propozycji grozi karą śmierci, mimo to nie zawahał się. Ich romans był krótki, jednak żydowska kochanka poruszyła go bez porównania głębiej niż którakolwiek z poprzednich metres. Żadna nie dorównywała jej dostojnością i gracją. Nie miał pojęcia, że zaszła z nim w ciążę.

To właśnie niewolnicy Anahid udało się wysłać do niego list pół roku po urodzeniu się Arielli. Rachel została stracona, ponieważ wydała na świat dziecko o niebieskich oczach, widomy dowód, że ojcem nie był książę. Cliff szykował się do zdobycia cytadeli Rohara, ale szturm okazał się zbyt ciężki.

Dzielna niewolnica przekupiła strażę i wydosłała Ariellę z pałacu. Wiedział, że Anahid odda życie za jego córkę i za przyrodniego brata Arielli, Aleksa, którego pokochała z całego serca. Cliff przywrócił jej wolność wkrótce po opuszczeniu Maghrebu.

Nigdy nie widział jej twarzy.

- A Alex? Jak mu dzisiaj poszło? Wyczuł uśmiech Anahid.

- Nie aż tak dobrze jak Arielli, proszę pana. Został w klasie i szlifuje litery.

- W porządku. - Alex był bystrym, ale nie tak gorliwym uczniem jak siostra, za to nadzwyczaj sumiennie przykładał się do fechtunku, jazdy konnej i żeglarstwa, rzecz oczywista.

- Przypomnij mu, że fechtujemy jutro o siódmej rano, oczywiście jeśli skończy odrabiać lekcje.

Anahid skłoniła się i ruchem ręki przywołała

Ariellę. Dziewczynka popatrzyła na ojca z nadąsaną miną.

- Tatku?

- Idź, dziecko... - W drzwiach zobaczył kamerdynera. Zaintrygował go wyraz jego twarzy, która zwykle była jak z kamienia. Czyżby wyprany z emocji sługa postradał zmysły?

- Fitzwilliam?

- Panie. - Na czole kamerdynera widniały kropelki potu.

A przecież nigdy się nie pocił, nawet w największe upały!

- Coś nie w porządku?

- Na dole... - Odkaszlnął. - Na dole... gdyby pan zechciał... czeka gość.

- Wygląda na to, że złożył nam wizytę Ponury Żniwiarz. - Z trudem maskował wesołość. - On to czy ona? Wreszcie się dowiemy. Ma może wizytówkę? - Przypomniał sobie ciemnowłosą piękność z placu przed Pałacem Królewskim. Wcale by się nie zdziwił, gdyby tu przyszła, by zaspokoić żądze. I natychmiast wyobraził sobie Dzikuskę w swoim łóżku.

Co się z nim dzieje? Co z tego, że nieokrzesa kobieta dziecko jest bez porównania piękniejsza od wszystkich znanych mu kobiet?

- Gość... - Fitzwilliam przełknął, jakby coś wzbudziło w nim niesmak - ...czeka na pana w czerwonym pokoju, o ile zechce pan ją widzieć.

Więc miał rację. To kobieta z placu. Poczul się dziwnie rozczarowany i poirytowany.

- Nie przyjmuję dzisiaj. Spław ją.

Fitzwilliam, który nie zdobyłby się na takie grubiaństwo, aż zamrugał. Cliff zaczerwienił się.

- To znaczy weź, proszę, jej wizytówkę i grzecznie odpraw.

- Ona nie ma wizytówki, proszę pana. Cliffa coś tknęło. Damy mają wizytówki.

- Co takiego? Fitzwilliam zwilżył wargi.

- Ona twierdzi, że musi się z panem widzieć, i ma sztylet. Groziła mi nim!

Dzikuska! Szybkim, energicznym krokiem poszedł do domu, zbiegł po schodach do holu. Było to ogromne pomieszczenie z kryształowym żyrandolem wielkości fortepianu, z szaro-białą marmurową posadzką. Czerwony pokój znajdował się na samym końcu.

Dzikuska wypatrywała go niecierpliwie.

Poczuł się nieswojo, gdy tylko ją zobaczył. Była blada, oczy błyszczały dziko jak u bitewnego rumaka w ogniu walki. Nie ufał jej.

- Wróciłaś do pałacu? - zapytał ostro.

- Nie. - Potrząsnęła głową.

Boże, co za ulga! Szybko wziął się w garść.

- Panno Carre, proszę o wybaczenie. I proszę usiąść. Może podać coś na ochłodę? Herbatę? Kruche ciasteczka?

Wpatrywała się w niego, jakby urosła mu druga głowa.

- Ja mam panu wybaczyć?

Zagalopował się. Tylko ktoś obłąkany może prosić nieokrzesaną istotę o wybaczenie. Uśmiechnął się.

- Moje powitanie pozostawia wiele do życzenia. Dżentelmen zawsze kłania się damie. Powinien powiedzieć dzień dobry albo dobry wieczór, zapytać, jak się miewa.

- Nie jestem damą! To, co pan mówi, brzmi niedorzecznie.

- Napijesz się herbaty?

- Kropelczkę? - Idealnie naśladowała akcent wyższych sfer brytyjskich. - Raczej nie - kontynuowała parodystyczną scenkę. - Lepszy będzie grog. - Przeciągnęła sylaby jak marynarz. - O ile pan ma.

Ciekaw był, czy pije alkohol, czy tylko chce go sprowokować.

- Jesteś świetną imitatorką - powiedział, by coś powiedzieć. Gdy minął ją, nie poruszyła się, nawet nie drgnęła jej powieka. Przyjęła pozycję obronną i agresywną zarazem. Sztylet, o którym wspomniał kamerdyner, wsunęła zapewne za pasek bryczesów. Po co tu przyszła? Domyślał się powodu, i wcale nie chodziło o wskoczenie do łóżka.

Zapłonila się.

- Jak panu wiadomo, nie umiem czytać i nie znam uczonych słówek.

- Przepraszam - powiedział delikatnie. - Imitacja znaczy naśladowanie. Masz świetny słuch.

- Jakie to ma znaczenie? - Wzruszyła ramionami. Starał się, żeby poczuła się swobodnie, ale próba się nie udała. Musiał przytłoczyć ją jego ogromny, z przepychem urządzony dom.

Nie odrywała wzroku od twarzy Cliffa.

- Co mogę' dla ciebie zrobić?

- Uwolnić mojego ojca.

Więc miał rację. Uśmiechnął się do niej życzliwie.

- Usiądź, proszę. Potrząsnęła głową.

- Postoję.

- Jak mógłbym ci pomóc?

- Woods jest pańskim przyjacielem. Niech pan go przekona.

- Akurat w tej chwili nasze stosunki nie są przyjacielskie, a gdyby nawet były, to sprawa zaszła za daleko. Na wyspie obowiązuje prawo. Sąd przesłuchał twojego ojca i uznał go za winnego. Przykro mi - dodał szczerze.

Była bliska łez.

- To proszę mi pomóc wydostać go z więzienia.

- Co?! - Czyżby się przesłyszał?

- Ma pan załogę, armaty, karabiny! Nie wierzył własnym uszom.

- Chcesz, żebym przypuścił szturm na więzienie sądu Jego Królewskiej Mości?

Skinęła głową, zalewając się łzami. Musiała sobie uświadomić nierealność tej prośby.

- Panno Carre, jest mi przykro z powodu tego, co spotkało pani ojca, ale nie jestem piratem czy rozbójnikiem. Zlecenia, które przyjmuję, wykonuję z upoważnienia władz brytyjskich, nigdy nie działam przeciwko nim. Tropię tylko dla Korony.

- Pan jest moją jedyną nadzieją - wyszeptała. Niczego bardziej nie pragnął, jak przyjść jej z pomocą, ale nie mógł zaatakować brytyjskiego więzienia i uwolnić skazanego pirata.

- On umrze... - szepnęła.

- Panno Carre. - Tak bardzo chciałby dodać jej otuchy, lecz jak miał to zrobić? Gdyby była damą, posadziłby ją na kanapie i całował do utraty tchu, aż zapomniałaby o strasznej udreće. Tak długo zaspokajałby jej potrzeby, aż zapomniałaby o okrutnej rzeczywistości. Nie była jednak damą, tylko dzikim dzieckiem w kobiecej postaci. Wyglądała żałośnie młodo i naiwnie.

Wybiegła z pokoju, lecz tym razem był na to przygotowany. Dogonił ją dwoma susami.

- Zaczekaj! Dokąd chcesz iść? Co zamierzasz zrobić?

Podniosła na niego wzrok.

- Zrobię to sama - powiedziała, połykając łzy. Chwycił ją za ramiona.

- Panno Carre, trochę rozważi... czy i pani chce zostać powieszona?

- Nie powieszają mnie - rzuciła wojowniczo. - Nie zrobią tego, jeśli powiem, że spodziewam się dziecka.

- Jesteś... w ciąży? - zapytał z niedowierzaniem.

- Nie pańska sprawa! A teraz niech mi pan pozwoli odejść. Proszę.

Domyślał się, że rzadko używa tego słuwa. Puścił ją, choć zrobił to niechętnie.

- Mam wiele pokoi gościnnych. - Na Boga, przecież powinna mieć jakiś dach nad głową. W ogóle musiał coś zrobić, by jakoś przeżyła cały ten jutrzejszy koszmar, a potem odeśle ją do sierocińca w St. Anne albo do Anglii, jeżeli ma tam rodzinę.

- Dlaczego nie zostaniesz na noc? Jako mój gość, oczywiście - dodał pośpiesznie.

Wybałuszyła na niego oczy. Ogarnął go smutek. Dzikuska uznała, że chce ją wykorzystać, jak tego próbował Woods.

- Źle mnie zrozumiałaś. Proponuję ci pokój na twój wyłączny użytek.

Zwilżyła wargi.

- Pan też... chce się ze mną przespać?

- Próbuję ci wytłumaczyć, że nie mam takiego zamiaru!

- Jeżeli pomoże mi pan uwolnić ojca, może mnie pan przelecieć, ile razy pan zechce. Wszystko mi jedno. - Oblała się rumieńcem.

Nie wierzył własnym uszom.

- Masz moje słowo... słowo de Warenne'a... że mam jak najczystsze intencje!

- Nie rozumiem nawet połowy z pańskiej wyszukanej mowy! - zawołała - ale tak, dotarło do mnie, co pan chce powiedzieć. Skoro nie chce pan cudzołożyć ze mną, nie potrzebuję pańskiej jałmużny. - Pomaszrowała do wyjścia.

Tym razem pozwolił jej odejść. A później, kiedy sen nie nadchodził, o niczym innym nie mógł myśleć.

Był środek nocy, księżyc zbliżał się do pełni, tysiące gwiazd błyszcząco na niebie. Powietrze wisiało gęste i ciężkie. Amanda podkopała się pod więzienne ogrodzenie - nie pierwszy raz miała się tego sposobu - i uczepiła się metalowych prętów w oknie ojca.

- Tatku. - Z ciemnej celi doszedł ją głuchy szelest. - Tatku - błagała, dławiąc się ze strachu.

Świadomość, że cała nadzieja umarła, dotarła do niej z brutalną mocą.

- Amanda, dziecko! - Rodney Carre pojawił się w oknie. Miał potargane włosy, w ogóle obraz nędzy i rozpacz. Gdy córka zaniósła się szlochem, zacisnął dłonie na prętach i wykrzyknął: - Do diaska, dziewczyno, nie płacz przeze mnie!

Tak bardzo go kochała, był całym jej życiem, ale teraz jest zły. Nie cierpiał łez. Nawet nie może jej uderzyć z powodu tej kraty w oknie.



- Próbowałam, tatusiu, próbowałam - lamentowała. - Prosiłam Woodsa o ułaskawienie, ale odmówił. - Gdy Rodney milczał, jakby zapadł się w siebie, dodała: - Nie dam rady tego zrobić, tatusiu, ale także nie poradzę sobie, jeśli ciebie nie będzie!

- Uspokój się! - ryknął, budząc współwięźniów. Płacz Amandy ustał w jednej chwili. - Posłuchaj mnie, dziewczyno. Próbowałaś i zrobiłaś wszystko, co było w twojej mocy. Naprawdę jestem z ciebie dumny. Każdy ojciec chciałby mieć taką dobrą, oddaną córkę.

Zadrżała. Pochwała z ust ojca była rzadkością. Wiedziała, że kochał ją bezgranicznie, że jest dla niego całym światem, zaraz po statku i załodze, ale nigdy nie mówił o uczuciach, tym bardziej o miłości.

- Jesteś ze mnie dumny - powtórzyła jak echo.

- Oczywiście. Jesteś silna i dzielna. Nigdy nie uchyliłaś się od walki. Nie wylewałaś łez, kiedy obrywałaś. - Przerwał na moment. - Dziecko, przepraszam za tamte razy. Przepraszam, że musiałaś żyć z takim gburem i raptusem. Przepraszam, że

nie dałem ci wytwornego domu i angielskiego ogrodu różanego.

Dotarło do niej z całą tragiczną mocą, że jest to ich ostatnie spotkanie. Inaczej nie mówiłby takich rzeczy.

- Cóż z tego, że czasami mnie zbiłeś? Jak inaczej nauczyłabym się odróżniać dobro od zła? Poza tym częściej nie trafiałeś, bo jestem szybka. - Łzy coraz obficiej spływały po jej policzkach. - Nigdy nie chciałam ogrodu różanego - uciekła się do kłamstwa.

W ciemności rozbłysły jego oczy.

- Wszystkie kobiety lubią róże, dziewczyno. Twoja mama miała ich pełno w ogrodzie. Może mieszka w Londynie, ale tam też ma na pewno ogród. Bo tak żyją szlachetnie urodzeni.

Czy będą rozmawiać o jej matce? Amanda urodziła się w St. Mawes w Kornwalii i do czwartego roku życia była przy matce, Dulcei Straithferne Carre. Mama wyszła za Rodneya, gdy był dziarskim, młodym kapitanem marynarki królewskiej, zanim został piratem. A kiedy to się stało, przyjechał do Kornwalii i błagał mamę, żeby mu ją oddała, jednak odmówiła. Za bardzo kochała córkę. Wtedy Rodney wyrwał ją z ramion szlochającej Dulcei i zabrał na wyspę.

Jej wiedza o życiu sprowadzała się do tego, czego nauczyła się przy ojcu. Nigdy nie odwiedziła matki, bo ojcu groziło więzienie za to, co zrobił.

- Prawda, że mnie rozumiesz? Rozumiesz, dlaczego musiałem to zrobić?

Oczywiście, że rozumiała. Kochała ojca i nie wyobrażała sobie życia w Kornwalii. Tylko bardzo by chciała przypomnieć sobie mamę. Tata powiedział, że była elegancka i bardzo miła w obejściu, prawdziwa dama, a tak piękna, że na jej widok panom, którzy przychodzili w gości, odbierało mowę. Rodney musiał mieć mocno w czubie, żeby wspominać przeszłość i mamę, i najczęściej na koniec zalewał się łzami. Nigdy nie przestał kochać żony, nawet na odległość. Chciał, żeby Amanda wiedziała, jak wyjątkową osobą była jej matka.

Zastanawiała się nieraz, co o tym wszystkim sądzi matka po tylu latach. Nie wiedziała, dokąd Rodney uprowadził córkę, nie utrzymywali kontaktu, nawet listownego, choć tata zdobył skądś informację, że Dulcea mieszka obecnie w Londynie, w pięknej rezydencji Belford House.

Amanda zachodziła w głowę, dlaczego Rodney mówi o różach i mamie jednym tchem.

- Róże w ogóle mnie nie obchodzą, tatusiu. Dobrze o tym wiesz.

- Musisz do niej pojechać, dziecko - rzekł z mocą. - Dulcea weźmie cię do siebie, kiedy mnie nie będzie.

- Nie mów tak! - krzyknęła Amanda. - Jeszcze nie jest jutro, a do południa daleko.

- Już jutro. Do diaska, wkrótce świt. Dulcea będzie zachwycona, kiedy znów cię zobaczy. Dzieciaku, w końcu zamieszkaż w wytwornym domu. Zostaniesz prawdziwą damą, nie jakimś tam moim pędrakiem.

Przerażona i skonsternowana Amanda wpatrywała się w ojca. Oczywiście, snuła czasami dzikie

fantazje o dniu, w którym zobaczy matkę i znajdzie się w ramionach najpiękniejszej pani, przy której zazna bezpieczeństwa, ciepła i miłości. W tych fantazjach także stawała się damą, jak jej matka. Popijały egzotyczną herbatę w pachnącym ogrodzie różanym. To jednak tylko mrzonki. Jej domem była wyspa, jej miejsce było przy ojcu. Chociaż mieli farmę, żyli z rabunku, ich główny dobytek pochodził z kradzieży. Co prawda mieli jedną mleczną krowę, którą Amanda doiła, ale nadal pozostawała córką pirata. I z pewnością nigdy nie przyszło jej do głowy strugać z siebie wielkiej damy, a tym bardziej nią zostać.

Czy ojciec zwariował?

- Nie jestem damą i nigdy nie będę. Kocham wyspę. Tu jest mój dom! Uwielbiam żeglować, uwielbiam morze!

- Pod tym względem wrodziłaś się we mnie - powiedział z dumą i smutkiem zarazem. - Boże, dziewczyno, nie wiem, gdzie miałem głowę, kiedy uczyłem cię nawigować, reperować żagle, strzelać z armaty i pistoletu, fechtować sprawniej niż niejeden mistrz. Wspinasz się na maszt lepiej niż moi najlepsi marynarze. Jesteś kobietą, nie chłopakiem! Powinnaś zostać przy matce. Teraz to wiem.

- Nie! - Chwyciła jego rękę przez pręty. - Tatku, kocham cię.

Zabrał rękę, milczał.

Amanda na próżno walczyła ze łzami.

- Obiecaj mi - odezwał się wreszcie - że kiedy odejdę, odszukasz ją. Tutaj nie masz nikogo. Musisz pojechać do Dulcei.

Jak mogła mu coś takiego obiecać? Mama jest wielką panią, a ona córką pirata. Kiedyś wierzyła, że matka ją kocha, lecz teraz była pewna, że ta obca kobieta nie będzie jej chciała.

- Jestem twoim ojcem i wkrótce umrę! - zawołał rozwścieczony. - Do diaska, masz mnie słuchać!

Wiedziała, że gdyby nie dzielące ich pręty, oberwałaby za swoje.

- Jeszcze nie umarłeś, tatku. Jeszcze może zdarzyć się cud!

- Cud? - Parsknął śmiechem. - Nic takiego nie istnieje.

- A jednak dzisiaj zdarzył się cud! Cliff uratował mnie przed... - Urwała gwałtownie.
- Co zrobił?! - naciskał zdumiony Rodney.
- Uratował mnie... chciałam uwieść gubernatora
- wyszeptała.

Przez pręty uderzył ją w głowę.

- Nie jesteś dziwką, do jasnej cholery! Jeżeli mi się w życiu coś naprawdę udało, to to, że uchroniłem twoją niewinność. Masz ofiarować dziewictwo przyzwoitemu mężczyźnie... swojemu mężowi!
- krzyknął rozwścieczony.
- Próbowałam cię uratować, tatku - wyznała drżącym głosem.

Zdawał się jej nie słyszeć, tylko rzekł zadumany:

- De Warenne jest dżentelmenem, niezależnie od tego, czym się zajmuje. Spraw, żeby cię zawiózł do Anglii. Jemu jednemu możesz zaufać.

Targała nią rozpacz. Ojciec wkrótce zawiśnie na szubienicy, więc jeśli to jego ostatnia wola, musi ją spełnić.

- Jest dziwny - rzekła, też nagle zadumana.
- Dlaczego mi pomógł? Obcy człowiek? Dlaczego bił się z mojego powodu ze swoim przyjacielem?
- Bo ci z błękitną krwią tak właśnie postępują. Wynoszą się, puszą i rzucają jałmużnę, okazując litość takim jak my. Dzięki temu czują się jeszcze ważniejsi i potężniejsi. Daje ci jałmużnę, to ją bierz, dziewczyno. I pal sześc z dumą, schowaj ją do kieszeni! - Zawahał się, po czym zadał dziwne pytanie:  
- Zauważył, że jesteś piękną?

Nie wiedziała, co o tym, myśleć. W całym jej siedemnastoletnim życiu ojciec ani razu nie napomknął, że uważa ją za piękną, ale teraz mówił o niej tak, jakby naprawdę nią była. Jak jej matka.

- Ależ tatusiu, nie jestem piękna! Jestem chuda, mam skołtunione włosy, ubieram się jak chłopak. I mam bardzo dziwne oczy. Każdy to mówi.

- Czy patrzył na ciebie jak ten pieprzony Turek na Sycylii?
- To jeszcze o niczym nie świadczy - odparła z wahaniem.
- On jeden może zawieźć cię do matki. Wiem, co mówię, Amando. Jest dżentelmenem - oznajmił ze śmiertelną powagą.

Wyczuła, że to nie wszystko.

- Jest dżentelmenem i co? Tatusiu, co chciałeś powiedzieć?
- Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zatrzymał cię przy sobie na jakiś czas.
- Co?! Jako kochankę?
- Jest bogaty jak cholera, do tego syn hrabiego!
- zawołał Carre, waląc pięścią w mur. - Zawsze chciałem wydać cię dobrze za męża, ale teraz nie wiem, kto się tym zajmie. Zostawiam to twojej matce.

Zaczęła drżeć. Oczy i dusza zobaczyła wyrazistą, opaloną twarz de Warenne'a, jego spojrzenie tak intensywne, tak dziwnie przeszywające, jakby zaglądał w jej myśli, w jej duszę. Przeszły ją dreszcze, miała mętlik w głowie.

- Tatusiu, on mnie nigdy nie zechce. Ma ładniejsze kochanki, szykowne damy, sam wiesz.

- Załatw tak, żeby cię zawiózł do matki - powiedział ponurym głosem. - On, tylko on, nikt inny. Chciałem ci coś zostawić, ale nie mam nawet złamanego funta. Przepraszam cię, Amando.

- Nie przepraszaj! Jesteś najlepszym ojcem, o jakim może marzyć córka! - Znów wybuchnęła płaczem.

- Staralem się, naprawdę się starałem - wyszeptał. - A teraz musisz już iść.

Dopiero w tej chwili uzmysłowiła sobie, że niebo robi się pomarańczowe.

- Nie, tatku! - Wiedziała, że musi odejść. I zobaczy ojca już tylko na szafocie.

- Idź, bo jeszcze cię tu złapią i odkryją twój tunel - powiedział ochryłym głosem.

To nie może się stać. Amanda nigdy do końca nie wiedziała, czy wierzy w Boga, ale teraz modliła się gorączkowo.

- Tatku, pozwól mi zostać. Nieważne, czy mnie złapią. - Przcisnęła rękę przez pręty.

Rodney chwycił jej dłoń.

Dobry Boże! Jakże ciepła, silna i zgrubiała była

jego ręką. Amanda długo jej nie puszczała. Wiedziała, że robi to po raz ostatni.

Cliff pospiesznie osiodłał najlepszego wierzchowca i pogalopował do Spanish Town. Teraz lustrował tłum zgromadzony w upalne południe na placu między Pałacem Królewskim a gmachem więzienia. Pięknie wystrojone panie i dobrze ubrani dżentelmeni z laseczkami przechadzali się w cieniu wysokich palm wokół szubienicy, rozmawiając o tym i owym w oczekiwaniu, na spektakl. Marynarze popijali grog i podszczypywali dziewczki, kilku tańczyło z ladacznicami w takt szybkiej wyspiarskiej melodii granej przez czarnego skrzypka. Grupa młokosów rzucała kamieniami w szafot, jakby to był środek tarczy celowniczej. Śmiali się i zachowywali coraz bardziej agresywnie.

Zawrócił, żeby obejść drugą stronę placu. Regiment stał na baczność przed gmachem sądu, inni żołnierze patrolowali obrzeża parku, na wypadek gdyby więzień próbował zbiec. Serce biło mu mocno. Gdzie ona może być?

Za kilka minut Carre zostanie doprowadzony na miejsce kaźni. Cliff nie miał wątpliwości, że Dzikuska gdzieś tu jest. Chciał zapobiec większemu złu, nie pozwolić, by zmarnowała sobie życie. Na pewno będzie próbowała ratować ojca, a on zamierzał ją powstrzymać, nim zrobią to żandarmi. Dostrzegł, jak jeden z młokosów rzuca kamieniem w podnóże szubienicy, śmiejąc się przy tym cynicznie. Równocześnie dobiegł go rozpaczliwy kobiecy szloch.

Błyskawicznie przeniósł wzrok na podstawę rusztowania. Ujrzał niedużą, skuloną postać z burzą włosów w kolorze księżyca. Rozwścieczony wcisnął się w tłum. Gawieź rozstała się, chuligani, widząc jego determinację i furję, przestali rzucać kamieniami, zamilkli. Cliff złapał jednego z nich za koszulę i walnął nim o ziemię.

- Odpowiesz mi za to - warknął.

- To tylko córka pirata - wyszeptał blady jak śmierć chłopak.

Cliff podniósł go i znów grzmotnął. Pozostali rozpierzchli się. Ukląkł.

- Panno Carre?



Wbiła się pod rusztowanie, na którym wkrótce stanie jej ojciec z pętlą na szyi. Ukryta za podporą z grubego drewna, przyciskała kolana do piersi. Oczy miała nienaturalnie błyszczące i wielkie, jakby trawiła ją gorączka. Przerazona istota, chowająca się przed groźnym i złowrogim światem, pomyślał ze ściśniętym sercem Cliff.

- Wyjdź stamtąd - powiedział łagodnym szeptem i wyciągnął do niej rękę.

Potrząsnęła głową, uroniła łzę.

Może tak lepiej, pomyślał, stąd nie zobaczy, jak wieszają jej ojca. Z drugiej jednak strony chciał ją odciągnąć od placu i od egzekucji, ponieważ bał się, że jeśli tego nie zrobi, Dzikuska może wyjść z ukrycia i zobaczyć scenę, jakiej żadna kobieta nie powinna oglądać.

- Wyjdź, proszę. Zabiorę cię daleko stąd - przekonywał.

Uroniła kolejną łzę.

Ten widok rozdzierał serce.

- Niczego tu nie wskórasz. Pozwól się stąd zabrać. - Coś mu przyszło do głowy. - Zabiorę cię na mój statek. Muszę popłynąć do St. Kill, a warunki są idealne. - Gdy ożywiła się, nawet jakby rozpogodziła, kusił: - Wieją pomyślne wiatry, a na morzu jest tak rozkosznie. - Oblizwała wargi, wahała się. - Pozwolę ci... - Urwał. Kapitański mostek był miejscem świętym, zarezerwowanym wyłącznie dla niego. - Pozwolę ci wejść na mój pokład. Chodź, kochanie.

Jeszcze kilka łez spłynęło po jej policzkach. Nagle skinęła głową i wyciągnęła rękę. Ledwie dotknęli się palcami, gdy tłum zawył. Była to istna eksplozja. Wrzaski, drwiny. Amanda krzyknęła, rzuciła się do tyłu, wyrwała rękę. Cliff podniósł wzrok i zobaczył żołnierzy wyprowadzających Carre<sup>^</sup> z gmachu sądu.

Tłum prześcigał się w szyderstwach.

- Pirat się zabawił, teraz kolej na nas!

- Spuśćmy mu krew, kiedy będzie martwy, i pomalujmy tą juchą pokłady naszych statków!

- Myślicie, że będzie błagać o ulaskawienie? Cliff poczuł mdłości, co rzadko mu się zdarzało.

Spojrzał na córkę Carre'a.

- Musimy stąd odejść - nalegał.

Na czworakach zaczęła się czołgać w jego stronę. Wyciągnął do niej rękę, ale była niezwykle zwinna, rzuciła się na ziemię i przeturlała pod jego ramieniem. Odwrócił się błyskawicznie, żeby znów ją złapać, ale poderwała się na nogi i ruszyła w kierunku ojca.

- Tatku!

Carre w obstawie żołnierzy wszedł na plac i zdrętwiał.

- Zabieraj się stąd, Amanda! - ryknął.

Cliff chwycił ją z tyłu, lecz nawet tego nie zauważyła.

- Tatku!

Carre odnalazł wzrokiem Cliffa'... i porozumieli się.

- Zabierz ją stąd, de Warenne.

Cliff pokiwał głową, wciąż trzymając Amandę, która szarpała się dziko, pragnąc dostać się do ojca.

- Nie zmuszaj mnie, żebym przerzucił cię przez ramię - ostrzegł.

Zdawała się go nie słyszeć.

- Tatku, kocham cię!

Carre, który już miał postawić nogę na stopniu platformy, przystanął.

- Ja też cię kocham, dziewczyno. Osunęła się bezwładnie w ramionach Cliffa. Poszturchiwany przez żołnierzy Carre pokonał

pięć stopni wiodących na szafot. Patrząc z góry na córkę, widział, że śledzi każdy jego ruch i szlocha bezgłośnie.

- Dziewczyno! Obiecuj mi, że pojedziesz do Anglii, do matki.

- Obiecuję, tatku! - zawołała. - Obiecuję - powtórzyła zdławionym głosem.

Carre'a pchnięto pod pętlę i zawiązano mu przepaskę na oczy. Amanda zalkała.

Cliff zareagował błyskawicznie. Odwrócił ją twarzą do siebie i przycisnął mocno do piersi.

- Nie ruszaj się. - Zasłonił ją sobą, głaskał po głowie.

Podniósł wzrok. Pętla znajdowała się na szyi Carre'a. Tłum wiwatował i wył, kamienie sypały się na skazańca.

Cliff z odrazą odwrócił wzrok. Ukrył policzek we włosach Amandy, bezwiednie zanurzając w nich usta. Drżała jak liść. Zaczął się z nią wycofywać z placu, a tłum wył.

Popchnęła go, próbowała się odwrócić.

Przytrzymał ją, by nie widziała ojca wydającego ostatnie tchnienie. Usłyszał głośny trzask i podziękował Bogu, że śmierć nastąpiła natychmiast.

Amanda zemdląca w jego ramionach.

### **Rozdział trzeci**

- Ona nie żyje.

O czym on mówi? Usiłowała nadać sens tym słowom. Pojawił się wysoki, złotowłosey mężczyzna z zatroskaną twarzą, błękit jego oczu porażał intensywnością. Znała go, ale nie wiedziała skąd. Z przerażeniem stwierdziła, że mówi o niej.

- Nie żyje.

- Żyje... tylko śpi.

- Nie rusza się. Nie żyje.

Amandę ogarnął paniczny strach. Czy naprawdę umarła? I kim są ci ludzie sprzeczący się na jej temat? Ocknęła się. Tak, to był sen. Dziwny sen. Nie umarła, tylko spała. Przeciągnęła się, ale była słaba i rozbita. Siennik ugiął się pod nią, a potem wyprostował. Żaden siennik nie bywa tak miękki i stabilny zarazem.

Gdzie jestem?

- Nikt nie śpi przez cały dzień. Mówię ci, Ariella, ona nie żyje. Nie widzisz?

Amanda szarpnęła się, kiedy ktoś brutalnie chwycił ją za nogę przez miękką, puszystą kołdrę. Zdumiona otworzyła oczy, mrużąc, oswajając je z zalewającym pokój światłem. Wtedy ujrzała parę błyszczących niebieskich oczu i szelmowski uśmiech. Krzyknęła.

- No i co, głupku? Mówiłam, że żyje - powiedziało jakieś dziecko.

Pokonując słabość, usiadła i utkwiała wzrok w małym chłopcu o ciemnych włosach i znajomych niebieskich oczach.

- Pewnie, że nie umarła. Śpi, odkąd tata przyniósł ją do domu. Ale cię nabrałem!

- Wcale nie!

Amanda powiodła wokół oczami. Leżała w misternie rzeźbionym hebanowym łożu z bladoniebieskim baldachimem. Dojrzała kominiek z gzymsem z białego marmuru. Podziwiała olbrzymi pokój z boazeriami z bladoniebieskiego materiału. Chryste Panie, wszystkie meble stanowiły komplet i miały tapicerkę w kolorze kości słoniowej, błękitną albo białą, przesywaną złotą nitką. Na ścianach i na suficie było pełno złoceń. Potem ujrzała zdumione oczy dziewczynki stojącej u jej boku.

- Nazywam się Ariella - rzekła z uśmiechem. -Tatko powiedział, że ty nazywasz się panna Carre. Jesteś jego metresa?

Chłopiec mocno pociągnął dziewczynkę za włosy. Ariella uderzyła go równie mocno w szczękę.

Tatko. Na dźwięk tego słowa Amanda poczuła, że utraciła po raz drugi w życiu wszystko, co było dla niej najdroższe. Ogarnął ją przeraźliwy smutek.

Tatko został powieszony. Tatko nie żyje. Zamordowany przez Woodsa, przez Brytyjczyków.

- Ona jest chora. Zawołam tatę! - Chłopiec wybiegł z pokoju.

Amanda słyszała jak przez mgłę. Cliff de WARENNE był przy egzekucji. Nie pozwolił, by patrzyła, jak umiera ojciec. To znaczy że znalazła się w Windsong. O Boże, jak przeżyć śmierć ojca, jak uśmierzyć straszny ból?

Mała rączka pogłaskała ją po ramieniu.

- Panno Carre, proszę nie płakać. Cokolwiek panią smuci, mój tata na pewno pomoże. - W głosie dziewczynki pobrzmiwała duma. - Będzie pani szczęśliwa. On potrafi wszystko. Amanda uśmiechnęła się przez łzy do ślicznego dziecka. Niewiele pamiętała, tylko ten straszny trzask łamanego karku. Tego dźwięku nigdy nie zapomni.

- Mój tata nie żyje... - Objęła się ramionami, jeszcze bardziej zginając się wół.

- Ariella! - rozległ się surowy głos de Warenne'a.

- Tatku, ona płacze nie przeze mnie! Powoli, wciąż obejmując kolana ramionami, Amanda uniosła głowę. Przypomniała sobie, jak de Warenne obejmował ją mocno podczas egzekucji.

- Wiem, że nic złego nie zrobiłaś. A teraz idź do brata. - Cliff stanął u stóp łóżka. - Nie ma sensu pytać, co czujesz, panno Carre. Jest mi strasznie przykro. Wiem, jak cierpisz. Opłakuj ojca, pożegnaj go łzami, módl się za jego duszę...

Wybuchnęła płaczem. Wyczuła, że de Warenne podszedł bliżej.

- Niech pan stąd idzie - wykrztusiła, choć pragnęła, by wziął ją w ramiona i trzymał tak długo, aż zagoją się rany. Wiedziała jednak, że to nigdy nie nastąpi.

Uścisnął jej ramię. Nagle dotarło do niej, że ma gołe ramiona, a na sobie delikatny, obszyty koronką, bawełniany szlafroczek.

- Jesteś strasznie obolała. To zrozumiałe. - Głos miał łagodny, współczujący. - Posłałem po okrętowego lekarza. Poda ci laudanum, które złagodzi cierpienie.

Płacz ustał. Amanda przewróciła się na plecy i spojrzała na Cliffa. Szybko zdjął rękę z jej ramienia.

- Laudanum... - Znała działanie tego leku. Kiedy jako dziecko złamała nadgarstek, podano jej laudanum i ból natychmiast zniknął. Czy teraz uleczy jej smutek?

- Gdyby to mogło cię jakoś pocieszyć, wiedz, że śmierć ojca nastąpiła błyskawicznie. - Gdy znów zaczęła płakać, dodał: - Będzie lepiej. Czas ukoi ból. Obiecuję ci to, panno Carre.

Potrząsnęła głową. To przecież niemożliwe.

- Czy pana ojciec... nie żyje? - wyjąkała.

- Żyje, ale matka umarła, kiedy byłem mały.

- Naprawdę? - Przestała płakać.

- Umarła, wydając na świat moją młodszą siostrę Eleanor.

Kiedy próbowała usiąść, podparł jej plecy. Zakreśliło jej się w głowie, więc złapała go za ramiona, ale i to nie pomagało. Oparła czoło na jego piersi.

- Musisz poleżeć z nogami do góry - zaordynował.

Nie była w stanie wydobyć głosu, świat wirował wokół niej.

I nagle wszystko ustało. Otworzyła oczy. Porozrzucana pościel, zwalone na podłogę poduszki. De Warenne trzymał ją za kolana, które oparła na wałku. Zobaczyła jego zaniepokojony wzrok.

- Jesteś wyczerpana - stwierdził kategorycznie. - Kiedy ostatnio jadłaś?

Nie miała pojęcia.

- Nic mi nie jest. Nigdy nie mdleję. Nie wiem, dlaczego mam zawroty głowy.



Wstał, obciągnął jej szlafroczek, przykrywając łydki, po czym odwrócił się na pięcie.

- Alex, zamiast kręcić się pod drzwiami, poproś służącą, żeby podała pannie Carre miseczkę zupy i białe pieczywo.

Chłopiec popędził przed siebie.

- Nie jestem głodna. - Czuła się strasznie głupio. Zaczęła wykopywać wałek spod nóg, nie mogąc zignorować faktu, że de Warenne trzyma rękę pod jej szlafroczeniem.

Unieruchomił jej kolana.

- Pewnie nie jadłaś od paru dni. Jeżeli nie chcesz pójść w ślady ojca, musisz się odżywiać, panno Carre.

Przytrzymał jej wzrok. Amanda była jak zahipnotyzowana. Czyżby jej los naprawdę leżał mu na sercu? Niemożliwe...

- Nie chcę umierać - wybąkała.

- To dobrze. - Uśmiechnął się lekko.

Kiedy znów się obudziła, przez biało-niebieskie zasłony wdzierało się słońce. Powoli przypomniała

sobie, że znajduje się w Windsong i że tata nie żyje. Ogarnął ją przeraźliwy smutek.

Zastanawiała się, ile czasu minęło od egzekucji. Przypomniła sobie, że jadła zupę z bułką, i to kilka razy, a miła pulchna pokojówka z jasnorudymi włosami pomagała jej jeść. Przypomniła sobie lekarza z siwymi bokobrodami, który osłuchiwał jej plecy i zbadał puls. I że piła herbatę zaprawioną laudanum. Rozejrzała się po pokoju. Widziała tu dwoje dzieci, ciemnowłosego chłopca i złotowłosą dziewczynkę. Teraz jest sama. Czy wyobraźnia płata jej figla? Może to był tylko sen? A może naprawdę widziała dzieci de Warenne'a? Jedno z nich jest księciem albo księżniczką, jeśli wierzyć plotkom. De Warenne. Był przy niej podczas egzekucji, nie pozwolił, by zobaczyła makabryczną śmierć ojca. Czy naprawdę trzymał ją opiekuńczo w ramionach? Czy to też był sen?

Chociaż trawił ją smutek - ilekroć pomyślała

o tacie, zalewała ją fala głębokiego żalu - czuła się trochę lepiej. Po pierwsze nie była już taka rozbita i obolała. No i ścisnęła ją z głodu.

Usiadła i przeciągnęła się. Nogi nie stawiały oporu, zaburczało w brzuchu, a pokój zachowywał zadziwiającą równowagę.

Odrzuciła nakrycie i znieruchomiała. Boże, toż to królewskie łóżko! Jedwabna pościel, puchowa kołdra. Kotary baldachimu dobrane pod kolor materiału na ścianach, w ogóle wszystko tu do siebie pasuje i wszystko jest z jedwabiu, aksamitu albo z brokatu.

Oczywiście wiedziała, że de Warenne jest bogaty, ale nie wyobrażała sobie, że żyje aż na takim poziomie. Co prawda nigdy wcześniej nie była w domu bogatej osoby z królewskiego rodu.

Podniosła się z łóżka. Podchodząc do okna, minęła ogromne lustro w pozłacanych ramach z rzeźbionym ornamentem w wijące się gałązki i rozety. Rzuciła okiem na swoje odbicie i zatrzymała się.

Patrzyła na obcą osobę.

Stała przed nią śliczna i niesłychanie kobieca istota w pięknym koronkowym szlafrocuku, z rozpuszczonymi blond włosami sięgającymi do pasa. Miała błyszczące, ogromne szmaragdowe oczy w

oprawie długich i gęstych rzęs, dziwnie ciemnych, jak brwi. Była lekko zaróżowiona i opalona, miała pełne, różowe wargi. Ramiona były zupełnie gołe. Bawełniany szlafroczek ładnie układał się na piersiach. Wąskie koronkowe ramiączka podtrzymywały wydekoltowany staniczek, lekko marszczony u góry. Amanda zaczerwieniła się, patrząc na siebie.

Nie wyglądała jak córka pirata, tylko jak szlachetnie urodzona dama.

Wstrząśnięta tym odkryciem odwróciła się od lustra i rozsunęła zasłony. Było dobrze po południu, bo słońce świeciło wysoko i mocno, przesuając się na zachód. Okna sypialni wychodziły na port.

Dostrzegła swój ulubiony statek, „Fair Lady”. Kadłub pomalowano czarną i czerwoną farbą. Choć był to tylko okręt piątej klasy, wyniosła sylwetka zawsze budziła jej zachwyt. Ileż to razy Amanda

przyglądała się stojącemu na pokładzie rufowym de Warenne'owi i jego ludziom podnoszącym żagle. Ileż to razy przyglądała się pięknej fregacie, kiedy chwytiała wiatr w żagle i nabierała prędkości. Czasami z jednej z wież strzelniczych otaczających port przyglądała się, jak „Fair Lady” kieruje się na pełne morze, aż wreszcie staje się niewielkim punkcikiem i znika, jakby rozpływała się w wieczności. Ileż to razy zastanawiała się, jak by to było pożeglować na takim statku w porywistym wietrze. I wtedy zobaczyła swoją imienniczkę.

Fort Charles położony był po drugiej stronie portu, na małym półwyspie wcinającym się od południowego wschodu w Morze Karaibskie. Pomimo powiewającej brytyjskiej bandery, pomimo złamanych masztów nawet z takiej odległości Amanda natychmiast rozpoznała słupa. Ogarnął ją bezbrzeżny smutek.

„Obiecuj mi, że pojedziesz do Anglii, do matki”.

Głos Rodneya był tak donośny i wyraźny, jakby dobiegał z tego samego pokoju. Odwróciła się na pięcie, ale nikogo nie było. Przez moment wpatrywała się w zamknięte drzwi, z nadzieją że zaraz się pojawi...

- Przecież obiecałam, tatusiu. Nie pamiętasz? - Z trudem wydobyła głos.

„Pamiętam, dziewczyno”. Teraz go zobaczyła, naprawdę zobaczyła, nawet jeśli to była tylko jej wyobraźnia.

- Obiecałam ci to na miejscu kaźni. Przecież wiesz, że zawsze dotrzymuję słowa. Pojadę, na pewno pojadę. - Ogarnął ją strach. Będzie musiała zostawić wszystko, co zna, otoczenie, w którym się wychowała. A jeśli mama nie kochała jej tak, jak utrzymywał tata?

„Wiem, dziecko. Jestem z ciebie taki dumny...”. Uśmiechnął się do niej.

Amanda zadrżała.

- Tatusiu, a jeśli mama wcale się nie ucieszy na mój widok?

„Ona cię kocha, dziewczyno”.

Już mu miała przypomnieć, że jest córką pirata, kiedy ojciec znikł. Boże, co ona wyprawia? Mówi do siebie... do nieżyjącego człowieka! A może ujrzała ducha ojca? Trzęsła się cała. Ale co tam! Złożyła obietnicę i musi jej dotrzymać, nawet jeśli w tym celu przyjdzie jej udać się do Anglii.

Musi skoncentrować się na podróży. Rodney kazał jej popłynąć z de Warenne'em. Zasepiła się. Czy potrafi go przekonać, żeby pozwolił jej odbyć podróż na swoim statku? Jednym ze statków, bo miał całą flotę. Był miły dla Amandy, przynajmniej takie odniosła wrażenie. Tatko uważał go za dżentelmena i musiała przyznać mu rację. Tylko skąd wziąć pieniądze na podróż?

Jej dobytek był więcej niż skromny. Miała sztylet, pistolet, szpadę, zmianę ubrania i złoty krzyż na łańcuszku, pamiątka po ojcu. Nie zamierzała rozstawać się z żadną z tych rzeczy, zresztą de Warenne'owi na nic się nie zdadzą. Był tylko jeden sposób zapłacenia za przejazd. Będzie musiała ofiarować swoje ciało.

Strasznie się bała. Każdy stosunek, którego była mimowolnym świadkiem, wyglądał odrażająco. Gubernator Woods był wstrętny. Nigdy nie mogła

zrozumieć, dlaczego kochankowie zachowują się tak obłeśnie. Nigdy nie rozumiała, co jest tak podniecającego w seksie, że mężczyźni i kobiety tracą zdrowy rozum.

Z duszą na ramieniu wyszła z sypialni. De Warenne oświadczył, że ma uczciwe intencje, a ona mu wierzyła. Z pewnością jednak przyjmie propozycję i skorzysta z jej ciała w zamian za przejazd. Z tego, co wiedziała, żaden mężczyzna nie odrzuca takiej propozycji. Dla zachęty może mu nawet nadmieniść, że jest dziewicą.

Znalazła się w długim korytarzu. Na białych ścianach wisiały piękne olejne obrazy, lśniącą drewnianą posadzkę przykrywały tu i ówdzie wschodnie dywany. Na końcu dwie klatki schodowe z mosiężnymi balustradami prowadziły do wielkiego holu. Amanda zaczęła schodzić najbliższą z nich.

Zwolniła kroku. Wejściowy hol był tak duży jak ich cały dom w Belle Mer. Spojrzała na wysokie sklepienie, z którego zwisał ogromny kryształowy żyrandol. Na ścianach gobeliny i kolejne obrazy. Wyczyszczone na połysk mahoniowe meble - krzesła, ławy i stoły - miały nogi w formie łap zwierzęcych, aksamitną albo adamaszkową tapicerkę i misterne rzeźbienia. Pośrodku jednej ze ścian spostrzegła podwójne drzwi. Było to główne wejście do domu. Pod otwartymi łukami przechodziło się do innych pomieszczeń.

Zobaczyła kamerdynera. Szedł z pustą srebrną tacą **na** wyprostowanej ręce, jakby nadal znajdowały się **na** niej drinki. Zbladł **na** jej widok, stanął jak wryty i upuścił tacę, która z hukiem upadła na podłogę.

Amanda ruszyła w jego stronę.

- Cześć! Gdzie jest de Warenne?

Rzucił jej wściekle spojrzenie i podniósł tacę.

- Jego Lordowska Mość trenuje i nie życzy sobie, by mu przeszkadzano.

- Nie tym tonem ze mną - syknęła, mrużąc oczy.

- Jesteś tu tylko służącym.

- Jestem kamerdynerem, proszę panny, i najważniejszym lokajem na usługach Jego Lordowskiej Mości.

- Coś mi się nie wydaje - prychnęła Amanda.

- Najważniejszy jest jego cieśla okrętowy. Chcesz się założyć?

Fitzwilliam naburmuszył się.

- Jeśli mogę coś zasugerować, to radziłbym wrócić do pokoju i ubrać się przyzwoicie.

Spojrzała na szlafroczek, z którego była taka dumna.

- Nie sądzę, żeby milord zwracał uwagę na mój strój. - Przecież szlafroczek jest równie wytworny jak inne odzienie.

- Mimo wszystko radziłbym wrócić do pokoju, a ja powiadomię Jego Lordowską Mość, że panna chciałaby się z nim widzieć.

Prychnęła.

- Przydałaby ci się dobra przejażdżka po morzu, przyjacielu. Może by ci puściły te twoje ściśnięte półdupki. - Ruszyła w stronę jednego z łuków, skąd dochodziła ledwie słyszalna rozmowa i skąd wynurzył się ten stary pryk. Po chwili usłyszała charakterystyczne dla de Warenne'a przeciąganie samogłosek... a także cichy, afektowany śmiech kobiety.

Zatrzymała się na progu dużego salonu ze złoceniami i taką ilością mebli, że wystarczyłoby na dwa życia. W głębi stał gospodarz, ubrany w zwykłą koszulę z białego lnu i białe bryczesy, z którymi kontrastowały wyglansowane wysokie czarne buty. Zazwyczaj nosił bogato haftowaną kurtkę z marokinu, ale nie dzisiaj. Nie przypiął również sztyletu do paska. Zapomniał natomiast zdjąć wielkie, złote ostrogi wysadzone rubinami.

Patrząc na niego, zaschło jej w gardle.

I wtedy zobaczyła gościa de Warenne'a i zrozumiała, dlaczego nie życzył sobie, by mu przeszkadzano. Nie wierzyła własnym oczom.

Piękna, idealnie pulchna blondynka poklepywała go po ramieniu i chichotała do niego. Dama była elegancko ubrana, cała w koronkach i biżuterii. Jest tłusta, uznała Amanda, ale większość żeglarzy woli, gdy kobieta jest przy kości. Jej cera wcale nie była porcelanowa, tylko ziemista, a włosy żółte jak obsikana słoma.

Zacisnęła pięści, zastygła ze strachu.

Kobieta śmiała z każdego słowa de Warenne'a. On uśmiechał się od niechcienia. Zapuszczał żurawia w jej potężny jak u krowy biust, który przy każdym wybuchu śmiechu groził wypadnięciem z bladozielonej sukni.

Dama trzymała kieliszek wina albo sherry. Drugą ręką, wciąż paplając, odrzucała poskręcane żelazkiem blond loki.

- Tak się cieszę, kapitanie, że pana zastałam. Odbyłam w tym skwarze długą podróż ze Spanish Town, z nadzieją że nie zostanę odprawiona.

- Rzeczywiście to długa droga, bo aż dwanaście mil. Nie podoba się pani nasza jamajska pogoda? - zapytał znudzonym tonem. Złoty kolczyk błysnął mu w uchu.

Kobieta jeszcze bardziej przycisnęła się do niego.

- Powietrze aż lepi się od gorąca, więc wykrochmalona suknia traci, fason. A włosy! Muszę robić fryzurę co najmniej dwa razy dziennie.



- Wyobrażam sobie, jaką męką dla pań musi być życie w takim klimacie - wycedził ironicznie.
- Och, ależ się cieszę z pobytu na wyspie, kapitanie, a cieszyłabym się jeszcze bardziej, gdyby zechciał pan mnie zabrać na pokład swojej łódki.

Amanda wmaszerowała do środka.

- To jest statek, a nie żadna łódka, miła pani, a w rzeczy samej dwupokładowa fregata piątej klasy, wyposażona w trzydzieści osiem dział, nie licząc innej broni palnej!

Damie opadła szczeka, co wyraźnie ją oszpeciło. De Warenne zrobił wielkie oczy. Amanda zakołysała biodrami i wypięła pierś.

- Och, kapitanie, niech pan mnie weźmie na swoją łódkę! - powiedziała, przedrzeźniając nieznajomą. Drgnęły mu wargi, po czym wybuchnął śmiechem. Po chwili jednak zrobił groźną minę.

- Panno Carre, masz na sobie tylko szlafrok.

A jednak go rozbawiła. Złagodniała więc i odwzajemniła uśmiech.

- To nie jest mój szlafrok. Prawdę mówiąc, nawet nie pamiętam, skąd go mam. - Mrużąc oczy,

popatrzyła wprost na niego. - Czy to pan mnie rozebrał?

Zrobił się czerwony.

Dama szpazmatycznie łapała powietrze.

- Widzę, że popełniłam straszliwy błąd! Pan i... córka pirata? - wyjąkała.

De Warenne spojrział na Amandę, jakby miał coś intymnego jej przekazać. Jakby ostrzegał, a zarazem zawierał z nią wesoły pakt. Nie wiedziała, co o tym myśleć.

Cliff przybrał poważny wyraz twarzy i zwrócił się do damy:

- Właśnie zamierzałem przedstawić panią pannie Carre, panno Delington. Jest zacnym gościem w moim domu.

Panna Delington zrobiła się czerwona jak burak. Już nie była śliczna.

- Widzę, doskonale widzę. - Spojrzała na de Warenne'a i pokiwała głową. - A zatem do widzenia. - I już jej nie było.

Amanda odczuła dużą satysfakcję.

- Zadowolona z siebie? - powiedział cicho tuż za jej plecami.

Odwróciła się na pięcie i prawie wpadła w jego ramiona. Cofnął się jednak. Gdy zostali sami, sprawiał wrażenie zirytowanego.

- Jest tłuścą maciorą i leci na pana jak szafa z trzema nogami.

Twarz mu zbladła.

Amanda wiedziała, że popełniła straszny błąd, nie wiedziała tylko, na czym polega.

- Wiem, że tak naprawdę pan jej nie chce, prawda? To idiotka. Żeby nazwać „Fair Lady” łódką! - Zobaczyła, jak bardzo jest wzburzony. - Pan jest na mnie zły? - spytała zaniepokojona. Czy zaraz wyrzuci ją z domu?

Dopiero po chwili odwrócił się, podszedł do niej i uśmiechnął się leciutko.

- Nie, nie jestem. Cieszę się, że widzę cię na nogach, do tego w znacznie lepszej formie.

Od razu zrobiło jej się lepiej.

- Jeśli pan chce ją mieć - powiedziała z ociąganiem - mogę pójść i ściągnąć ją tu z powrotem. Nie jestem głupia. Wiem, że wzięła mnie za pańską kochankę czy co tam sobie ubzduriała. Mogę jej powiedzieć prawdę.

Utkwił w niej wzrok.

Amanda zastygła. Nagle dotarło do niej, że znajduje się sama z potężnym i niezwykle męskim człowiekiem, zupełnie naga pod cieniutkim szlafrocikiem.

- Nie jestem zainteresowany panną Delington.

- Aha. - Uśmiechnęła się z ulgą.

- Panno Carre - powiedział z namysłem.

- Nie, niech pan zaczeka - przerwała mu. - Oboje wiemy, że nie jestem damą. Nazywam się Amanda. Albo dziewczyna. Tato mówił do mnie dziewczyna. - Oczy jej zwilgotniały. Na chwilę zapomniała, że ojciec nie żyje, a teraz wszystko wróciło ze zdwojoną siłą.

- Mówił do ciebie „dziewczyno”?

Usiadła w ogromnym, puszystym fotelu z mnóstwem dziwnych kłaczków.

- Tak. -

Przyciągnął otomanę w zielono-złote paski i usiadł przy Amandzie.

- Powiedz mi, jak się czujesz?

- Już mi się nie kręci w głowie.

- Pilnowaliśmy, żebyś jadła przed każdą porcją laudanum.

- Czy długo spałam?

- Z przerwami trzy dni. Zastanawiałem się, kiedy się obudzisz. - Uśmiechnął się zachęcająco.

Mimowolnie odwzajemniła uśmiech. Przechwycił jej wzrok, przez chwilę nie odrywali od siebie oczu.

W tym momencie coś się zmieniło. Patrząc na niego, Amanda nagle się zmieszała. Był szalenie przystojnym mężczyzną i naprawdę wydawał się miły, bez udawania. Był jednym z największych żeglarzy, a to lepiej, niż nosić królewską koronę. Kiedy przyjmie jej propozycję, będzie z nim dzielić łóżko.

Nigdy nie pożałowała żadnego mężczyzny, choć czasami przychodził do niej w snach złotowłosa kochanek i całował ją żarliwie, a kiedy się budziła, czuła w ciele dziwne napięcie. Czasami budziła się na krawędzi niewiarygodnej rozkoszy, by już po chwili stwierdzić, że to był sen, a ona jest sama. Zastanawiała się, czy zacznie jej się śnić de Warenne. Czyż nie przypomina do złudzenia kochanka z nocnych marzeń?

Nagle wstał i poszedł nalać sobie drinka. Trzęsła mu się ręka.

- Dlaczego pan drży? - Gdy mruknął coś niewyraźnie, dodała: - Może bierze pana grypa. Kilku żeglarzy na nią choruje.

- To nie grypa.

- Całe szczęście. - Zawahała się. Poza tym czuła się dobrze w tak wykwintnym towarzystwie. Zaczęła kluczyć. - Po co panu tyle mebli? A skoro nie chciał pan chędożyć tamtej kobiety, to po co tu przyjechała?

Spojrzał na nią zde gustowany.

- Wiem, że przeszłaś ciężkie chwile i że pochodzimy z dwóch różnych światów, jednak ja... no, ktoś powinien cię nauczyć tego i owego.

Spojrzała na niego nieufnie.

- Na przykład czego? Czytania?

- To może zrobić nauczyciel. Ty zaś nie powinnaś używać pewnego słownictwa w kulturalnym towarzystwie. Na przykład nie powinnaś nigdy mówić... chędożyć. Nigdy!

- A niby dlaczego? - zdumiała się. - Wszyscy mężczyźni to robią, jak tylko mają okazję.

Nie zdołał ukryć uśmiechu.

- Zgoda, jesteśmy ofiarami naszej męskości, przyznaję. Zaczniemy więc od początku. Nie możesz przechadzać się po domu w takim stroju.

Spojrzała na szlafroczek. Jeszcze mi go zabierze, pomyślała z żalem. Dotknęła koronkowego ramiączka. Potem popatrzyła na Cliffa i wzruszyła ramieniem, by nie myślał, że jej zależy -i będzie żałować, jeśli jej odbierze ten śliczny fatalaszek.

- Amando. - Usiadł na otomanie, tyle że trochę ją odsunął. - Mamy do omówienia pewną sprawę - oznajmił z wielką powagą.

- Tak, słucham. - Czy jednak wyrzuci ją z domu?

- Nie traktuj tego jako arogancji z mojej strony,

że się wtrącam i w ogóle, ale pomyślałem, że będziesz wolała pogrzeb na morzu.

- Och... Och! Nie myślałam o tym! Gdzie jest tatko? - zawołała.

- W zakładzie pogrzebowym w Kingston. Możemy go pochować na morzu. - Gdy w milczeniu pokiwała głową, dodał łagodnie: - Myślałem o jutrzejszym dniu. Dasz radę? Wygłoszę pożegnalną mowę jako kapitan albo poproszę pastora lub kapelana okrętowego.

- Chciałabym, żeby to pan pobłogosławił mu w ostatniej drodze.

- Oczywiście, Amando.

Spojrzała w jego błyszczące niebieskie oczy i poczuła się niewiarygodnie bezpieczna, jakby właśnie wpłynęła do portu po szalejącym sztormie.

Wstał.

- Czy chciałaś się ze mną widzieć z jakiegoś powodu? Jeśli nie, pójdę do dzieci.

Nie myślała o tym, co będzie, jeżeli de Warenne przyjmie jej propozycję. Łoże, seks, to jakby było poza nią. Natomiast zobaczyła siebie na pokładzie „Fair Lady”, na dużych falach z białymi grzywami. Ona stoi na dziobie, de Warenne na pokładzie rufowym razem ze swoimi oficerami. Będą pruli przed siebie wśród łopotu żagli, co przy takiej pogodzie będzie czystym szaleństwem. Swoboda, oszałamiająca wolność. Uśmiechnęła się do swoich myśli.

- Amanda?

Powróciła na ziemię, znikł jej uśmiech. Przygryzła wargę, zawahała się.

Powędrował wzrokiem na jej usta, potem na oczy.

- O co chciałaś mnie zapytać? Musiała skoczyć na głęboką wodę. Podniosła się z fotela.

- Zrobię wszystko... wszystko... jeżeli zabierze mnie pan do Anglii.

Utkwił w niej wzrok.

Nie miała pojęcia, co oznacza to nieruchome spojrzenie. Jest bystry, powinien więc zrozumieć, w czym rzecz.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Nie mogę zapłacić za podróż pieniędzmi. Są jednak inne sposoby.

Jednak Cliff pokręcił z niedowierzaniem głową, jakby mówił „nie”.

Była bliska paniki. Musi się dostać do Anglii. Obiecała.

- Powiedziałam, że zrobię wszystko. Czy pan dobrze mnie zrozumiał? - Zobaczyła, jak czerwienieje ze złości. Dlaczego się wścieka? Czy nadal jej nie rozumiał? - De Warenne, proponuję panu moje ciało. Tylko w ten sposób mogę zapłacić za...

- Przestań! Skuliła się w sobie.

- Wiem, że nie jestem dostatecznie wykwintna dla pana...

Nie zdążyła dodać, że jest dziewicą, bo chwycił ją za ramiona.

- Czy zawsze tak robisz, gdy chcesz coś osiągnąć? Oferujesz swoje ciało w zamian za towar czy przysługę? - Puścił ją, cofnął się nieco. - Mogę

ścigać piratów, ale jestem dżentelmenem i nazywam się de Warenne - wycedził przez zęby. Trzęsła się, jej serce biło w zawrotnym tempie.

- Muszę dostać się do Anglii - tłumaczyła. - Tatko powiedział, żebym popłynęła z panem. Chcę tylko panu zapłacić!

- Dostyc! Czy tam mieszka twoja matka? Pokiwała głową, nie odrywając od niego oczu.

Czy dlatego odmawia, bo woli szykowną, tłustą piękność? I dlaczego tak to ją zabolalo?

- Zrozum, zamierzałem cię zabrać do Londynu, zakładając, że naprawdę masz tam rodzinę.

- Dlaczego miałby pan to robić?

- Bo powinnaś być z rodziną - stwierdził szorstkim głosem.

- Tylko jak zapłacę za przejazd? Nie jestem żebraczką, której się rzuca ochłapy!

- Nie zapłacisz! - powiedział obcesowo. - I nigdy nie miałem cię za żebraczkę. Planowałem wypłynąć w końcu miesiąca, ale biorąc pod uwagę to, co się wydarzyło, wyruszam jutro.

- Jutro? - Zaczęła się cofać. Ogarnął ją paniczny, wręcz zwierzęcy strach.

- To za wcześnie! Co z pogrzebem taty? Lepszy byłby koniec miesiąca. - Dopiero straciła ojca i nie była gotowa na spotkanie z matką.

- Pochowamy go, jak wypłyniemy w morze. Ruszamy jutro - oznajmił gromko, rozkazująco. - I nie ubierzesz się jak dzisiaj. Wolę cię w chłopięcym stroju.



## **Rozdział czwarty**

Opuścił go sen.

Ogromne, szmaragdowe oczy o migdałowym kształcie trzymały go na uwięzi. Burza jasnych, niemal srebrzystych włosów okalała egzotycznie piękną twarz. Długie, wijące się i zmierzwiłone kosmyki sięgały po bujne piersi, widoczne przez cieniutki bawełniany szlafrok. Jak można się pokazywać w salonie w czymś tak intymnym i przezroczystym?

Poczuł skurcz w lędźwiach, lecz zaraz zawstydził się. Jak można aż tak podniecić się córką pirata, a jednocześnie przejmować się jej losem! Chociaż znał już jej imię, nie nazywał jej w myślach Amandą. Ma być Dzikuską albo córką pirata lub nawet panną Carre, a on musi zwalczyć w sobie to zdrożne pożądanie.

Musi cały czas pamiętać, jak bardzo jest młoda, nieprawdopodobnie młoda... za młoda. I nie w jego

typie. Zanim uciekł z domu w wieku czternastu lat, uwodził córki znajomych ojca. Zawsze wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości, a miał do wyboru wiele pięknych, eleganckich dobrze urodzonych kobiet. Jeśli mógł wybierać między polnym kwiatkiem a cieplarnianą różą, zawsze zwracał się ku tej ostatniej.

Tylko że ona jest inna od nich wszystkich. Wystarczy sobie przypomnieć, jak wtargnęła do Pałacu Królewskiego z naładowanym pistoletem czy jak pruć kanoę po spienionym morzu. Dopiero kiedy sobie przypomniał jej słownictwo, przestał się uśmiechać. Zaraz jednak pomyślał o tym, jak przepędziła pannę Delington z jego domu, i zachichotał.

Nagle coś innego przyszło mu do głowy. To było coś takiego, co wymagało drinka.

Czy zachowała niewinność? Z pewnością wie, co oferuje. Biorąc pod uwagę środowisko, w którym się wychowała, musiała zdobyć pewne doświadczenia. No i tak ochoczo frymarczyła ciałem. Stara sztuczka kobiet zdanych na łaskę losu! Nie ma nic innego do przehandlowania. To go przerażało i ogromnie smuciło zarazem.

Nowy kłopot, bo czekał ich wspólny rejs. Znał dobrze siebie i wiedział, że potrafi się kontrolować, ukrywać pożądanie. To będzie dość trudne i nieprzyjemne, ale miał w sobie mnóstwo samodyscypliny. **A** ona jest tak młoda! Wystarczy wziąć się w garść. Ponieważ skróci pobyt w domu, zabierze z sobą dzieci. Rozerwą się, a przy okazji będą jego strefą buforową.

I jeszcze coś. Krąży pogłoska, jakoby Rodney

Carre służył kiedyś w Królewskiej Marynarce. Jeśli tak, matka Amandy może mieć szlacheckie pochodzenie.

Nowy powód do niepokoju.

Dzikuska nie wie, co to skromność i wstyd, nie mówiąc o dobrych manierach. Jeżeli jej matka jest szlachetnie urodzoną damą, ich spotkanie może okazać się klęską.

Z drugiej strony nie chciałby, żeby jej matka okazała się dziwką albo szpetną, dziobatą staruchą. Córnka pirata miała trudne życie, łatwo się domyślić, dodać dwa do dwóch. Zaszła na trochę luksusu, a tego można wymagać od wytwornej rodziny ze strony jej matki.

W ciągu sześciu tygodni może nabierze trochę ogłady i nie zaszokuje ludzi. Anahid wiele mogłaby jej przekazać, pomyślał bez przekonania. Bo jeśli Dzikuska zbuntuje się przeciw wszelkim naukom? Cóż, obiecał, że przewiezie ją do Anglii, nie zaś przeobrazi w młodą damę. Po prostu to nie jego sprawa.

Dochodził świt, czas pomyśleć o podróży. Bagaż dzieci został przygotowany poprzedniego wieczoru, nauczyciel języków powiadomiony, że rusza w rejs. Cliff uznał, że przyda się nie tylko dzieciom, ale i pannie Carre.

Kiedy opuszczał sypialnię, niebo miało kolor fuksji, a morze indygo. Ruszył do skrzydła zamieszkanego przez dzieci. Drzwi do pokoju Aleksa były otwarte, chłopiec ubrał się już i właśnie mył zęby. Odwrócił się i z buzią pełną wody uśmiechnął promiennie do ojca.

Cliffa zalała fala czułości.

- Ariella też jest gotowa?

- Słyszałem, jak skarży się Anahid na zbyt wczesną porę. Tatku, mamy sprzyjający wiatr.

Mrugnął porozumiewawczo do syna.

- Wiem. Nie śpiesz się. Panna Carre na pewno jeszcze śpi.

Po chwili przystanął pod pokojem córki.

- Ariella? Anahid?

Upłynęła chwila, zanim guwernantka otworzyła drzwi. Wyczuł, że się uśmiecha.

- Milordzie?

Przez jej ramię zobaczył, że zaspana Ariella jest jeszcze w nocnej koszuli. Przyciskała do siebie książkę.

- Dzień dobry. Nie martw się, Anahid zapakowała dla ciebie mnóstwo książek. A jeśli wszystkie przeczytasz, zawsze zostanie ci moja Biblia.

Dziewczynka ziewnęła.

- Za dziesięć minut będziemy na dole, milordzie - zapewniła Anahid.

Zbiegł do dużego holu. Był podekscytowany. Jak zawsze rozpierało go poczucie szczęścia, kiedy wypływał na morze. Pierzchły wszystkie nocne demony. Za dwie godziny będzie miał wiatr w plecy, otwarte wody przed sobą i dzieci przy sobie. Czego można chcieć więcej od życia?

Wtedy zobaczył Dzikuskę. Nie spodziewał się, że wstanie tak wcześnie. Na jego widok poderwała się z fotela.

Podszedł do niej.

- Dzień dobry. Dopiero świta. Nie mogłaś spać?

- Gdy w nocy przechodził koło jej pokoju, usłyszał, że płacze, teraz jednak nic nie wskazywało na to, że spędziła okropną noc. Kiedy była chora i pogrążona w rozpacz, kazał wyprać jej ubranie. Miała na

sobie luźną koszulę i bryczesy, przepasana była grubym złotym sznurem. Wyglądał dziwnie podejrzanie, jakby został zdjęty... ukradziony z kotary.

- Wkrótce wyruszamy w morze - powiedziała z uśmiechem. - Nie mogłam uleżeć w łóżku.

Zdumiał się niepomiernie. Przecież nie mogła dzielić z nim tej specyficznej ekstazy związanej z morzem. Z pewnością co innego ją podnieca.

- Podróż trwa sześć tygodni. Trochę czasu upłynie, zanim znów zobaczysz matkę.

- O czym pan mówi? Wiem, ile trwa podróż.

- Zaczęła wiercić się niespokojnie. - Mamy dobry wiatr. Zaraz wypływamy?

Czy to możliwe, żeby tak jak on ekscytowała się wyruszeniem w rejs?

- Patrzy pan na mnie jak na idiotkę! - zawołała. - Tak dawno nie pływałam. - Zaczęła przeskakiwać z nogi na nogę. - Po co zwlekać? Widziałam z okna, jak pańscy ludzie podnoszą żagle. De Warenne... to znaczy kapitanie... chciałabym już poczuć rozkołysany pokład pod nogami i mocny wiatr we włosach. Gdy tak patrzył na nią, ku własnemu zdumieniu poczuł erekcję. Niesłychane! Odwrócił się błyskawicznie, by Dzikuska nie zauważyła, jak na nią reaguje.

- De Warenne... kapitanie, możemy już ruszać. Nie odpowiedział. Sześciotygodniowa podróż zawisała nad nim jak złe fatum. Reakcja na pannę

Carre była skandaliczna. Jako kapitan statku miał obowiązek dbać o jej bezpieczeństwo do końca podróży, nie zaś uwieść w przyprawie namiętności. Chwała Bogu, że zabrał z sobą Ariellę i Aleksa!

- Coś panu dolega? - zapytała, pociągając go za kurtkę.

Odwrócił się, spojrzał na Dzikuskę.

- Zabieram w podróż dzieci. Gdy zejda na dół, wyruszymy.

Oczy jej się zaświeciły.

- Miałam sześć lat, kiedy zaczęłam pływać z tatą. Pańska córka jest w tym samym wieku, prawda?

- Tak.

- Zachowuje się pan tak dziwnie. - Zmrużyła szmaragdowe oczy. - Coś nie gra?

Załoczył ręce na piersi, przetrzymał jej wzrok.

- Kiedy ostatnio pływałaś po morzu? I nie chodzi o wiosłowanie kajakiem.

- Odbyłam krótką podróż na Barbados. Tata miał tam sprawy do załatwienia, całkiem legalne. To było ubiegłej wiosny.

- Widzę, że od rana dopisuje ci świetny humor, panno Carre.

- Chciał pan powiedzieć: Amando. - Jej entuzjazm przygasł trochę. - Nie zapomniałam o tacie, jeśli do tego pan pije. Myślałam o nim przez całą noc, wypłakałam oczy. - Podumała chwilę, rozpogodziła się nieco. - „Fair Lady” to mój ulubiony statek. Jest w niej coś intrygującego. Każdy wie, że jest najszybszą fregatą, ale to pańska zasługa, ma się rozumieć. Nie przegrał pan żadnej bitwy! Mogę pomagać przy działach. Zbudował ją jakiś Portugalczyk, prawda? Tata mówił, że jest jednym z najlepszych skutników.

- Tak, oczywiście. - Cliff naprawdę był pod wrażeniem.

- Czy mogę się panu zwierzyć z pewnej tajemnicy? - Uśmiechnęła się szeroko, ale i zaczerwieniła. - Śniła mi się przejażdżka na „Fair Lady”, wyścig z wiatrem! To takie moje ciche marzenie. - Odrzuciła włosy, których nie chciało jej się związać.

- Ciche marzenie... - Z powodu boleśnie uwierających bryczesów znów musiał się odwrócić. Śniła o jego statku. Czy również i o nim?

- Nie mogę się doczekać, kapitanie.

Myślał, czy nie złożyć tego na karb niepoczytalności, ale tak pragnął przycisnąć ją do siebie, całować, całować, i nie tylko.

Usłyszał tupot dziecięcych stóp i radosny, ożywiony trajkot. Poczł wielką ulgę i gorzkie rozczarowanie.

Odetchnął głęboko, po czym oznajmił:

- Panno Carre, jesteśmy w komplecie. Zatem w drogę.

Amanda uchwyciła się balustrady, zamknęła oczy i podniosła głowę do słońca, poddając się pędowi wiatru. Zostawili za sobą Kingston, tylko cienki pasek na horyzoncie świadczył, że ruszyli z wyspy.

Morze falowało łagodnie. De Warenne płynął niemal na pełnych żaglach, więc wielka fregata sunęła z prędkością piętnastu węzłów, jak na to pozwalał wiatr.

Otworzyła oczy i zaśmiała się radośnie. Czyż nie

wiedziała, że tak będzie? Spojrzała na kapitana, który był na pokładzie rufowym. Stał przy sterze z synem, pomagając chłopcu sterować. Wydał się wyższy, szerszy w barach, o włosach jeszcze bardziej złocistych. Od samego patrzenia zapierało jej dech.

Czekało ją sześć najlepszych tygodni w życiu, by zaś ich sobie nie psuć, postanowiła nie myśleć o spotkaniu z matką.

De Warenne spojrzał na nią przez ramię. Uśmiechał się. Jego również musiało ogarnąć radosne podniecenie, choć uśmiech znikł, kiedy tylko napotkał jej wzrok.

W ogóle zachowuje się dziwnie, pomyślała, odkąd pokrzyżowałam jego miłosne plany. Och, ale jakie to ma znaczenie teraz! Słońce świeci wysoko, delfiny ścigają się z fregatą. Nie powstrzymała się jednak i jak marionetka, którą ktoś pociąga za sznurek, odwróciła się, żeby znów popatrzeć na de Warenne'a.

Między ojcem a synem nie padło ani jedno słowo, ale chłopiec był wyraźnie zaabsorbowany sterowaniem. Przypomniała sobie, jak tata pomagał jej przy sterze, kiedy była tak mała, że musiał ją trzymać na rękach, by dosięgła do koła. Zrobiło jej się smutno. Następnie przeniosła wzrok na córkę de Warenne'a, która siedziała niedaleko nich i w koronkowej białej sukience, z otwartą książką na kolanach wyglądała jak księżniczka, którą zapewne była. Ojciec podsunął jej pod siedzenie aksamitną poduszkę, żeby nie pobrudziła falbankowych majtek. Była śliczna

i rozpieszczona, a duszy żeglarza nie było w niej ni krzty, bo ledwie raz podniosła wzrok znad książki. Nie miała pojęcia, co to znaczy być bogatą dziewczynką, ale to dziecko umiało czytać - a miało zaledwie sześć lat. Zapiekły ją policzki. Wolałaby nie przyznawać się de Warenne'owi, że jest anal-fabetką. Och, przecież już to zrobiła. Czy uznał ją za idiotkę? Za to uwielbia swoją księżniczkę z bajki i jest z niej bezgranicznie dumny.

Kapitan z uśmiechem spojrzał na Amandę.

- Moja córka czyta lepiej niż wiele dorosłych osób. - Zerknął na Ariellę. - Co teraz czytasz, kochanie?
- Historię faraonów, tatku.



Faraon? Co to takiego? - pomyślała Amanda.

Była zazdrosna o jego córkę. Chętnie poszłaby na pokład rufowy, ale nikt jej tam nie zapraszał. Nie miała nic ważnego do powiedzenia Cliffowi, więc nie było pretekstu, by poprosić o pozwolenie wejścia na pokład, uważany za święte miejsce na statku.

O dziwo, pomyślała o pięknym koronkowym szlafrocuku, którego de Warenne jej nie zabrał. Leżał w torbie razem z krzyżykiem i łańcuszkiem ojca, a także z pistoletem. Sztylet włożyła za cholewę, a szpadę pod poduszkę na koi.

- Tatku? Niedobrze mi - poskarżyła się Ariella. Amanda spojrzała na nią. Dziewczynka miała ten specyficzny wyraz twarzy, typowy dla morskiej choroby.

- Czy mogę zejść na dół i poleżeć z Anahid?

- To najgorsze, co można zrobić. - De Warenne rozejrzał się powoli, zatrzymał wzrok na Amandzie, jakby się zawahał.

Wiedziała, o co mu chodziło, a ponieważ tak bardzo chciała zapłacić za przejazd, podeszła do Arielli. Po prostu pomoże przy dzieciach.

- De Warenne, pochodzę z nią po pokładzie.

- Mogłabyś to zrobić? Anahid jest na dolnym pokładzie i przygotowuje kabiny dzieci.

- Proszę się nie martwić. Postaram się, żeby mała nie wypadła za burtę. - Gdy de Warenne podskoczył do córki, Amanda oznajmiła ze śmiechem: -Jejku, to był żart.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego — rzucił rozeźlony.

Zagryzła wargę. Jest taki serio, gdy chodzi o córkę! Mała księżniczka pewnie wylewa kubły łez, kiedy od niego oberwie.

- Chodź ze mną. - Wyciągnęła do dziewczynki dłoń. Ariella ufnie podała jej rękę, w drugiej ścisnęła książkę. Amanda pomogła jej zejść na główny pokład. - Za parę dni, kiedy twoje nogi przywykną do bujania, poczujesz się lepiej.

- Naprawdę? - Dziewczynka uśmiechnęła się, po czym zrobiła się zielona.

Dociągnęła ją do balustrady w momencie, kiedy mała zaczęła wymiotować. Gdy skończyła, była bliska płaczu. To dziecko to zwykły mazgaj, pomyślała z niesmakiem Amanda.

De Warenne podszedł i wziął córkę na rękę.

- Obiecuję ci, że za parę dni poczujesz się lepiej. Ariella zwalczyła łzy.

- Czuję się dobrze, tatusiu. Postaw mnie.

- Na pewno?

- Tak. Chcę pochodzić z panną Carre. Naprawdę czuję się lepiej. - Na jej buzi pojawił się cień uśmiechu.

Gdy postawił ją na pokład, wzięła za rękę Amandę, która poczuła się jak outsiderka. Jej zazdrość o dziewczynkę wzmagała się, dopóki de Warenne nie przeniósł wzroku na nią.

- Dziękuję, panno Carre. Jest pani bardzo miła dla mojej córki - powiedział, wędrując oczami po jej twarzy.

Odebrała to jak aksamitną pieśczętę i nagle zrozumiała, że jeśli chce, by ją polubił, musi być dobra dla jego dzieci. A chciała, by ją polubił, i to bardzo.

Uśmiechnęła się.

- Jeszcze trochę, a jej nóżki przywykną do rozbujanego pokładu. Przecież jest pańską córką.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem, po czym wrócił na pokład rufowy. Odprowadziła go tęsknym wzrokiem.

- Lubisz tatka.

Amanda poczerwieniała, po czym poprowadziła dziewczynkę na dolny pokład, poza zasięg głosu.

- Kapitan de Warenne był dla mnie dobry i wiezie mnie do mojej matki.

- Wiem. Powiedział nam. Ona jest w Anglii.

- Ariella patrzyła na nią badawczo. Zbyt badawczo jak na sześciolatnie dziecko.

- Jest wielką damą - przechwalała się Amanda.

- Jest bardzo piękna i mieszka w dużym, wytwornym domu z różanym ogrodem.

- Naprawdę? A czy twój tatko naprawdę był piratem? - zapytała z powagą.

Zawahała się, po czym uznała, że za nic nie wyjawia prawdy.

- Został niesłusznie oskarżony i powieszony

- nieśmiało skłamała. - Był plantatorem i dżentelmenem. A dawno temu - dodała, żeby nie mijać się za bardzo z prawdą - był oficerem Marynarki Brytyjskiej.

Ariella milczała. Pewnie myśli intensywnie, uznała Amanda. Co za dziwne dziecko!

- A dlaczego wcale się nie cieszysz, że płyniesz na spotkanie z mamą?. Czy dlatego, że twój tatko umarł?

Amanda stanęła jak wryta. Miała ochotę zakatrupić małą, jednak de Warenne patrzył na nie, więc zmusiła się do uśmiechu.

- Bardzo się cieszę na spotkanie z mamą. Nie widziałam jej od czasu, kiedy byłam trochę młodsza od ciebie. - Gdyby tylko była w stanie uwierzyć, że mama przyjmie ją z radością.

- Naprawdę? - Ariella gwałtownie posmutniała.

- Moja mama nie żyje. Została zamordowana, kiedy się urodziłam.

- Naprawdę była księżniczką? - spytała ciekawska Amanda.

Ariella roześmiała się.

- Nie, no co ty. Teraz nie ma żydowskich rodzin królewskich.

- Była Żydówką? - To ją zdziwiło. Oczywiście, spotkała już Żydów, gdy z ojcem była na Curaçao, gdzie mieszkało ich bardzo wielu. Tata powiedział, że Żydzi przybyli tu z Hiszpanii.

- Tatko zakochał się w niej i spłodzili mnie, ale to było zakazane, więc książę Maghrebu skazał ją na śmierć. Wiesz, gdzie znajduje się Maghreb?

Amanda była zszokowana. Współczuła Arielli, bardzo jednak zaniepokoił ją fakt, że de Warenne był zakochany w jej matce. Sądząc po córce, musiała być bardzo piękna.

- Wiesz?

- Tak. - Pociągnęła małą za rękę, by kontynuować spacer po pokładzie.

- Tatko też cię lubi - oznajmiła Ariella. Amanda potknęła się o własne nogi.

- Co?
  - Bez przerwy wpatruje się w ciebie i robi się czerwony - dodała roześmiana dziewczynka. - Zwykle się nie rumieni, tylko kiedy jesteś z nim w pokoju.
  - Wątpię, żeby twój ojciec z jakiegokolwiek powodu mógł się zaczerwienić.
  - Czerwieni się na twój widok. Kiedy rano opuszczaliśmy dom, widziałam, jak się zaczerwienił na kutrze.
  - Jest gorąco. - Nie zamierzała dyskutować o Cliffie z jego rozpieszczoną córką, która się puszy i czyta książki dla dorosłych. Poza tym obeszły już cały pokład i znalazły się blisko obiektu rozmowy.
  - Czuję się lepiej i chcę się położyć. - Ariella ziewnęła, po czym popchnęła drzwi do kabiny kapitańskiej.
- Amanda nie zaprotestowała, ponieważ była pewna, że małej wolno chodzić, gdzie jej się podoba. Sama nigdy by się nie ośmieliła wejść do kabiny taty bez pukania, ale u niego często gościła jakaś

lafirynda. Dotąd uważała, że wszyscy ojcowie są tacy sami, dopiero teraz zobaczyła, że de Warenne traktuje swoje dzieci zupełnie inaczej niż ją traktował tata. Nie przejmował się, że jego córka jest analfabatką, trzymał krótko, nie hołubił.

Ariella wbiegła do kabiny. Amanda nie mogła się oprzeć i stanęła w progu, żeby choć zerknąć na sypialnię de Warenne'a, niby to pilnując małej, jak obiecała.

Kabina była czerwona.

Ściany miały kolor cynobru, podłogę przykrywały trzy szkarłatne dywany - tybetański, chiński i cienki, wysokiej klasy Aubusson. Znała się na nich, ponieważ rabowane z ojcem dywany należały do najcenniejszych łupów. Przy ścianie stało wielkie hebanowe łóże z baldachimem, przykryte czerwono-złotym adamaszkiem, z jedwabną pościelą w czerwone paski. U wezłowania ułożono czerwono-złote poduszki ozdobione grubymi frędzlami.

Pośrodku stał wytworny angielski stół o giętych nogach i cztery tapicerowane krzesła obite aksamitem w kolorze burgunda. Pod bulajami przybito wielką deskę z mapami i wykresami. W całym pokoju znajdowało się mnóstwo dziwnych pamiątek - arabska mosiężna szafka z kluczem w zamku, maski afrykańskie, fantazyjne wazy marokańskie, kryształ z fabryki Waterford, złote lichtarze, a na półce setki książek.

Właśnie wkroczyła w prywatny świat Cliffa de Warenne'a.

Nagle ktoś złapał ją z tyłu.

- Co tutaj robisz?

Zareagowała instynktownie, ale w momencie, kiedy wyciągnęła nóż i przyłożyła do piersi napastnika, zrozumiała, że popełnia błąd. De Warenne otworzył szeroko oczy. Zamarła, serce waliło jej jak szalone, kiedy uświadomiła sobie, że trzyma ją w ramionach.

- Co to takiego? - zapytał bardzo spokojnym tonem.

Ma mocarne ciało i potężne uda, pomyślała. Przycisnął ją do siebie tak mocno, że nie mogła oddychać.

- To jest sztylet - wysapała. - Przepraszam... odłożę go, ale musi mnie pan puścić.

Wpili w siebie wzrok, a kiedy ją puścił, wyczuła, że jest podniecony. Odetchnęła głęboko, znów spojrzała na niego.

Zaczerwienił się. Jego córka miała rację, pomyślała zaszokowana.

- Nikt nie wchodzi do tej kabiny bez pozwolenia. - Podeszedł szybko do bulajów, uspokajał oddech.

Za późno. Amanda widziała wyraźnie, że ma erekcję. Bez pośpiechu wsunęła sztylet za cholewkę.

Pragnie jej. Prawdę mówiąc, nie wiedziała dlaczego.

- Tatku, to moja wina. To ja chciałam tu wejść - wyszeptała Ariella z łóżka.

De Warenne uśmiechnął się do córki, choć wciąż był spięty.

- Nawet ty musisz najpierw zapytać, zanim tu wejdiesz.

Mała kiwnęła głową, z ciekawością przyglądając się ojcu i Amandzie, która pierwsza się opanowała.

- Przepraszam - powiedziała, zastanawiając się, czy de Warenne czuje ulgę, a może jest rozczarowana, bo znów musiał ujarzmić miłosne popędy.

Dał im znak, żeby wyszły za nim z kabiny, po czym oznajmił:

- Panno Carre, poproszę na chwileczkę.

Nie spodobał jej się ton jego głosu, ale kiwnęła głową, mając nadzieję, że nie ukarze jej za wkroczenie na prywatny teren. Tak by postąpił tata. Co najmniej trzepnąłby po głowie. Jeśli de Warenne ją uderzy, nie pozostanie dłużna. Jeszcze zobaczy, jaka jest silna i odważna - tata będzie z niej dumny.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu...

Zrobiła unik.

Zastygł z uniesioną ręką.

- O co chodzi? Zarumieniła się.

- O nic, to znaczy nie będę uchylać się przed ciosem.

- Co takiego?

- Proszę się nie krępować i walić. Zasłużyłam sobie.

- Myślałaś, że chcę cię uderzyć?

- A niby po co ta ręka?

- Panno Carre, ja nie biję kobiet! - oburzył się. - Nigdy tego nie zrobiłem i nie zrobię.

- To jakiś podstęp? - spytała nieufnie.

- Podstęp? - Był naprawdę zdumiony. - Panno Carre, próbuję zaprosić cię na kolację.

- Chce pan jeść razem ze mną? - Na pewno coś knuje, pomyślała.

- Pomyślałem, że moglibyśmy porozmawiać.

- Aha, porozmawiać... - Mężczyźni potrzebują kobiet tylko w jednym celu, a już na pewno nie do rozmowy. Serce zabiło jej mocno. A więc zmienił zdanie i w końcu postanowił wziąć ją do łóżka.

- Przyjmiesz moje zaproszenie?



Czyżby postanowił w ten sposób zainkasować za rejs? Roilo się jej od mglistych, acz namiętnych obrazów złotowłosego kochanka z nocnych marzeń, lecz kochanek przestał już być anonimowy. Może spodobałoby się jej w jego łóżku. Wszyscy mówią, że jest w tych sprawach nadzwyczaj biegły. Poczula rozkoszne mrowienie w plecach.

- Możemy jeść... i rozmawiać - powiedziała cicho.

Zmrużył oczy.

- Moje zamiary są uczciwe. Akurat, pomyślała.

## **Rozdział piąty**

Stała dumna i wyniosła przy balustradzie na rufie statku. Sześciu marynarzy wniosło na pokład tekową trumnę z ciałem jej ojca. Błyszczała w karaibskim słońcu. Załoga „Fair Lady” liczyła prawie trzysta osób. Wszyscy niepełniący wachty marynarze czekali na pokładzie w pełnym szacunku milczeniu. De Warenne z Biblią w rękach przemawiał, jednak nie rozumiała ani słowa.

Ból po stracie ojca wprost ją sparaliżował.

Jednak w obecności de Warenne'a, jego dzieci i załogi musiała zachować twarz... i nagle łzy popłynęły obficie. Nie potrafię żyć bez taty, zawodziła w duchu. To zbyt boli.

Był jej życiem. Matki nie знаła, to kompletnie obca osoba, nigdy nie zastąpi ojca.

Stała samotna jak palec z krwawiącym sercem, którego nikt nie chciał. Tatku...

Nagle dotarło do niej, że na fregacie panuje cisza. Słysząc było tylko skrzypienie masztów, łopot żagli i pluskanie wody. Kapitan de Warenne skończył przemawiać.

Nie miała odwagi spojrzeć na niego. Gdyby to zrobiła, zaczęłaby wyć z bólu i wściekłości.

Podszedł do niej i zapytał cichym, wzruszająco ciepłym głosem:

- Chcesz powiedzieć kilka słów?

Nie była w stanie oddychać, a co dopiero mówić. Cisza na statku była przerażająca.

- Czy chcesz pożegnać ojca? - Położył rękę na jej ramieniu.

Zmuszona była podnieść wzrok. Pokiwała głową i zaszlochała. Objął ją i poprowadził do błyszczącej trumny.

Amanda padła na kolana, objęła wywoskowane drewno, przytknęła policzek. Tatku, pomyślała, kocham cię i zawsze będę cię kochała.

„Bądź silna, dziewczyno. Zawsze bądź silna. Jesteś teraz w dobrych rękach”.

- Nie jestem silna - wyszeptwała. - Nie potrafię żyć sama.

„Nie jesteś sama, dziewczyno, i jesteś silna. Silna i dzielna, i nie zapominaj o tym”. Ktoś ścisnął ją za ramię.

„Muszę odejść, dziewczyno. Pozwól mi odejść”.

- Nie zostawiaj mnie! - krzyknęła w panicznym strachu. - Tato!

Mocne ręce dźwignęły ją z kolan.

- Pozwól mu odejść, Amando. - De Warenne dał znak marynarzom.

Zaczęła szlochać, kiedy sześciu rostrych mężczyzn poniosło trumnę na rufę.

- Nie zostawiaj mnie - szepnęła bez tchu.

- Pobłogosław mu, Boże, i odpuść winy - powiedział de Warenne.

- Amen - odpowiedziało dwustu ludzi.

Trumna z ciałem Rodneya Carre'a wpadła z łoskotem do morza, odprowadzona rozpaczliwym krzykiem córki.

- Powinnaś się położyć - powiedział de Warenne, odciągając ją z rufy.

W napadzie szału zaczęła okładać go pięściami, jakby to on zamordował jej ojca.

Wziął ją na ręce i zaczął schodzić z pokładu, lecz ona wciąż miotała się i biła z całych sił, nienawidząc de Warenne'a, Woodsa, wszystkich Brytyjczyków i całego świata.

Wreszcie złość minęła, pozostało tylko straszliwe zmęczenie.

Obudziła się w ciemnościach, wiedziała jednak, że leży w łóżku de Warenne'a, na którym położył ją po pogrzebie. Dał jej też drinka. Zasnęła ukołysana płaczem.

Z otwartych bulajów docierało cudownie rześkie powietrze. Noc była jak czarny aksamit usiany migoczącymi gwiazdami.

Zsunęła się z łóżka, odszukała i naciągnęła buty, które de Warenne albo ktoś na jego polecenie ściągnął jej z nóg.

Zastanawiała się, gdzie przebywa kapitan statku i co o niej myśli. Na pewno uważa, że jest słaba i bezradna. Zawiodła tatę.

- Nie martw się - powiedziała do ojca. - Koniec z babską histerią. Przepraszam, tatku, że okazałam się taką durną dziewczyną.

Tym razem nie padła odpowiedź.

Podumała chwilę, potem wyszła z kabiny i od razu zobaczyła de Warenne'a.

Przy sterze stał pierwszy oficer Maclver, potężnie zbudowany Szkot. De Warenne, wsparty o balustradę na głównym pokładzie, wpatrywał się w niebo rozświetlone gwiazdami, które odbijały się w

błyszczącej ciemnej wodzie. Wiał łagodny wiatr, więc fregata wytraciła prędkość. Balsamiczna, cicha noc, idealna na rejs.

Odwrócił się. Dzielilo ich sporo jardów. Choć statek był znacznie lepiej oświetlony niż słup jej ojca, na pokładzie panowała ciemność. Nie miało to jednak znaczenia. Nawet w ciemności spotkali się wzrokiem i tak zamarli.

Czuła się niemal jak zahipnotyzowana.

- Wypoczęłaś? Podeszła do de Warenne'a.

- Tak, dziękuję za możliwość skorzystania z pańskiego łóżka.

- Nie mów tego zbyt głośno, bo mogłabyś zostać źle zrozumiana - powiedział z uśmiechem.

Też musiała się uśmiechnąć.

- Nie ma obawy. Nie sądzę, żeby ktokolwiek podejrzewał pana o chęć zaciągnięcia mnie do łóżka.

Odwrócił wzrok.

Natychmiast przypomniała sobie poranny epizod, a także zaproszenie na kolację, innymi słowy, na schadzke. Zapiekły ją policzki, poczuła coś dziwnego w całym ciele.

Zerknęła ukradkiem na de Warenne'a, świadoma faktu, że pierwszy raz w życiu czuje coś do mężczyzny. Potem zapatrzyła się w skaczące po falach światło gwiazd. Jak okiem sięgnąć, tylko bezkresne, wszechpotężne morze.

Obecność de Warenne'a poprawiała jej samopoczucie. Tak bardzo była go świadoma, jak i swojego podniecenia, ważniejsze jednak było to cudowne poczucie bezpieczeństwa.

Uśmiechnęła się leciutko. Nie musiała pytać kapitana, by wiedzieć, że także delektuje się pięknem i wzniosłym spokojem tej chwili.

- Czy ta noc nie jest cudowna? - zapytała.

- Wręcz doskonała.

Napotkała jego wzrok, poczuła trzepotanie w klatce piersiowej, po czym znów zapatrzyła się w morze. Tatko naprawdę odszedł, ale noc była cudowna. Powinna czuć się podle, wiedziała jednak, że byłby zadowolony, iż podziwia taką noc.

Zaburczało jej w brzuchu.

De Warenne uśmiechnął się do niej, lecz ona sumitowała się zaczerwieniona:

- Przepraszam, to na pewno nie przystoi damie.

- Powiedziałaś kiedyś, że nie chcesz być damą, w ogóle cię to nie interesuje.

Pomyślała o wytwornym szlafrocuku.

- Nie interesuje. - Wiedziała, że nie mówi całej prawdy. Już nie. - Jeśli pan naprawdę chciał zjeść ze mną kolację - zmieniła temat - to zaprzepaściłam szansę.

- Nikt z nas jej nie zaprzepaścił

- To znaczy?

- Też nic nie jadłem. Miałem nadzieję, że obudzisz się i razem coś zjemy.

A więc nie rozmyślił się i postanowił pójść ze mną do łóżka, pomyślała. Powinna być przerażona, ale nie była. Owszem, zdenerwowana i podekscytowana, ale nie przerażona. Zapłaci za rejs. Żeby się

tylko nie ośmieszyć! Nie mając doświadczenia, liczyła na swój spryt. Kiedy de Warenne rozkręci się, z pewnością odgadnie, co powinna robić.

- Muszę tylko przygotować nasz posiłek. Przepraszam, ale to potrwa chwilę.

Kiedy została sama, chwyciła się barierki i głęboko oddychała, czując przyśpieszony puls. Wreszcie wiedziała, czym jest pożądanie.

- Panno Carre. - Ruchem ręki zaprosił ją do kabiny.

Przekraczając próg, zapragnęła zamiast lnianej koszuli i bryczesów mieć na sobie sukienkę, której zresztą nie posiadała.

Spojrzała na stół. W złotych świecznikach paliły się wysokie świece. Na białym obrusie leżały serwetki, stała pozłacana zastawa, kryształowe kieliszki do wina i szklawki na czerwono, niebiesko i złoto talerze ze złotymi brzegami. Butelka wina w srebrnej podstawce obok parujących srebrnych półmisek. Nigdy czegoś podobnego nie widziała. Z wrażenia zastygła w bezruchu.

- Proszę. - Wysunął dla niej krzesło z aksamitnym obiciem.

- Naprawdę będziemy jeść? - wyszeptała bardzo zdumiona.

- Przecież zaprosiłem cię na kolację.

Nie mogła oderwać oczu od wytwornego stołu. Powinna przy nim usiąść królowa, a nie córka pirata!

- Panno Carre?

Wbiła wzrok w de Warenne'a. Zaklinał się, że jest dżentelmenem i nie kierują nim żadne niestosowne zamiary, i zaczynała w to wierzyć. Dla takich jak ona nie musiał inscenizować tak efektownych zalotów.

- Usiądź, proszę - powiedział łagodnie.

- To nie jest uwiedzenie?

- Nie, nie jest. - Patrzył jej prosto w oczy.

- Dlaczego?

Nawet w niewyraźnym świetle świec zauważyła, że się zaczerwienił.

- Dlaczego to nie jest uwiedzenie?

- Tak... nie... Och, dlaczego pan to robi? Dlaczego chce pan jeść ze mną kolację? Nie jestem księżną czy hrabiną, nie jestem piękna ani elegancka. Nie jestem też gubernatorem czy admirałem. Więc dlaczego?

- Przyjemniej jest jeść w towarzystwie - powiedział po chwili. - Chciałbym też dowiedzieć się czegoś o twoim życiu.

- O moim życiu? - Przecież było bez znaczenia, dotąd nikt się nim nie interesował.

- Nieczęsto się zdarza przychodzić z pomocą córce pirata - zażartował.

Uśmiechnęła się. W ustach kogoś innego zabrzmiałoby to obraźliwie, jednak teraz tak nie zabrzmiało.

- Zanudzę pana opowiadaniem o sobie. Natomiast chętnie posłucham o pańskich dziejach!

- Moje życie na pewno wyda ci się nudne.

- Och, gadanie. Przecież należy pan do rodziny królewskiej!

- Kochanie, gdzie mi tam do nich! - Z uśmiechem wskazał krzesło.



Oddychała z trudem, kręciło jej się w głowie. W końcu usiadła. Jeszcze nikt nie mówił do niej „kochanie”. Oczywiście nie znaczyło to nic wielkiego. Tak nazywał córkę. Nie była jego córką i nie chciała, by traktował ją jak dziecko. Tyle że wypowiedział to czułe słowo tak uwodzicielsko... Usiadł naprzeciw niej i sięgnął po butelkę. Po chwili namysłu uśmiech mu przygasł, odstawił wino.

- Muszę zapytać, ile masz lat.

- Dwadzieścia jeden - odparła bez wahania. - A pan?

Roześmiał się.

- Amando, to znaczy panno Carre, oboje wiemy, że daleko ci do tego wieku. Ja mam dwadzieścia osiem.

- Mam prawie dwadzieścia - skłamała. - I nie jestem damą. Może mi pan mówić po imieniu.

- Naprawdę?

- Naprawdę. I chciałabym się napić wina. Nalał jej odrobinę, zaś sobie pełny kieliszek.

- A ja myślałam, że jest pan szczodry. - Naburmuszona sięgnęła po kieliszek.

- Oceniam cię na szesnaście, najwyżej siedemnaście lat - powiedział, przyglądając się jej bliżej.

Westchnęła. W sierpniu skończy osiemnaście lat. A on się domyślił, że jest młódką. Szkoda... Napiła

się wina i aż westchnęła. Wino, które pijała z ojcem, było ciężkie i kwaśne. Wołała grog.

- Co to jest? - spytała zdumiona. Spojrzał na nią rozbawiony.

- Czy mogę to potraktować jako okrzyk aprobaty?

- Wspaniale... jak jagody i aksamit.

- Jest w nim silny posmak jeżyn i akurat tyle taniny, żeby na języku pozostał ostrzejszy smak.

Pochodzi z Rioja.

Była zbyt zajęta sączeniem trunku, by odpowiedzieć. Wino było boskie.

- Wstawisz się, jeżeli nie zwolnisz tempa - zakpił przyjaźnie. Nie tknął swojego kieliszka, po prostu nie odrywał od niej oczu.

Bardzo chciałyby wiedzieć, co naprawdę myśli.

- Nigdy nie sądziłam, że wino może być tak pyszne. Dlaczego pan mi się tak przygląda?

- Przepraszam.

- Chodzi o moją koszulę? A może powinnam spleść włosy w warkocz?

- Koszula jest ładna, a ja zachowałem się niegrzecznie. To się już nie powtórzy.

- Nie mam innego ubrania - bąknęła - z wyjątkiem szlafrocza.

- Nie chodzi o twoje włosy... są piękne... - mówił zakłopotany - nie chodzi też o ubranie. Chciałbym, żeby smakowało ci to jedzenie. Mam dobrego szefa kuchni.

Podobają mu się jej włosy? Tego lata zapomniała je skrócić z powodu przeżyć z ojcem.

- Nie są za długie?

- Nigdy ich nie obcinaj.

- Naprawdę uważa pan, że są piękne? - dopytywała się entuzjastycznie.

Zaczął wystukiwać rytm na stole, wreszcie podniósł na nią wzrok i powiedział:

- Tak uważam. Uśmiechnęła się uradowana.

- Więc ile masz lat?

- Prawie dwadzieścia - znów zełgała.

- Niemożliwe. Gołym okiem widać, że przechodzisz trudny okres, będąc pół dzieckiem, pół kobietą.

- Mówi pan, co mu ślina na język przyniesie - zirytowała się. - Nikt nie jest pół kobietą i pół dzieckiem. Rano najwyraźniej potraktował mnie pan jak w pełni dojrzałą kobietę.

Wyprostował się, spojrzał jej w oczy, natomiast Amanda z wyzywającą miną czekała na odpowiedź. Dziwny uśmiech igrał mu na ustach.

- Wychowałeś się wśród nieokrzesanych marynarzy. Znasz naturę mężczyzn. Starąłem zachowywać się przy tobie jak dżentelmen, choć muszę przyznać się do moich wad. Mam typowo męską naturę. To nic nie znaczy, więc nie przypisuj temu żadnego znaczenia.

Wpatrywała się w niego, próbując dociec, co tak naprawdę powiedział. On zaś posłał jej zmysłowy uśmiech, od którego topnieją serca.

Podskoczył jej puls, a w głowie zaczęła się gonitwa myśli.

Sięgnął po butelkę i napełnił jej kieliszek.

- Opowiedz mi o sobie.

- Co? - Prawie nie rozumiała, co do niej mówi.
- Kiedy przyjechaliście z ojcem na Jamajkę? Odetchnęła głęboko, nie mogąc zapomnieć jego spojrzenia i uśmiechu.
- Miałam cztery lata.
- Gdzie mieszkałaś wcześniej?
- W St. Mawes w Kornwalii. Tam się urodziłam.
- Wreszcie odzyskała jasność umysłu.
- St. Mawes... to chyba wschodnie wybrzeże.
- Moja matka pochodzi stamtąd.
- Jak poznali się twoi rodzice?

To dziwne, pomyślała, chyba naprawdę interesuje się moim życiem.

- Tatko służył w marynarce. Zaczynał jako kadet na okręcie liniowym, potem zdał egzamin na podporucznika. Pojechał na przepustkę do Brighton, a mama spędzała tam wakacje ze swoją matką i siostrami. To była miłość od pierwszego wejrzenia

- dodała z uśmiechem.

- Słyszałem, że Carre był oficerem marynarki. Okręt liniowy to nie byle co.

Mówił o największych wojennych okrętach brytyjskiej marynarki. Trzypokładowe kolosy miały co najmniej sto dział i minimum ośmiuset ludzi załogi. Amandę rozpierała duma.

- Sądzę, że tatko był wtedy bardzo szarmancki.

- A mamę powaliło z nóg. - Uśmiechnął się.

- Tak, ale potem tata zaczął rozrabiać.

- Po ślubie? Pokiwała głową.

- I po tym, jak się urodziłam. Mama go wyrzuciła.

- Zastanawiam się, czy mogę znać rodzinę twojej matki. Mój brat Rex ma posiadłość w Kornwalii, w której bywałem, choć nie za często.

- Z domu była Straithferne - powiedziała Amanda nie bez pewnej dumy. - To bardzo stara rodzina, wywodzi się jeszcze z czasów anglosaskich.
- Więc twoja mama jest szlachetnie urodzoną damą.
- Tak, a tata mówił, że ma nieskazitelne maniery i jest bardzo piękna. - Uśmiechnęła się, choć zarazem poczuła się nieswojo. Tak łatwo było zapomnieć, że za sześć tygodni stanie w drzwiach matki w Londynie.
- Czy rodzina zachowała do dziś posiadłość w St. Mawes?  
Nagle podniosła się z miejsca.
- Zadaje pan dużo pytań na temat mojej matki.
- De Warenne to znany kobieciarz, a jej matka jest bardzo piękna. Czy interesuje się Dulceą Carre?  
Serce jej zamarło.
- Dobrze się czujesz? - zapytał. Milczała uparcie.
- Amanda?
- Zna pan moją matkę?
- Nie, ani też nikogo o nazwisku Straithferne.
- Aha... - Z ulgą osunęła się na krzesło.
- Swoją drogą to dziwne, że matka zgodziła się, żebyś wyjechała do Indii Zachodnich razem z ojcem
- powiedział jakby od niechcienia.
- Wcale się nie zgodziła. Tatko wykradł mnie, porwał z jej ramion. Została ze złamanym sercem. -  
Kiedy zdumiony de Warenne uniósł brwi,

wystąpiła w obronie ojca. - Nie pozwolono mu mnie odwiedzać. Gdyby mama była miłsza, nie zrobiłby tego, ale zabroniła mu jakichkolwiek wizyt. Tęsknił za mną, więc mnie zabrał.

- To okrutna opowieść... - skomentował w posępnej zadumie.

- Nic z tego nie pamiętam. - Wzruszyła ramionami. - Nawet nie pamiętam mamy, a bardzo bym chciała.

- Może lepiej, że nie pamiętasz, jak wrywał cię z jej ramion.

- Kochałam tatę. Cieszę się, że mnie zabrał.

- Wiem.

Nagle posmutniała, choć tym razem nie był to żal po stracie ojca. Pomyślała, co by było, gdyby tata nie zabrał jej z St. Mawes. To pytanie często ją prześladowało.

Znow przyjęła pozycję obronną.

- Mama jest wielką damą, a ja nie. Nigdy nie będę damą, ale jest mi to obojętne. Kocham morze.

Gdybym była panią własnego losu, pływałabym na dużym statku, ścigałabym się z falami.

Milczał, bawił się widelcem.

- Pewnie uważa pan, że jestem głupia - powiedziała po chwili ciszy. - Czasami też tak uważam.

- Nie, nie uważam cię za głupią, Amando. Ton jego głosu był jak dotyk jedwabiu. Musnął jej skórę, sprawił, że całe jej ciało ponownie ożyło.

Wpatrywała się w niego. De Warenne patrzył na Amandę z zapartym tchem. Miał lekko zaróżowione kości policzkowe, niewątpliwie z powodu wina. Gdyby parę dni temu ktoś sugerował, że będzie z nim jadła kolację sam na sam w kapitańskiej kabinie jego fregaty, roześmiałaby mu się prosto w nos. A tymczasem jest z nim tutaj, na dodatek odpowiedziała na dziesiątki osobistych pytań, ponieważ interesowało go jej życie.

I podobają mu się jej włosy. Powiedział, że są piękne.

Nagle zobaczyła siebie, jak wkracza do tej kabiny ze wstążką we włosach, ubrana w śliczny szlaf-roczek, a zaraz potem wyobraziła sobie, że de Warenne patrzy na nią w taki sam sposób, w jaki przyglądał jej się w holu Windsong. Zaczerwieniła się, serce załomotało jej w piersi.

Powoli podniósł wzrok.

Ich oczy się spotkały.

Nagle ucichły wszystkie dźwięki. Delikatny szum żagli, chlupot wody, skrzypienie lin, chrzest łań-cuchów - wszystko to zniknęło. Został tylko ten zniewalający i silny mężczyzna i jej szaleńczo bijące serce.

Pragnęła, żeby ją pocałował. Odchrząknął.

- Zaczniemy jeść, zanim wszystko wystygnie.

Nie mogła wydobyć głosu. Wcześniej nigdy nie chciała być dotykana przez żadnego mężczyznę, teraz zaś pragnęła, by de Warenne wziął ją w ramiona i całował, i chciała odwzajemnić pieśczo-ty.

Powiedział jednak, że ma uczciwe zamiary.

Gdy zdjął pokrywkę ze srebrnego półmiska, rozszedł się zapach pieczonej perliczki. Amanda ledwie zdobyła się na uśmiech. Jak mogłaby zachęcić kapitana?

- De Warenne? - Jej głos zabrzmiał dziwnie chropawo i nisko.
  - Bierzmy się do jedzenia, Amando - oznajmił sucho.
  - Nie jestem głodna. - Spojrzała na łóżko. Czy nie może po prostu jej tam zanieść?
- Nagle Cliff zerwał się z krzesła.
- Przepraszam, ale słyszę Ariellę. Pewnie przyśnił jej się jakiś koszmar. Nie czekaj na mnie.
- Smacznego.
- Energicznym krokiem wyszedł z kabiny.



## **Rozdział szósty**

Właśnie wschodziło słońce. Cliff zdarł z siebie koszulę. Podczas flauty lub słabym wietrze lubił pływać o świcie. Załoga uważała go za szaleńca i pewnie miała rację, ale kąpiel w lodowatej wodzie sprawiała mu dziką radość.

Szykując się do skoku w morską toń, rozmyślał intensywnie. Zaproszenie Amandy na kolację okazało się błędem. Ekscytowało go każde jej niewinne spojrzenie, uśmiech i słowo. Nigdy dotąd nie spotkał takiej kobiety. Urzekła go połączeniem niewinności i odwagi, naiwności i zuchwalstwa, ignorancji i mądrości. Była zachwycająco piękna i pełna sprzeczności. Chciał ją ochraniać i zarazem kochać się z nią. Podczas kolacji niewiele brakowało, by machnął ręką na zasady i dobre wychowanie - i zaciągnął ją do łóżka, czego zresztą się spodziewała. Nie usłyszał płaczu córki; to był pretekst, żeby opuścić towarzystwo Amandy i odzyskać zimną krew, a także zdrowy rozsądek.

Niestety nie panował nad sobą, dlatego wszystko było bez sensu. Minęło zaledwie kilka dni, a jego myśli wciąż koncentrowały się na córce pirata.

To oczywiste, że potrzebowała ochrony. Kiedy tylko w Pałacu Królewskim ujrzał ją wymachującą pistoletem i żądającą audiencji, i potem, gdy gotowa była oddać się gubernatorowi, Cliff zrozumiał, że sama dla siebie jest największym wrogiem. Zdana tylko na własne siły, dzika i zagubiona... Poza nim nie miała nikogo, na kim mogłaby się oprzeć.

Zaprosił ją na kolację nie dlatego, że pragnął jej towarzystwa, lecz by poznać pewne fakty z jej życia. Okazało się, że łatwo nią manipulować, na dobrą sprawę wyjawiała mu wszystko, o co spytał. Oby rodzina okazała się dla niej bezpieczną przystanią, lecz Cliff bardzo się niepokoił.

Matka i córka nie widziały się od ponad dziesięciu lat. Zdrowy rozum podpowiadał, że to spotkanie nie będzie ani łatwe, ani przyjemne. Co gorsza, jej historia nie bardzo trzymała się kupy, o czym Amanda może nie wiedzieć, ale instynkt mu podpowiadał, że czegoś bardzo ważnego brakuje w tej opowieści. A instynkt na ogół go nie zawodził.

Zakładając nawet, że było tak, jak powiedziała, był pewny, że Amandę spotkają liczne przykrości, upokorzenia nawet. Być może matka przyjmie ją z otwartymi ramionami, lecz znajomi i rodzina nie muszą okazać się tolerancyjni dla Dzikuski, córki pirata. Wszystkie znane mu damy, piękne, eleganckie i doskonałe w łóżku, były potwornymi snobkami. Nie wybaczą ekscentryczności. Jak, na Boga, Amanda dostosuje się do obyczajów panujących w sferach jej matki? Jakim cudem znajdzie sobie miejsce w tym świecie?

Nawet piękna suknia nie zatuszuje sposobu mówienia i manier godnych lupanaru czy pirackiej meliny, nie zaś salonów.

Socjeta nie zaakceptuje Dzikuski.

On natomiast nie rozumiał i nie akceptował swojego pożądanego. To musi się skończyć. Podobnie jak nie rozumiał przemożnej potrzeby chronienia Amandy, tę jednak skłonność akceptował, bo tak

nakazywał honor. Wiedział jednak przy tym, że chronienie Amandy Carre z pewnością mocno skomplikuje mu życie.

Przypomniał sobie minę panny Delington, która biorąc Amandę za jego kochankę, skrzywiła się z niesmakiem. Reakcja „maciory” była typowa dla wyższych sfer, pełnych bigoterii, hipokryzji i uprzedzeń. Amandę spotkają najgorsze afronty, to pewne. Owszem, jest córką pirata, owszem, jest nieokrzescana i ordynarna. Jest też jednak inteligentna, dowcipna, odważna i stanowcza. A także rozpaczliwie bezbronna. Dlatego musi ją chronić. Każdy okręt pozbawiony steru i kotwicy dryfuje ku zagładzie.

- Kapitanie, źle się pan czuje?

Cliff ocknął się. Goły jak Pan Bóg go stworzył stał przy barierze tak bardzo zadumany, że zapomniał o całym świecie. Machnął ręką marynarzowi i dał nurka do oceanu.

Szok był tak potężny, że na chwilę go sparaliżowało. Lodowata woda zamknęła się nad nim, zaczął tonąć. Rozum jednak krzyczał, że trzeba

płynąć, by przeżyć, potem mocno zabiło serce, na koniec ręce i nogi podjęły nadludzki wysiłek.

Wreszcie wynurzył się, prychnął głośno i ze śmiechem chwycił linę, którą mu rzucono.

Szybko wspiął się po niej, orzeźwiony i w szampańskim nastroju.

- Wystarczająco zimna, kapitanie? - podkpiwał Maclver z pokładu rufowego.

Cliff wyprostował się, zwrócił twarz ku słońcu i rozpostarł ramiona. Poczł się jak młody bóg.

- Powinieneś kiedyś spróbować, Maclver. - Sięgnął po ręcznik i... zamarł.

Obok kabiny kapitańskiej stała Amanda. Nie miał pojęcia, jak długo przebywa na pokładzie, ale wyraz jej twarzy mówił sam za siebie. Patrzyła na niego, jakby nigdy nie widziała gołego mężczyzny.

Nie, wpatrywała się w niego zachłannie, jakby jej było mało.

Zareagował gwałtownie... i Amanda zobaczyła, co chciała, bo nie zdążył się odwrócić. Odplynęła wszelka myśl, gdzieś zniknął rozsadek, pozostało tylko pożądanie. Amanda poruszyła wargami. Serce mu waliło. Odwrócił się, kiedy któryś z marynarzy zaniósł się śmiechem. Cliff porwał ręcznik, żeby owinąć biodra, ale przeszkadzał mu w tym bolesny wzwód. Rzucił więc ręcznik i jakby nigdy nic zaczął wciągać bryczesy. Czuł jednak żar jej podniecenia, zapach pożądania.

Mój Boże, pomyślał, Dzikuska to zakazany owoc. Więc dlaczego ciało tak reaguje?

Wyczuł, że jej już nie ma. Odwrócił się w momencie, gdy zniknęła w kabinie.

- Chyba wiemy, co się święci. - Marynarz ponownie ryknął śmiechem.

Cliff błyskawicznie sięgnął po ukryty w bucie sztylet i przyłożył go śmiałkowi do gardła.

- Nic nie wiesz. - Przejechał ostrzem po skórze. Naciął ją tylko, nie zranił. - Zamknąć go - wycedził.

Z pokładu rufowego zbiegli dwaj oficerowie i chwycili przerażonego marynarza. Decyzja była nieodwołalna. Cliff nie tolerował chamstwa, a marynarz obraził Amandę. Wyrzuci go w Hiszpanii na skalistej jałowej wyspie. Prawdziwy szczęściarz, bo nie kazał przeciągnąć go pod kilem. No i miał szansę jedną na tysiąc, może nawet na sto, że nim skona z pragnienia i spiekoty, z wyspy zgarnie go jakiś statek.

Usiadł, żeby wzuć buty, nie mogąc utemperować dzikości, która nim zawładnęła.

Amanda oparła się o ścianę, próbując oddychać normalnie. Nigdy tego nie zapomni: w pierwszych promieniach Cliff de Wrenne obnaża się, potem skacze do oceanu. Musiała zasłonić dłonią usta, żeby nie krzyknąć ze strachu. Wiedziała, że de Wrenne nie wytrzyma w lodowatej wodzie dłużej niż minutę, ale upłynęła wieczność, nim się wynurzył. Dobry Boże, śmiał się, gdy wspinał się na pokład, a potem wyciągnął ramiona ku słońcu, upajając się swoją odwagą, siłą i męskością.

A kiedy spojrzał na nią...

Myślała, że wczoraj zrozumiała, czym jest pożądanie, ale dopiero teraz naprawdę je poczuła i długo trwało, nim to dziwne napięcie ustąpiło.

Otworzyła drzwi kabiny. De Warenne wciąż był na pokładzie. Widziała, jak przyłożył sztylet do szyi marynarza, który ją obraził.

Nigdy nie spotkała takiego mężczyzny.

- Panno Carre? - z uśmiechem zagadnęła Ariella, jak zwykle z książką w rękach. Obok dziewczynki stała Anahid.

- Cześć. - Amanda odwzajemniła uśmiech.

- Mam teraz lekcje, a tatko powiedział, że będziemy się uczyć w jego kabinie.

Amanda przepuściła małą i guwernantkę.

- A twój brat? - spytała. - Nie uczycie się razem?

- On jest na dole. - Ariella się skrzywiła. - Tatko powiedział, że może wziąć lekcję naprawiania żagli. - Spojrzała z dezaprobatą. - Jego łacina jest straszna, prawie tak zła jak francuski.

Amanda weszła razem z nimi do kabiny.

- Jeżeli twój brat kiedyś zostanie kapitanem tego statku, będzie musiał wszystko wiedzieć o żeglarsztwie, włącznie z naprawianiem żagli.

- Jeżeli nie nauczy się francuskiego, nie poprowadzi negocjacji handlowych we Francji i Maroku. -

Ariella usiadła przy stole i otworzyła książkę, która natychmiast ją pochłonęła.

Jest taka inteligentna, pomyślała Amanda. De Warenne wyraźnie ją adoruje.

- Co czytasz?

- Przewodnik po Londynie - odpowiedziała dziewczynka, nie podnosząc oczu.

- Naprawdę? - Zaciekawiona spojrzała jej przez ramię i zobaczyła rysunek mostu. - Czy to jest Most Londyński?

- Tak. - Dziewczynka uśmiechnęła się przyjaźnie. - Chcesz poczytać moją książkę? Mogę wziąć inną.

- Nie umiem czytać - wyznała z wypiekami na twarzy.

Mała zaczęła się śmiać.

- Ariella! - skarciła ją Anahid.

- Przepraszam. - Widać było, jak bardzo jej przykro za ten nietakt. - Myślałam, że to żart. Dlaczego nie umiesz czytać?

- Zapomniałaś, że mój tato był piratem? - Poniewczasie uświadomiła sobie, że wczoraj skłamała w tej sprawie. - Nie zadbał o moją naukę. Uważał, że to nieważne. - Rzuciła tęskne spojrzenie na przewodnik.

- Chciałabyś umieć czytać? Mogę cię nauczyć, ja albo monsieur Jean-Paul Michelle.

- Naprawdę? - wyszeptała Amanda. - Pewnie, że bardzo bym chciała, ale twój tata na pewno się nie zgodzi. Twój nauczyciel jest tutaj po to, że uczyć ciebie, a nie mnie.

- Mylisz się - oznajmił de Warenne.

Stał w progu. Amanda natychmiast przypomniała sobie, jak stał nago na pokładzie, upajając się swoją siłą i witalnością. Zaczerwieniła się. Spuściła oczy.

- Z radością poproszę monsieur Michelle'a albo moją córkę, by podzielili się z tobą swoją wiedzą.

Czytanie i pisanie to błogosławiona umiejętność. Cieszę się, że chcesz się uczyć.

- Znam już większość liter - powiedziała z zapalem. - Nauczyłam się ich sama.

Uniósł kącki ust.

- Nie wątpię, że będziesz pojętną uczennicą, Amando. Czy kiedykolwiek coś ci się nie udało? Starła się oddychać normalnie. Jego wygląd, ton głosu, postura były takie męskie i uwodzicielskie. Była pewna, że jest równie świadomy jak ona ogromnego napięcia, które pojawiło się tego ranka i nadal trwało mimo obecności Arielli i guwernantki.

- Możemy uczyć się razem - zawołała uszczęśliwiona dziewczynka.

- Ah, bonjour, mes amies - zawołał szczupły dżentelmen, wchodząc do kabiny z książkami i kolorowymi czasopismami. - Monsieur le capitaine, bonjour.

- Bonjour, Jean-Paul. - De Warenne miał akcent jak rodowity Francuz. - Czy poznał pan już mojego gościa, pannę Carre?

- Mais non. - Rozpromieniony monsieur Michelle odłożył książki i pisma, po czym ujął dłoń Amandy. Zesztywniała, kiedy próbował podnieść jej rękę do ust z dwornym tekstem na ustach: - Enchanté, mademoiselle, je suis véritablement enchanté.

Czując się idiotycznie, popatrzyła bezradnie na de Warenne'a, który pokiwał lekko głową. Pozwoliła więc pocałować się w rękę, by ku konsternacji monsieur Michelle'a szybko wsunąć ją do kieszeni.

- Jean-Paul - powiedział de Warenne - daję panu za zadanie nauczenie panny Carre czytania i pisania. Jestem pewny, że uporacie się z tym do końca podróży.

- Mam nauczyć pannę w sześć tygodni? - Michelle pobladł. - Capitaine, c'est impossible.

- C'est très possible, je suis sûr - zareplikował de Warenne z radosnym uśmiechem. - D'accord?

- Oui - mruknął zrezygnowany nauczyciel, zerkając nieufnie na Amandę.

Wychowana na wyspach, rozumiała hiszpański, francuski, holenderski, portugalski, ladino używane przez tutejszych Żydów, a także rozmaite dziwne lingwistyczne mieszanki powstające na styku różnych języków. Ojciec, kulawo co prawda, też sobie z tym radził, był to jeden z warunków przetrwania, lecz ona wszystko chwyciła w lot, uczyła się jakby z powietrza.

- Monsieur - powiedziała. - Je veux apprendre à lire et je promets d'étudier beaucoup.

Michelle'owi zaświeciły się oczy.



- Parlez-vous français?

- Troszeczkę. - Zerknęła na de Warenne'a, który ku jej radości pokiwał z aprobatą głową, uśmiechając się przy tym serdecznie. Jej serce poszybowało do nieba i wykonało taniec radości.

Był środek wachty. De Warenne stał na pokładzie rufowym, mając w rękach drewniane koło sterowe - gładkie i przyjemne w dotyku, a pod nogami łagodnie kołyszący się pokład. Płynąc ku czemuś, co wydawało się bezkresną czarną wiecznością, czuł się zespolony ze statkiem i Bogiem. Niebo było ciemne i usiane gwiazdami, wiał łagodny wiatr, ocean połyskiwał tajemniczo niczym śliski czarny atlas. Pora między północą a świtem należała do jego ulubionych.

Przy lewym relingu czuwał dowódca wachty,

przy głównym maszcie na dole dwóch kadetów. Byli wystarczająco daleko, by Cliff mógł odczuwać luksus samotności między morzem a niebem.

- Kapitanie, proszę o pozwolenie wejścia na górę.

Ostatnią osobą, której się spodziewał o tej porze, była Amanda. Stała na głównym pokładzie, uśmiechała się niepewnie.

- Oczywiście - odpowiedział łagodnie. Wszyscy wiedzieli, że o tej porze podczas wachty wolno go niepokoić tylko w ważnych sprawach, tę jednak intruzkę powitał z radością. Zresztą ku swemu wielkiemu zdziwieniu.

Weszła szybko po stopniach i nie patrząc na niego, stanęła przodem do bukszprytu. Uniosła twarz, poddając się delikatnej pieszczocie nocnej bryzy. Nie odrywał od niej wzroku. Serce zaczęło mu mocno walić, a krew napłynęła do skroni. Skąd taka zmiana w jego obyczajach? Czy wynika z tego, że morze wzywa ich oboje czarodziejskim śpiewem syren? Czy też bierze się po prostu z prymitywnego pragnienia urodziwej kobiety? Postanowił wziąć się w garść.

- Piękna noc - powiedział spokojnym, cichym głosem.

- Tak - odparła z uśmiechem.

- Późno już.

- Nie mogłam zasnąć.

W świetle wiszących lamp widział jej twarz. Nie dostrzegł już oznak bólu po stracie ojca.

- Sądzę, że skorzystałaś z dzisiejszych lekcji.

- Przeczytałam trzy zdania! - zaczęła z zapalem, po czym zaczerwieniła się. - Były kretyńskie, o kocie, psie i kapeluszu.

- Wiem - odpowiedział, uskrzydłony jej radosnym podnieceniem. - Pytałem Michelle'a.

- Tyle panu zawdzięczam...

Przeszły go ciarki, kiedy przypomniał sobie, w jaki sposób chciała mu zapłacić za rejs.

- Niczego mi nie zawdzięczasz, Amando. Cieszę się, że możesz korzystać z pomocy Michelle'a. Jestem uradowany, że chcesz nauczyć się czytać i że świetnie sobie radzisz.

Poczerwieniała z jeszcze większej radości. Następnie, ledwie patrząc na niego, wyszeptała:

- Nie zaprosił mnie pan dzisiaj na kolację. Napięty do granic wytrzymałości, zastanawiał się, czy zawsze będzie tak żywo na nią reagował. Oczywiście, że jej nie zaprosił, gdyż bał się, że znów straci kontrolę nad sobą.

- Przepraszam za wczoraj - powiedział ostrożnie. - Zachowałem się nagannie, zostawiając cię samą przy stole, ale musiałem zająć się córką. Na pewno to rozumiesz.

Popatrzyła na niego spode łba.

- Ariella nie przypomina sobie żadnego nocnego koszmaru, nie budził też jej pan w środku nocy.

- Pytałaś ją? - Za nic się nie przyzna do prawdziwego powodu rejterady. - Na wpół spała, marudziła półprzytomnie.

- Sama mi powiedziała, że cudownie wypoczęła tej nocy, choć na statku często ma z tym kłopoty.

- Jednak słyszałem jej wołanie - szedł w zaparte.

Stała twarzą do niego.

- Nie jestem głupia, de Warenne... za to nie jestem odpowiednim towarzystwem dla pana.

- Bardzo sobie cenię twoje towarzystwo - rzekł szczerze. - Gdyby tak nie było, nie stałabyś ze mną na wachcie.

- Naprawdę? - Rozpogodziła się nieco, a po namyśle dodała: - Ponieważ wypytywał mnie pan o moje życie, nie miałam okazji zapytać o pańskie. Roześmiał się.

- Ależ pytaj, Amando, bardzo proszę.

- Wszyscy mówią, że jest pan synem hrabiego, ale sam pan zaprzeczył, jakoby należał do rodziny królewskiej. Tymczasem pański służący tytułuje pana milordem.

- To nie to samo - odparł z uśmiechem. - Jestem trzecim i najmłodszym synem hrabiego Adare'a.

Adare to również posiadłość związana z dziedzicznym w męskiej linii arystokratycznym tytułem.

Ojciec był pierworodnym, lecz do śmierci dziadka nazywał się Edward de Warenne. To nasze rodowe nazwisko. W angielskiej tradycji jest wielka różnica między pierworodnym, który dziedziczy tytuł, i przypisane do niego dobra, a młodszymi synami. Są szlachcicami, ale bez tytułów lub dostają pośledniejsze, jeśli takie są w rodzinie. - Chciał, by otrzymała jak najwięcej takich informacji, bo przydadzą się jej w Anglii. - A ja nie mam żadnego, więc mówienie do mnie per lord, milord czy jeszcze szumniej, Wasza Lordowska Mość, to czysta kurtuazja, choć uzasadniona o tyle, że jestem szlachcicem, a mój majątek nie należy do małych.

- No tak, ale należy pan do królewskiego rodu!

- Można mnie nazwać arystokratą, ale na pewno nie członkiem królewskiego rodu.

- Każdy arystokrata ma w sobie królewską krew

- oznajmiła stanowczo. - Dlatego jest arystokratą. A już pan to naprawdę żyje jak król!

Roześmiał się przyjaźnie. Tyle w niej było niezłomnej wiary, że ma królewicza przed sobą!

- Owszem, nie zbywa mi na niczym, mam pałac, statki, rozległe kontakty handlowe. Pod tym względem można mnie nazwać księciem. Choć nie powtarzaj tego nikomu, bo nie wolno używać tytułów, które nam nie przynależą. - Puścił do niej oko.

- Sekretny książę. - Uśmiechnęła się figlarnie.

- Gdzie znajduje się Adare? Jak tam jest?

- Leży w zachodniej Irlandii, blisko morza. To kraina zielonych wzgórz i zielonych lasów, zwłaszcza na wiosnę. Nie znam drugiego miejsca, gdzie ocean byłby aż tak niebieski. Często jest mgliście i wilgotno. - Uśmiechnął się rozmarzony. - To najpiękniejsze miejsce na świecie.

Oczy Amandy rozbłysły.

- Na naszej wyspie w porze deszczowej też jest wilgotno.

- Jamajka to wyspa tropikalna, Irlandia jest inna. Wciąż dzika i dziewicza. Tam czas płynie inaczej. Jeśli wyspy są rajem, to Irlandia jest magią, wielką tajemnicą. To wpływ naszej historii, która sięga starożytności. Moja rodzina przybyła z Francji, ale ze strony matki byli też celtyccy królowie. A wszyscy byli czystej krwi wojownikami. Jesteśmy też znani z naszych duchów.

- Strasznie bym chciała zobaczyć Irlandię! - wykrzyknęła entuzjastycznie. - A pana dom? Jest podobny do Windsong?
- Urodziłem się w Adare, ale majątek należy do mojego ojca, hrabiego, a któregoś dnia przejdzie na mojego najstarszego brata, Tyrella. Nie, nie jest podobny do Windsong. - Zobaczył rozczarowanie w jej oczach. - Jest znacznie większy. Pierwsza budowla powstała przed wiekami, ale była wiele razy odnawiania i rozbudowywana.
- Większa niż Windsong? - zapytała z niedowierzaniem.
- Mój dom na wyspie zmieściłby się trzykrotnie w rezydencji hrabiego Adare'a. - Stłumił śmiech, by jej nie obrazić.
- Trzykrotnie... Więc wychował się pan pośród służby, a pana rodzina i znajomi to sami bogacze. I nadal pan tak żyje. Jak król!
- Nie brakowało mi niczego, Amando. Wiem, że trudno ci to zrozumieć. Wzruszyła ramionami, umknęła wzrokiem.
- Często pan bywa w domu?
- Raz albo dwa razy w roku. Za rzadko, ale naprawdę częściej nie mogę. Rodzice mają rezydencję w Londynie, gdzie często zawijam do portu, więc niewykluczone, że spotkam się tam z kimś z rodziny.
- Wspomniał pan, że ma brata... - Nie zdołała ukryć zazdrości.
- Dwóch rodzonych, dwóch przyrodnich, a także siostrę. Kiedy będziemy w Londynie, z pewnością kogoś z nich poznasz.
- To cudowne mieć wielką rodzinę i tyle miejsc, które można nazwać swoim domem - wyszeptała.
- To prawda. - Z całego serca jej życzył, by i ona szczęśliwie gdzieś zakotwiczyła.
- Jak to jest dorastać w Adare? - Była ciekawa, ale i smutna zarazem. Jakaż żałosna jej dola...
- Och, byliśmy niesforni, banda pędziwiatrów i łobuzów. Wymigiwaliśmy się od obowiązków, ścigaliśmy się konno po okolicy, uganialiśmy się za spódniczkami. - Potrząsnął głową. - Potrafiliśmy

urwać się z lekcji, galopować po wzgórzach, pływać w rzece czy jeziorze. Oczywiście karano nas, ale była to wkalkulowana w przyjemność cena.

- Hrabia musiał wam spuszczać niezłe lanie.

- Nie, skądże! - Zdumiała go ta uwaga. - Hrabia nie uznawał takich metod. Za to gdy na nas spojrzął, od razu czuliśmy się winni i piekielne męki stawały nam przed oczami - zakończył z uśmiechem.

- Nie bił was za uciekanie z lekcji?

- Nie bił, Amando. - Spojrzał na nią zaniepokojony.

- Jakie to dziwne - rzekła z zadumą.

- Nie każdy ojciec stosuje kary cielesne. Zresztą uważam to za barbarzyństwo.

Podniosła wysoko głowę.

- No cóż, wolno panu tak uważać, ale nie wszyscy muszą być tego samego zdania.

- Nie muszą, Amando, nie muszą... Czy Carre kiedykolwiek cię uderzył?

Uniosła podbródek.

- Oczywiście, że tak. Jak inaczej umiałabym odróżniać dobro od zła?

- Co robił? Używał kija? - Głos mu zadrżał.
- Pięści. Nie znosił nieposłuszeństwa i łatwo wpadał w złość. Najczęściej walił mnie w szczękę.
- Na Boga! Amando, byłaś dzieckiem, do tego dziewczynką!
- Co z tego? Tak postępują rodzice, karzą pięściami, kijem, pejczem. Mnie to nie przeszkadzało. To znaczy bolało, aż czasami widziałam gwiazdy, na przykład kiedy uderzył mnie w więzieniu. Zwykle jednak nie trafiał, bo byłam szybsza i robiłam uniki.

Cliff odwrócił się gwałtownie.

- Howardzie, przejmij ster.

Kiedy kadet wykonał polecenie, Cliff wziął Amandę pod rękę, próbując zachować spokój, choć zalewała go krew. Przeszli na sterburkę.

- Często cię bił?
- Mówiłam już, że przeważnie nie trafiał - odparła buńczucznie.
- Powiedziałaś, że uderzył cię w więzieniu. Z pewnością nie masz na myśli, gdy czekał na... no, w ostatnim czasie.
- Co to pana obchodzi? - odpowiedziała szorstko. - Tatko mnie kochał. Chciał, żebym była posłuszna. A wściekł się, kiedy mu powiedziałam, że próbowałam uwieść gubernatora Woodsa. Spojrzał na nią ponuro.
- Więc to nie był jego pomysł?
- Nigdy! Miałam dwanaście lat, kiedy tatko powiedział, że mam zachować dziewictwo dla męża. Zalała go fala szczęścia. Amanda nigdy nie miała do czynienia z mężczyzną. Instynkt mu podpowiadał, że jest dziewczcą, ale rozum mówił co innego. Cudownie! I nagle pojawił się między nimi kolejna nieprzekraczalna bariera.
- Pan nie bije swoich dzieci, prawda? - wycedziła po chwili.
- Nigdy.
- Aha... - Przygryzła usta, wbiła wzrok w podłogę.



- Nigdy nie uderzę dziecka ani kobiety. I możesz uwierzyć lub nie, ale nie akceptuję metod twojego ojca, który pięściami narzucał dyscyplinę.
- Kochał mnie - upierała się ze łzami w oczach.
- Tak, kochał. Wiem o tym. - Nie zamierzał odbierać jej wiary w miłość ojca. Zresztą Rodney pewnie ją kochał, prymitywnie, prostacko, ale kochał. Lecz tak bardzo ją krzywdził... Najchętniej przytuliłby Amandę i gładził po włosach, ale taki gest mógłby się źle skończyć.
- Czy Ariella zawsze pana słucha? - zapytała niepewnym głosem.
- Prawdę mówiąc, nie. - Odetchnął. Znaleźli się na bezpiecznym gruncie. - A chciałbym, żeby była posłuszna.
- To zrozumiałe. Hm... przepraszam, że to mówię, nie chcę się wtrącać, ale pan ją rozpieszcza.
- Nie wiem, jak z nią postępować. Niepokoję się o nią. Owszem, jak każde dziecko czasami coś nabroi, ma swoje rozumki, ale to zrozumiałe, zresztą chodzi o drobiazgi. Problem w czym innym. Bo tak naprawdę jest zbyt układna, wręcz uległa. Nawet kiedy się ze mną nie zgadza, udaje, że się zgadza, by mi nie zrobić przykrości. A to źle wróży na przyszłość, gdy wejdzie w dorosłe życie. Bardzo

bym chciał zobaczyć, jak stawia się komuś, kogo kocha, walczy o swoje, nie pozwala się stłamsić.

- Chciałby pan, żeby się panu sprzeciwiała?

- zdumiała się Amanda.

- Alex sprzeciwia się nieustannie.

- I pan go nie bije?

- Karzę go, ale nigdy pięścią czy batem. Amanda się odwróciła.

Ubolewał nad jej zmarnowanym dzieciństwem.

- Cieszę się, że zaprzyjaźniłyście się z Ariellą

- zmienił temat.

- Pomogła mi dzisiaj na lekcji. Jest bardzo bystra.

- Obawiam się, że za bystra. Jeśli w odpowiednim czasie nie przedstawi mi ukochanego, którego zaaprobuje, będę musiał znaleźć jej męża. A jak przy jej inteligencji i zamiłowaniu do wiedzy znaleźć odpowiedniego kandydata? Z pewnością większość mężczyzn ucieknie, gdzie pieprz rośnie od takiej mądrali.

- Mężczyźni nie lubię inteligentnych kobiet

- skomentowała kpiąco.

- Nie wszyscy. - Tonem głosu dał do zrozumienia, że ją także uważa za bystrą osobkę. - Poczyniłem wiele kroków w związku w przyszłości Arielli. Będzie najbogatszą dziedziczką, co z jednej strony pomoże, z drugiej jednak będę musiał przepędzać łowców posagów.

- Będzie dziedziczką... - jak echo powtórzyła Amanda.

Zreflektował się, że popełnił faux pas. Ten łajdak Carre nie zostawił córce choćby pensa.

- Przepraszam, Amando. Miałaś zadawać mi pytania, a tymczasem zanudzam cię przyszłością Arielli.

- Jest szczęściarą - wyszeptala - bo ma takiego ojca i jest bogata. Proszę się nie martwić. Na pewno znajdzie pan dla niej męża.

A co z nią? - pomyślał. Kto dla niej znajdzie męża?

Dotąd nie zastanawiał się nad tym i wcale się do tego nie palił. Po jakie лихо poruszył tak drażliwy temat! Jednak stało się i puszcza Pandory została otwarta. Zadbanie o zamążpójście Amandy było obowiązkiem Rodneya Carre'a, szczęśliwie tego nie zrobił. Naraiłby córce pirata lub innego oprycha. Teraz to zadanie spadnie na Dulceę Carre.

- A ty, Amando? Marzysz o małżeństwie, o własnym domu? - Uśmiechnął się zachęcająco.

- Ja? Och... Kto chciałby się ze mną żenić?

To było takie smutne. Pogłaskał ją po policzku, delikatnie uniósł podbródek.

- Uwierz mi, będziesz miała wielu konkurentów, złamiesz wiele męskich serc. - Mówił to szczerze, choć jednocześnie bał się o nią. Nie do końca wierzył w jej przemianę. Amanda w salonie prowadząca puste konwersacje o pogodzie czy o ostatniej wytwornej kolacji? Modnie ubrana, dbająca o formy konwencjonalna dama? To już nie byłaby Amanda, pomyślał ze smutkiem. Jedyna w swoim rodzaju, niepowtarzalna Amanda.

- Nie jestem jak Ariella - rzekła urażona, odskakując od niego. - Nie jestem księżniczką z bajecznym posagiem. Proszę, niech pan nie będzie taki okrutny.

- Nie kpię z ciebie - odparł stanowczo. - Twoja

matka na pewno wyposaży cię w piękną garderobę, zatrudni nauczyciela tańca i zrobi wszystko, żebyś mogła wejść w nowe życie. Nie minie wiele czasu, jak konkurenci będą ustawiać się w kolejce.

- Broń Boże! - krzyknęła w popłochu.

- Boisz się tego? Więc czego tak naprawdę pragniesz, Amando?

- Chcę być wolna! Chcę należeć do morza i wiatru! Tylko o tym marzę.

Jak dobrze ją rozumiał. Wyciągnął ręce, by ją objąć.

Cofnęła się przestraszona.

- Taki los zaplanuje dla mnie matka? Uczyni ze mnie damę i wyda za mąż?

- Tak sędzę... Czy jest jakiś inny wybór? Jeszcze bardziej się cofnęła, oparła o balustradę.

- Odejdź stamtąd, Amando. - To był rozkaz. Posłuchała go, po czym rzekła z płaczem:

- Popełniłam błąd. Proszę mnie wysadzić gdziekolwiek, byle nie w Londynie... może na Malcie.

- Uspokój się, moja droga. W nocy nasze demony zawsze wydają się groźniejsze - powiedział łagodnie. — Jesteś silna i dzielna, poradzisz sobie, gdy spotkasz się z matką.

- Przepraszam za moją głupotę. - Otarła łzy.

- Nie jesteś głupia. To zrozumiałe, że niepokoisz się, gdy twoje życie całkiem się zmienia. - Wyciągnął do niej rękę. Zawahała się, ale podała mu dłoń. Poprowadził ją do schodów. - Skoro mówimy o twojej matce, rozumiem, że znasz jej adres.

- Tatko powiedział, że dom nazywa się Belford House.

- Belford... House?!

- Zna pan to miejsce?

Nie mógł wykrztusić słowa. Bywał w Belford House, znał lady Belford. Na imię miała Dulcea. Platynowe włosy, zdumiewające szmaragdowe oczy. Podobieństwo nie zostawiało cienia wątpliwości.

Jednak od wielu lat była żoną lorda Belforda. Nie mogła zatem być żoną Rodneya Carre'a, który zmarł niedawno.

Dulcea Belford była oszałamiająco piękna, wytworna i uwielbiała towarzystwo. Była też rozwiązła - plotkowano o jej przygodach miłosnych. Zalecała się kiedyś do niego, ale nie przypadły mu do gustu jej próżność oraz maniery. Jako jeden z niewielu nie stracił głowy dla tej uwodzicielki.

Już wcześniej zauważył, że opowieść Amandy o rodzicach ma luki. Teraz dowiedział się, że jej matką nie jest Dulcea Carre, ale Dulcea Bedford.

Lady Bedford raczej nie będzie zachwycona spotkaniem z dawno utraconą nieślubną córką.

## **Rozdział siódmy**

Amanda usiadła na piętrowym łóżku wąskiej kabiny, którą dzieliła z Anahid. Guwernantka spała na drugiej koi.

Nadchodził świt. De Warenne udał się na krótką drzemkę. Spędziła z nim najprzyjemniejsze godziny w swoim życiu. Jego obecność działała jak opium, słodkie, mocne i uzależniające. Nie mogła się nim nasycić.

Wyciągnęła z torby koronkowy szlafroczek i zapatrzyła się nań. De Warenne jest tak inny od wszystkich znanych jej mężczyzn. Przystojny i silny, wszechmocny i wykształcony, hojny i dobry. Rozumiał, jak bardzo bała się Anglii i spotkania z matką, więc dodawał jej odwagi, zapewniał, że wszystko dobrze się ułoży. Tyle że ona wiedziała swoje. Mama kochała ją, tak mówił tata, ale to było wiele lat temu. Jeśli nawet nadal żywiła uczucie do utraconej córki, będzie ogromnie rozczarowana, gdy się przekona, na jaką kobietę wyrosła.

Pamiętała pogardliwe spojrzenia wykwintnych dam w Kingston, pamiętała ich szepty:

- Przyjrzałyście się córce pirata? Przecież to Dzikuska. Świetne przezwisko!

Nagle zapragnęła być prawdziwą damą, bo wtedy mama przyjąłaby ją z otwartymi ramionami.

Westchnęła. Takie pobożne życzenie nie ma sensu. Nawet jest niebezpieczne. Przebywanie z de Warenne'em przynosi jej ulgę. Przy nim przestaje myśleć o tym, co będzie za pięć tygodni, kiedy pojawi się w drzwiach matki. Była niemal pewna, że kiedy dojdzie do spotkania, ujrzy na jej twarzy szok, strach, a potem wyniosłe lekceważenie. Tak się tego bała - podobnie jak wtedy, kiedy była dzieckiem i kuliała się ze strachu na dolnym pokładzie, gdy na górze piraci mordowali się nawzajem. Zatykała uszy, próbowała nie myśleć, co może się stać.

Jednak dzięki de Warenne'owi zaczęła się uśmiechać. Przy nim teraźniejszość jawiła się jak coś pewnego, przy nim nie rozmyślała o przyszłości i czuła się bezpieczna. Nigdy nie czuła się tak przy tacie. Jednak de Warenne wzbudzał w niej nie tylko poczucie bezpieczeństwa.

Była do bólu świadoma jego męskości. W ciągu tygodnia z dziecka stała się kobietą.  
- Boże, nie pozwól, żebym się w nim zakochała. - Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że powiedziała to głośno. Struchlała, ale ponieważ Anahid nie zareagowała, uznała, że śpi głęboko.  
Przycisnęła do piersi szlafroczek. Sposób, w jaki

de Warenne na nią patrzył, podniecał ją niesamowicie. Jednak nie przyjął jej propozycji zapłaty za podróż. Zrobiła nawet aluzję, że to wciąż aktualne, ale nie połknął haczyka. A jednak jej serce i ciało domagały się jego zainteresowania. Chciała pójść do niego - i robiło jej się zimno ze strachu.

Bo gdyby oddała mu serce, byłaby skończoną idiotką. Złamałby je bezlitośnie. Prościej byłoby oddać ciało, tyle że de Warenne nie jest zainteresowany.

Nie jest? Dezorientował ją swoim zachowaniem. Może woli prawdziwe damy i to go powstrzymuje. Tyle że w sprawach seksu mężczyźni łatwo dają się omamić. Ileż to razy tatko powtarzał, że mężczyzna myśli tym, co ma w spodniach. Tak wiele jednak zawdzięczała de Warenne'owi, że nawet kilka nocy spędzonych w jego łóżku nie wyrównałoby jej zobowiązań. Nagle zyskała pewność, że jej pragnie. Stara się zachowywać jak dżentelmen, na pewno razi go jej brak wychowania, ale widząc ją w szlafrocжку, może da się ponieść namiętności. Może warto spróbować?

Rozebrała się, umyła jak najciszej, by nie zbudzić Anahid, narzuciła śliczny szlafroczek, starannie wy-szczotkowała włosy.

Serce waliło jej mocno, kiedy wysuwała się z kabiny. Spojrzała jeszcze na Anahid... która nagle popatrzyła jej prosto w oczy.

Amanda szybko wyszła na pokład, w czarną jak heban poświatę poprzedzającą świt.

Brakowało jej tchu, kiedy zatrzymała się pod zamkniętymi drzwiami kapitańskiej kajuty. Działała z determinacją, nie dopuszczała wątpliwości, by się nie rozmyślić.

- De Warenne - wyszeptała.

Gdy odpowiedziała jej cisza, uchyliła drzwi, które nie były zaryglowane, i wsunęła się do kabiny.

Lampy były zgaszone, ale popielate światło wpadało przez bulaje. De Warenne z obnażonym nagim torsem leżał na plecach w ogromnym szkarłatnym łóżu, przykryty do pasa cienkim jedwabnym prześcieradłem. Nie poruszał się, a przecież powinien być czujny.

- De Warenne!



Żadnej reakcji. Podeszła i uniosła brzeżek prześcieradła. Zobaczyła smukłe biodro, długie i jędrne udo, i wsunęła się do łóżka.

Kręciło jej się w głowie, była bliska omdlenia... i nagle de Warenne znalazł się na niej i unieruchomił nadgarstki nad głową.

- Co to ma znaczyć?! - ryknął.

Nie mogła dobyć głosu. Choć opierał się na łokciach, czuła jego ciężar, uda znalazły się między jej nogami. Był całkiem nagi, wezbrana męskość muskała jej ciało.

Zalała ją fala rozkoszy. .

- Odpowiedz! - zażądał zdławionym głosem. Nie mogła mówić, bo wszystko zaczęło w niej pulsować. Traciła kontrolę nad sobą. Zachłysnęła się, po czym natarła na niego ruchem bioder.

- Jeszcze chwila, a stracę kontrolę i wezmę cię, Amando - powiedział ochrypłym głosem. - Czy

tego chcesz? Naprawdę chcesz, żebym cię wykorzystał jak jakąś nic niewartą córkę pirata?

Uniósł głowę, patrzyli sobie w oczy.

Oczywiście, że nie chcę być tanią, żalostną córką pirata, pomyślała. Zwłaszcza dla ciebie...

- Tak myślałem.

Odrzucił prześcieradło i zatrzymał wzrok na jej obnażonych nogach.

Usiadła, zasłaniając się szlafroczkim, de Warenne zaś zerwał z łóżka nakrycie i zawinął się w nie, po czym obrzucił Amandę wściekłym wzrokiem.

Zacisnęła powieki. Czekwała, aż jej ciało przestanie drżeć. Jeszcze chwila, a nieuchronnie spadłaby na samo dno, co mogłoby się okazać fatalne w skutkach, ale odzyskanie jasności umysłu wydawało się po prostu niemożliwe.

Jego okrutne słowa zrobiły swoje:

- Nie mam ochoty na romans z tobą, Amando - rzucił z furją.

Popatrzyła na wydęte prześcieradło i wybuchnęła histerycznym śmiechem.

- Oczywiście, że pan ma.

- Mam taką samą reakcję przy każdej kobiecie, która wślizguje się do mojego łóżka.

Bardziej nie mógł jej zranić.

- Chciał mnie pan rano - wyszeptała.

- Jestem mężczyzną! Zawsze mam ochotę na seks - wycedził.

- Och... - Skuliła się na poduszce. Ból odrzucenia był straszny, porażający.

- To, czego chce moje ciało, nie ma znaczenia, ponieważ jestem zwierzęciem. Zaś to, czego moje ciało pragnie, jest czymś zupełnie innym. I przyjmij do wiadomości, że nie pragnę dzielić łóżka z tobą. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno? Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nie jestem wytworną damą - powiedziała. Kiedy wpłyną do portu w Londynie, de Warenne zada się z jedną ze swoich arystokratycznych kochanek. Zdławiła szloch.

- Nie, nie jesteś.

Ponieważ powiedział to bez złości, wreszcie spojrzała na niego.

- Wiedziałam, że to nie może być prawda. Wiedziałam, że nie może być pan dobry. - Zsunęła się z łóżka i podeszła do drzwi, starając się trzymać głowę wysoko.

Zawahał się:

- Amando.

Zastygła w bezruchu. Ton jego głosu był prawie normalny, więc modliła się, żeby ją przywołał, wziął w ramiona, uśmiechnął się łagodnie i powiedział, że nic się nie stało - że niech już pozostaną taką dziwną parą i że to, co się wydarzyło, nie zmienia niczego.

- Tak...?

Nie patrzył na nią.

- Gdybym pragnął twoich względów, już dawno bym cię zaciągnął do łóżka.

Uciekła z krzykiem.

Cliff walnął pięścią w ścianę.

De Warenne stał na sterburcie głównego pokładu. Zapatrzył się w dal. Wiał silny wiatr, więc płynęli szybko, tak jak lubił. Tymczasem był wściekły.

Odwrócił się nieśpiesznie, żeby spojrzeć na Amandę. Minęło południe i wraz z dziećmi miała przerwę w zajęciach. Ariella udała się na dół, żeby poczytać, a Alex robił coś na dziobowym takielunku pod okiem marynarzy. Z każdym mijającym dniem był coraz bardziej dumny z syna, który chłonał wiedzę o statku i coraz lepiej żeglował.

Natomiast Amanda...

Uczyła się błyskawicznie, Michelle za każdym razem wychwalała ją pod niebiosa. Jego zdaniem, gdy przybędą do Londynu, będzie płynnie czytać „London Timesa”. Poza tym był nią zauroczony. Nic dziwnego. Jest taka uwodzicielska z tymi włosami, egzotycznymi szmaragdowymi oczami i szczupłą, ponętą figurą.

Nie odzywała się od pięciu dni. Piorunowała go wzrokiem i ignorowała. Jakby go nie było.

Rozumiał, że to kara za jego okrucieństwo, ale czy naprawdę wołała, by ją uwiódł i całkowicie zrujnował reputację? Czy wie, z jakim trudem ją odprawił? Czy nie rozumie, że pragnął jak zawsze zachować się honorowo?

Użył tak okrutnych słów, by odsunąć ją od siebie, zniechęcić do następnych prób.

Do licha! Miał tego dość. Czuł się okropnie, dręczyło go poczucie winy. Nie chciał wracać do poprzedniej zażyłości, to było zbyt niebezpieczne, ale czy Amanda musi się zachowywać tak, jakby nim gardziła?

Rzucając mu nienawistne spojrzenie, odwróciła się plecami i pomachała Aleksowi, który siedział na rei i uśmiechał się do niej promiennie.

- Amanda! Wejdz na górę!

Co za bzdura! Kobiety nie wspinają się po linach, chociaż Cliff widział kiedyś, jak wspięła się na słupa.

Zuchwale spojrzała na de Warrenę. To było jawne wyzwanie. Po czym podbiegła do grotmasztu i wskoczyła na wanty. Błyskawicznie i zwinnie, jak najlepsi marynarze, wdrapała się do Aleksa.

- Naprawdę potrafisz się wspiąć - zdumiał się chłopak. - Myślałem, że sobie ze mnie żartujesz!

- Zaczęłam się wspinać, kiedy byłam młodsza od ciebie - przechwalała się, po czym spojrzała w dół, napotkała wzrok Cliffa i natychmiast odwróciła oczy.

Nie wytrzymał:

- Amanda, zejdź, proszę. Chcę zamienić z tobą słowo.

- Świetna pogoda - zagadnęła do Aleksa. - Jeśli wiatry się utrzymają, skrócimy podróż o ładnych parę dni.

- Wolałbym, żeby trwała wiecznie. Nie interesuje mnie Londyn - oświadczył chłopak.

Cliff nie mógł uwierzyć. Wydał jej rozkaz, a ona go ignoruje? No, może nie rozkaz, tylko ją poprosił.

- Amanda. - Gdy spojrzała na niego ponuro, rzucił ostro: - Do mojej kabiny. - Odszedł zamaszystym krokiem. Jeśli nie posłucha, sam wejdzie po linach i zniesie ją na ramieniu, nie zważając na to, że dowódcy nie wspinają się po wantach.

Usłyszał jednak, że zeskoczyła. Zrobiła to cicho i miękko jak kot. Szła za nim, zachowując bezpieczną odległość, jakby jakiś groźny drapieżnik tylko czyhał, by ją ugryźć.

Zatrzymał się na środku kabiny. Postanowił udawać, że nic się nie stało i nie mają za sobą pięciu cichych dni. Odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Podobno doszłaś już do podręcznika drugiego stopnia. - Gdy milczała, patrząc na niego hardo, spytał: - Jak ci się podoba nauka? - Skrzyżowała ramiona na piersi, najwyraźniej odmawiając rozmowy. - No cóż, przyznasz mi chyba rację, gdy powiem, że jesteś prawie dojrzałą kobietą, a zachowujesz się jak dziecko. - Znów ten ponury uśmiech. - Zamierzasz mnie ignorować przez najbliższe cztery tygodnie?

- Czy ja pana ignoruję, kapitanie?

Czuł się okropnie. Była na niego zła, za co nie mógł jej winić. Cogorsza, wiedział, że jej złość to fasada, za którą ukrywała poniżenie i ból. Co za szczyt ironii! Pragnął ochronić ją przed zawodem miłosnym, a przysporzył jeszcze większego cierpienia.

- Przykro mi, że cię zraniłem, Amando - powiedział szczerze. - Najwyraźniej wprowadziłem cię w błąd moim zachowaniem, ale przynajmniej teraz wiemy, na czym stoimy. To będzie bardzo długa podróż, jeżeli nadal będziesz piorunować mnie wzrokiem i odmawiać rozmowy.

- Podróż jest już i tak za długa.

- Niestety, w tej sprawie nie da się nic zrobić.

- No cóż - rzuciła nonszalancko - kiedy przybijemy do Anglii, będzie pan mógł pójść do swoich wytwornych dziwek.

To był jeden z rzadkich momentów, kiedy wyraziście mógł pochwycić jej ból. Na Boga, co miał odpowiedzieć? Milczał.

- To wszystko? Muszę iść kończyć lekcje. Dobrze chociaż, że już rozmawiamy ze sobą, pomyślał ponuro.

Obudziła się spięta.

Przez bulaj kabiny dochodził szczepek oreża.

Czy zostali zaatakowani? Czyżby przespała szturm i abordaż? Zeskoczyła z koi, ubrała się błyskawicznie, załadowała pistolet i wsadziła za spodnie. Chwyciła szpadę i wyszła z kabiny. Dźwięki dochodziły z głównego pokładu.

- Nie markuj ciosu - radził de WARENNE. - Nacieraj równomiernie i nie markuj. Nie zginaj nadgarstka. No tak, pomyślała uspokojona, po czym obiegiła kabinę i zatrzymała się. Ojciec i syn ćwiczyli się w szermierce.

De WARENNE był dobrym nauczycielem. Poganiał syna, ale tylko na tyle, by chłopak miał z tego korzyść, a nie frustrację.

Choć czuła się nadal zraniona, postanowiła sobie z tym poradzić. To drań i łajdak, nadęty jak indor snob, kreśliła w myślach nową charakterystykę de WARENNE'a. Udaje tylko dobrego, a jest podłym, okrutnym, obślizgłym jaszczurem. Nienawidzi go!

Jak sobie to powtórzy z milion razy, może w końcu uwierzy.

Zauważył ją i dał synowi sygnał na przerwę. Alex odłożył szpadę, oddychał ciężko, ale uśmiech miał od ucha do ucha. Najpierw wzrok de WARENNE'a zatrzymał się na pistolecie i na szpadzie, potem przeniósł się na nią.

Nienawidzę go, powtórzyła w myślach. Weźmie sobie do łóżka wytworną damulkę, ale nie mnie. Nie jestem dość dobra dla niego.

- Pewnego dnia pański syn będzie dobrym szermierzem - stwierdziła, podchodząc do nich.

Miał się na baczości.

- Tak, będzie. Co to takiego? Powoli opuściła broń.

- Moja szpada. - Uśmiechnęła się z wyższością. Była mistrzynią szpady, tata przy niej wysiadał. Machał bronią jak cepem, przynajmniej przy niej tak to wyglądało. W szermierce siła nie jest najważniejsze. Amanda miała cudowny balans ciałem, refleks, zwinność, no i ten błysk zwany talentem. A także ćwiczyła zajadle przez długie lata.

- Chcesz fechtować?

- Usłyszałam szcęk kling i pomyślałam, że zostaliśmy zaatakowani. - Położyła pistolet obok na pokładzie.

- Zesłaś, żeby pomóc moim ludziom bronić statku? - spytał zdumiony.

- Oczywiście. Nie jestem bojaźliwą arystokratką, która mdleje na widok walki, niestety prawie zapomniałam posługiwać się szpadą. Od dawna nie miałam okazji fechtować. Ma pan ochotę spróbować? - Nie dając mu czasu na odpowiedź, od razu zaatakowała.

Automatycznie odparował uderzenie.

- Twoja szpada jest ostra, Amando - zauważył. Poczula, jak jej wargi układają się w uśmiechu.

Pchnęła ponownie. Odparował.

- Nie skaleczę pana. - A może to zrobi, by ujrzeć wyraz jego twarzy? Wielki de Warenne w opałach... co za widok!

Znów zaatakowała. Odparował, ale cofnął się nieco. Uskrzydłona przeszła do ofensywy, on zaś blokował tylko ciosy, pozwalając, by Amanda wodziła go po pokładzie.

Wreszcie przyparła go do barierki lewej burty i zaśmiała się triumfalnie.

- Musi pan przyłożyć się bardziej, de Warenne! Mam nadzieję, że nie wystraszył się pan mojej klingi?



- Rozumiem, że nadal jesteś na mnie zła. Była wściekła. Nic nie rozumiał! Pchnęła, a on odparował, zamarkowała cios, a następnie ominęła gardę i przejechała sztychem po cienkiej, wytwornej koszuli. Cofnęła się, upojona zwycięstwem.

- Teraz pan rozumie? - zapytała słodko. Zdumiony spojrział na długie rozcięcie, po czym powoli podniósł wzrok na Amandę.

- Nie skaleczyłam pana - zauważyła drwiąco.

- Miałaś szczęście - powiedział, a krew zabarwiła mu policzki.

- Nie, markowałam cię. Nie chciałam upuścić pańskiej cennej krwi. - Pchnęła niemal niezauważalnie i trzy guziki z koszuli upadły na pokład, obnażając kapitańską klatkę piersiową.

Ktoś zaśmiał się na górze.

De Warenne nie wierzył własnym uszom.

- Walcz, milordzie - prowokowała. - Albo twoi ludzie zobaczą, że może cię ograć byle dzieciak.

Nagle zadał pchnięcie.

Z trudem odparowała cios. Pchnął znowu i zno-

wu, przeganiając ją przez cały statek. Po chwili zlana potem stała oparta o barierkę. Uśmiechnął się.  
- No, dość tego, kochanie. Nie mam zamiaru walczyć z tobą, zwłaszcza że masz ostrą klingę. Poza tym oboje wiemy, że mnie nie pokonasz.

Amanda myślała gorączkowo. Może jeszcze spróbować i sprawić, żeby otrzeźwiał. Nie jest wytworną damą, ale może mu sprostać pod każdym innym względem. Wydała dziki pomruk i zaatakowała. De Warenne podjął walkę. Postąpił krok do tyłu, krok na bok, aż zaczęli poruszać się w zawrotnym tempie w błędnym kole następujących po sobie mocnych pchnięć. Pot zalewał jej oczy. Oczywiście, że on jest mistrzem. Nie liczyła, że wygra, ale chciała jakoś go zranić. Niczego bardziej nie pragnęła - chciała, żeby poczuł to, co czuła ona! Do licha z nim!

Bolało ją ramię. Była u kresu możliwości fizycznych, ale nie zamierzała się poddać.

- Niech cię diabli! - stęknęła i stanęła w miejscu, udając, że jest wyczerpana i gotowa zdać się na jego łaskę.

Dał się nabrać. Szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- Dobra walka - zaczął.

Amanda wykonała fintę, pchnęła i ucięła mu resztę guzików. Był tak zdumiony, że przez chwilę wpatrywał się w podartą na strzępy koszulę. Potem przeniósł wzrok na nią. Jego niebieskie oczy błyszczały ogniem, stopniowo na jego twarzy pojawiał się wyzywający uśmiech.

Nie jest zły, tylko podniecony. Poczwała dziką radość i satysfakcję z odniesionego zwycięstwa. Może jej nie chce przy tym swoim wyrafinowanym intelekcie, ale zdołała tak bardzo go sprowokować, że zapragnął jej tu i teraz. Wiedziała to ponad wszelką wątpliwość.

- Co jest, de Warenne? - mruknęła uwodzicielsko. - Może jednak wcale panu nie chodzi o wytworną damę.

Jednym ruchem nadgarstka rozciął jej ubranie.

- No dalej - wykrztusiła dziko podekscytowana. - Niech mnie pan rozbierze.

Twarz mu stężała. Powoli przesunął tępe ostrze

i zatrzymał między jej piersiami.

- Sądzę, że teraz jesteśmy kwita - powiedział szorstko.

Podniosła wzrok.

- Nie dla mnie.

- Dotykam twojego serca, kochanie. W prawdziwym pojedynku już byś nie żyła.

- Większość mężczyzn wolałaby mnie ciepłą i żywą w swym łóżku - prowokowała szyderczo.

Zapłonęły mu oczy. Cofnął się, odrzucił szpadę, która z brzękiem upadła na pokład.

- Wygrałaś, Amando - powiedział. - Uznaję swoją przegraną.

Odwracał się, by odejść, kiedy Amanda odcięła górne guziki jego bryczesów.

- Być może - powiedziała słodkim głosem - mój przeciwnik byłby równie zwiedziony jak pan i rzucałby szpadę przedwcześnie, uważając niesłusznie, że już mu nic nie grozi. Być może w prawdziwym

pojedyнку sprawność ma niewiele wspólnego ze zwycięstwem. Niech się pan odwróci.

Z niedowierzaniem stanął przodem do niej.

Miał nieprzyzwoicie rozchylone spodnie, po prostu czyste pożądanie na widoku.

Kipiała z podniecenia. Przytknęła zabójcze ostrze szpady do rozszalałego serca de Warenne'a i spojrzała mu w twarz.

- Tak, wygrałam — powiedziała bezbarwnym tonem.

Oddychał ciężko. Wreszcie był na nią wściekły, za to ona upojona szczęściem.

- Pokonałaś mnie. I co teraz? Przekłujesz mi serce za to, że zraniłem twoje? Tymczasem jedyne, co chcę zrobić, to bezpiecznie dowieźć cię na miejsce i przekazać w ręce twojej rodziny.

Napięcie nagle się ulotniło. Konsternacja walczyła z poczuciem winy.

De Warenne odwrócił się i zaczął odchodzić, po czym szybko wrócił do niej i chwycił za nadgarstek.

- Odlóż tę cholerną broń. Chcę z tobą porozmawiać na osobności i nie jest to prośba.

Zrozumiała, że posunęła się za daleko. Jej radosne podniecenie gwałtownie minęło.

Ruszyła za de Warenne'em z duszą na ramieniu, odkładając szpadę na pokład. Nagle zdała sobie sprawę ze śmiertelnej ciszy panującej na statku.

Blisko trzystu mężczyzn było świadkami jej niepoczytalnej napaści na kapitana.

Ścisnął jej ramię i wepchnął do kabiny.

Powróciło straszliwe pragnienie. Co ją naszło, żeby tak lekkomyślnie sprowokować de Warenne'a?

Czy jest bardzo zły? Co w nim zwycięży - gniew czy pożądanie?

Kopniakiem zamknął drzwi. Zerwał z siebie podartą koszulę, wyminął Amandę sztywnym krokiem i nie krępując się obnażenia, włożył inną, wyrzucając ją na bryczesy.

Odwrócił się gwałtownie.

- Czego się spodziewałaś? Jesteś zuchwała i nieustraszona, ale jesteś kobietą. Każdy mężczyzna byłby podniecony tak agresywną grą wstępną. Dam głowę, że zaplanowałaś to sobie.

- Niczego nie planowałam! Byłam zła. Chciałam pana zranić. Kupię panu nową koszulę.

- Nie masz grosza. - Nalał sobie whiskey, wypił do dna i nalał ponownie. Ręka mu drżała. - Jesteśmy zdani na swoje towarzystwo - powiedział, patrząc na nią. - Tak nie da się żyć. Już cię przeprosiłem za moje zachowanie. Przyszła pora, żebyś przyjęła moje przeprosiny. Proponuję rozejm.

Ona też drżała. Czy ma przyjąć jego przeprosiny? Bogiem a prawdą, wcale nie chciała z nim walczyć, wcale go nie nienawidzi.

- Zgadzasz się na rozejm?

Poczuła się oszołomiona pewną myślą.

- Zgadzam. - O Boże, zakochałam się w Cliffie de Warennie, dudniło jej w głowie.

Przepadła z kretesem.

Lekko się uśmiechnął, choć czujnie trzymał dystans między nimi.

- Urządziłaś mojej załodze niezłe przedstawienie, Amando.

Przygryzła wargi. Nie wiedziała, co powiedzieć,

bo nie mieściło się jej w głowie głowie, że zakochała się w najbardziej nieosiągalnym mężczyźnie na świecie.

- Brakowało mi rozmów z tobą, tych wspólnych chwil - wyznał, gdy nadal milczała. Te słowa ożywiły ją, przepełniły nadzieją. Spojrzeli na siebie.

- Zjesz ze mną kolację? Opowiesz mi o lekcjach, o tym, czego nauczył cię Michelle. Możemy też zaplanować logistykę twojego spotkanie z matką.

Jej także go brakowało, aż do bólu. Przyjmie wszystko, co jej zaproponuje.

\*- Chętnie zjem z panem kolację. - Zawahała się.

- Co to znaczy logistyka? Uśmiechnął się ciepło.

- To termin wojskowy, ale na salonach też się przydaje. Najkrócej mówiąc, chodzi o zaplanowanie do najdrobniejszego szczegółu i zorganizowanie jakiejś akcji. Musimy porozmawiać o wielu detalach, wiele też muszę cię nauczyć. Ot, choćby prezentacja w Belford House.

- No dobrze... - Nie chciała rozmawiać o Londynie. Była dogłębnie i nieodwracalnie zakochana.

- Zachowałeś się dzisiaj bardzo odważnie, Amando. I świetnie sobie radzisz ze szpadą. Nie znam drugiej kobiety, która by tak sprawnie władała białą bronią.

Odetchnęła głęboko, nie radząc sobie z rozpierającą ją dumą. Zobaczyła w jego oczach niekłamany podziw.

- Dziękuję.

Zadowoli się jego podziwem, skoro nie ma szansy na zdobycie miłości.

Amanda spóźniała się.

Krażył niespokojnie po kabinie wokół elegancko nakrytego stołu i nie przestawał myśleć o jej fantastycznym popisie szermierczym. Mogłaby być celtycką księżniczką w tych odległych czasach, kiedy kobiety były tak dzielne i nieustraszone, że walczyły u boku swoich mężczyzn.

Myślał też o jej przybyciu do Belford House. Amanda nie ma pojęcia, że jest bękartem. Po prostu wykluczone, by Dulcea Belford choć przez krótki czas była żoną młodego oficera marynarki, z którym potem wzięła kosztowny rozwód.

Przeklinał Carre'a za jego kłamstwa, a zarazem rozumiał jego intencje.

Co do lady Belford, znał ją na tyle, żeby wiedzieć, iż nie będzie uradowana ze spotkania z dawno zaginioną córką. Żadna dama z jej pozycją nie przyzna się do nieślubnego dziecka, bo to by oznaczało ruinę życia, hańbę i śmierć towarzyską. Niewykluczone, że Dulcea przedstawi córkę jako daleką kuzynkę. Tym sposobem przyjmie Amandę do rodziny, nie narażając na szwank reputacji.

Będzie musiał zadbać osobiście o to, żeby Dulcea zajęła się córką jak należy. Kiedy już dojdą do porozumienia, delikatnie powie Amandzie prawdę. Przerażała go myśl o tej rozmowie.

Tylko gdzie ona jest? Miała tu być już trzy kwadransy temu. Wyszedł z kabiny, żeby zobaczyć, co ją zatrzymało. Już miał zapukać do drzwi, kiedy usłyszał jej płomienną mowę. Znieruchomiał. Czy ktoś jest z nią na koi?

- Co mam robić? - pytała zrozpaczonym głosem.

- Jestem stracona, kompletnie stracona. Proszę, pomóż mi.

Zdezorientowany, a także zazdrosny Cliff popchnął drzwi. Amanda stała tyłem do niego pośrodku kabiny.

- Tatku! - zawołała - jeśli mi teraz nie poradzisz, do kogo się zwrócę? Dobry Boże, tatku, tak bardzo cię potrzebuję!

Współczuł jej z całego serca. Rozmawia ze zmarłym ojcem? Czy widzi jego ducha? Czy naprawdę uważa, że jej odpowie? Jak często z nim rozmawia?

Chciał ją zawołać, kiedy powiedziała łamiącym się głosem:

- Pewnie jesteś na mnie zły. Nie zapomniałam, że chciałeś, żebym została kochanką de Warenne'a, ale on jest prawdziwym dżentelmenem, tatku. Próbowałam go uwieść, naprawdę próbowałam.

Nogi się pod nim ugięły. Bawiła się w uwodzenie, by spełnić obietnicę daną obłąkanemu ojcu!

Rozumiał, dlaczego Carre chciał, żeby niemająca grosza przy duszy córka została kochanką bogacza, ale to niczego nie zmieniało.

Otarła łzy.

- Tatku, wybacz, że cię zawiodłam. Przynajmniej jestem w drodze do mamy... Tatku? Nie wiem, co robić. Jestem taka zakochana.

Jeszcze był w szoku, a już się modlił, żeby to wszystko okazało się nieporozumieniem. Otworzył drzwi na oścież.

- Ja wiem - wyszeptała, jakby odpowiadała ojcu. - Wiem, że jestem idiotką, wiem, że on złamie mi serce, ale jeszcze nigdy nie spotkałam takiego mężczyzny. Nikt nie jest podobny do de Warenne'a! O Boże! Próbuję sobie wmówić, że mam poprzestać na jego towarzystwie, ale to takie trudne! Jestem tak strasznie zakochana. Gdyby mnie chciał, z radością zostałabym jego kochanką. Tylko tego pragnę, tatku.

Uszło z niego całe powietrze. Jak to możliwe? Jakim cudem Amanda Carre, wolna i nieokiełznana Dzikuska, zakochała się w nim?



Czy się tego już dawno nie domyślał? Sposób, w jaki na niego patrzyła, oczy na przemian błyszczące nadzieją i podziwem albo zmysłowe z pożądania mówiły tak wiele. Czy swoim zachowaniem aż tak bardzo wprowadził ją w błąd, zamącił w sercu? Chciał ją tylko chronić...

Próbował Coś powiedzieć, ale głos odmówił mu posłuszeństwa.

- Przynajmniej płynę do Anglii, do mamy, ponieważ tego chciałeś. - Drżała, walczyła ze łzami. -

Jednak nie mogę temu zaprzeczyć, tato. Bardzo się boję. - Wytarła twarz. - Jestem tchórzem.

Zawiodłam cię, ponieważ boję się Anglii, boję się mamy nawet bardziej niż rzezimieszków, którzy napadali na naszą łódź i próbowali nas zabić. Chciałabym, żebyś kazał mi wrócić i powiedział, że nie muszę tam jechać.

Wycofał się z kabiny. Ogarnęło go bezbrzeżne współczucie. To było zrozumiałe, ale jej uczucie do niego... Nie wiedział, jak sprostać tej sytuacji.

Najciszej jak mógł wrócił do swojej kabiny.

## **Rozdział ósmy**

Przyglądał się jej, kiedy sączyła wino. Monolog, który podsłuchał, wrył mu się w pamięć, ale po niej nie było widać niedawnego wybuchu. Spojrzała na niego. Jej oczy były takie łagodne i pełne nadziei. Już wiedział, co oznacza ten wyraz twarzy. Zakłopotany, nerwowo odwrócił wzrok. Miał jednak plan, solidny plan, który zamierzał wprowadzić za wszelką cenę. Poruszy niebo i ziemię, żeby spotkanie córki z matką powiodło się, ale to wymagało współpracy ze strony Amandy.

- Jak ci smakuje soupe de poisson? - zapytał beztrąsko.
- Bardzo - odparła z uśmiechem.
- Szybko płyniemy. Obliczyłem, że mamy za sobą jedną trzecią drogi do Anglii.
- Aha.... - Wrażnie się spięła.
- Musisz być bardzo przejęta, Amando.
- Tak. - Wbiła wzrok w talerz.

Zastanawiał się, co zrobić, żeby zwierzyła się ze swoich obaw. Wtedy mógłby zaproponować jej krótki kurs dobrych manier, bez którego spotkanie z Dulceą Belford musi okazać się niewypałem.

- Czy wysadzi mnie pan w londyńskich dokach?
- Amando, skąd ten pomysł? Odwiozę cię do Belford House.
- I tam mnie pan zostawi, tak?
- Chcę, żebyś wywarła dobre wrażenia, Amando - powiedział, uważając na słowa - i pomogę ci w tym. Musimy ci sprawić odpowiednią suknię. Gdy przybijemy do portu, wezwę szwaczkę do Harmon House. Chciałbym, żebyś dobrze zaprezentowała się w Belford House.
- Harmon House? Tam mieszka pański ojciec z hrabiną, swoją żoną?
- Zatrzymuję się w Harmon House, kiedy jestem w stolicy. Nie mam pojęcia, kogo zastaniemy w domu. Równie dobrze mogą być wszyscy albo nikt.
- Aha... - Poczerwieniła.

- Widzę, że się niepokoisz, ale możesz być pewna, że moja rodzina przyjmie cię życzliwie. A ja będę przy tobie, kiedy spotykasz się z matką, o ile będziesz sobie tego życzyła.
- A potem pan odjedzie. - Skrzyżowała ramiona, na piersi. - Mam na myśli sytuację, gdy dostanę od niej pokój i spędzę resztę życia w Belford House!
- Jesteś młoda, a ona jest twoją matką. - Czuł się okropnie. - Oczywiście, że weźmie cię do siebie, bo jak inaczej. Kiedy osiągniesz pełnoletność, będziesz mogła robić, co zechcesz, o ile pozwolą ci na to fundusze. - Wiedział, czego chciał Carre dla swojej

córki. Nie potępiał go w czambuł. Amanda jest piękna i namiętna, idealny materiał na kochankę bogatego arystokraty. Dlaczego jednak Carre nie miał wobec niej wyższych aspiracji? No i czy Amanda naprawdę spędziła pierwsze cztery lata życia z matką? Wydało mu się to mało prawdopodobne. I, do cholery, dlaczego Carre nie posłał córki do szkoły dla dobrze urodzonych panien, żeby nabrała ogłady?

- No cóż, już wkrótce będę pełnoletnia.

- Formalnie tak, ale jestem pewny, że matka będzie chciała zadbać o twoją edukację. Nie wyrzuci cię, kiedy skończysz osiemnaście lat. Wiele niezameężnych dam mieszka w domu i po dwudziestce.

Niektóre panny nigdy nie opuszczają domu rodziców.

- Nigdy? - Ta wizja ją przeraziła.

- Mogę ci pomóc - zaryzykował.

- Co pan ma na myśli?

- Piękna suknia to za mało, żeby się zaprezentować.

- Wiem, że nie jestem damą - odparła sztywno

- i żadna suknia nie zrównoważy moich braków. Zresztą nigdy nie miałam na sobie sukni.

Teraz jego ogarnęło przerażenie. Będzie trudniej, niż sądził.

- Ja jestem oczarowany twoją naturalnością

- powiedział spokojnie. - Jednak inni mogą nie podzielać mojej opinii.

- Niech pan nie będzie śmieszny! Czy pan wie, ile wytwornych dam w Kingston szydziło ze mnie, i to w miejscach publicznych? W kościele nie pozwalały mi usiąść w tej samej ławce. Inne na mój widok ostentacyjnie przechodziły na drugą stronę ulicy, prowadząc głośne rozmowy o mnie. Och, dobrze wiedziałam, co myślą o dzikiej córce pirata. Nikt w domu mojej matki nie pomyśli inaczej, w pańskim też.

- Nie jesteś jakimś wyrzutkiem. - Serce mu się krajało. - Jesteś sto razy mocniejsza, dzielniejsza i piękniejsza niż wszystkie tamte jędze. I bardzo się mylisz co do mojej rodziny. Będą dla ciebie mili i

polubią cię, kiedy poznają lepiej. Jednak co do jednego masz rację. W Belford House nikomu nie zaimponujesz swoją otwartością ani szermierczą biegłością. Musisz starannie przygotować się na spotkanie z matką. Dużo o tym myślałem. Musisz nauczyć się obowiązujących w tych sferach manier. Jak chodzić, jak mówić, jak jeść. I oczywiście musisz umieć tańczyć.

- Chce pan powiedzieć, że chodzę i mówię nie tak jak trzeba? - Była bliska łez. - Nie chcę jadać kolacji z tym wytwornym towarzystwem. Nie chcę płynąć do Anglii. Nie chcę spotkać się z matką, nie w taki sposób, ale obiecałam to tacie! - Wstała, przewracając krzesło, schyliła się, by je podnieść.

Zerwał się, by jej pomóc.

- Usiądź, Amando - powiedział łagodnie.

- Widzi pan! - krzyknęła z rozpaczą. - Nawet nie potrafię należycie wstać od stołu!

Ujął jej rękę.

- Wiem za to, że potrafisz świetnie naśladować.

- Ma pan na myśli moje wygłupy? - Wyraźnie się ożywiła.

- Właśnie. - Uśmiechnął się. - Potrafisz idealnie naśladować ton, jaki przybierają wyższe sfery, robiłaś to przy mnie. Więc nauka nie będzie taka trudna.
  - E tam. Potrafię zrobić te napuszone miny i mówić jak te panusie, ale nikogo nie będę nabierać. Nie chcę być damą. Chcę pływać po morzach.
  - Niestety, Carre nie żyje. Nie masz też na to środków, w ogóle nic nie masz, co zresztą jest godne ubolewania. Będiesz na utrzymaniu matki. Musisz się jakoś dostosować.
  - Mam pana - powiedziała szeptem, wpatrując się w niego wilgotnymi oczami.
  - Co? - Serce zabiło mu gwałtownie.
  - Mogę zostać tutaj... z panem. Tata byłby z tego zadowolony.
  - Amando...
  - Jestem dobrym marynarzem! - zawołała. - Założę się, że żaden chłopak na statku nie potrafi się wspiąć na główną reję tak szybko jak ja.
  - Cóż, nie przeczę.
  - Ładuję kule tak szybko jak najlepsi strzelcy. I dobrze strzelam z pistoletu, a sam pan się przekonał, jakim jestem szermierzem. Proszę! - dodała desperacko. - Niech mi pan pozwoli pływać z sobą!
  - Chcesz pływać ze mną - powtórzył jak echo. Chce zostać na jego statku, żeglować na pełnym morzu. Odwrócił się. Był poruszony i znów niehumanie pobudzony...
  - Zarobię na sobie, przysięgam! I nie jem zbyt dużo. Mogę spać na dole razem z załogą.
  - Nie.
  - W Anglii czeka mnie całkowita porażka - wyszeptała. - Oboje o tym wiemy.
  - Nic podobnego. Pomogę ci, żebyś nauczyła się postępować jak dama. Możesz też liczyć na Ariellę i Anahid.
- Usiadła na łóżku, uporczywie wpatrywała się w de WARENNE'a.
- A jeśli mama mnie nie zechce?

Tego obawiał się najbardziej. Złagodniał, podszedł do niej, pamiętając, żeby jej nie dotykać. Nie wolno mu pocieszać Amandy.

- Rozumiem, że dręczy cię niepokój, proszę wszakże, żebyś mi zaufała. Zabezpieczę twoją przyszłość, zanim opuszczę Anglię. Obiecuję.

- Ufam panu - wyszeptała po chwili - ale co będzie, jeżeli mama spojrzy na mnie w taki sposób, jak ta maciora w Windsong?

Lady Belford pożałuje, pomyślał, jeżeli ośmieli się zadzierać nosa wobec córki.

- Nie jesteśmy w stanie przewidzieć wielu rzeczy, Amando, ale możemy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby zwiększyć twoje szanse. Musisz tylko ostro popracować przez najbliższe cztery tygodnie, a egzamin ze spotkania z matką zdasz celująco.

- Postaram się. Żałuję tylko, że nie mam takiej wiary w siebie jak pan.

- Więc będę ją miał za nas dwoje. - Spoważniał. - Amando, pamiętaj, ona jest twoją rodziną. Przez większość czasu zajmuję się handlem, bywam też korsarzem. Jestem też kawalerem. Jest wiele powo-

dów, dla których nie możesz ze mną pływać. To po ' prostu niewykonalne.

- Dlaczego? - zapytała, odwracając wzrok. - Robi pan, co mu się podoba, prawda? Wszyscy wiedzą, że nie podlega pan nikomu.

Niestety, miała rację.

- Moje życie byłoby zupełnie inne, gdybym nie był ekscentrykiem. Dzięki temu mogę się trzymać z daleka od innych spraw. Nie mam wyrzutów sumienia, wiem jednak, że lepiej mają ci, którzy potrafią dostosować się do otoczenia.

- Ja też jestem inna - wyszeptała, szukając jego wzroku. - Eks... ekscentryczka, tak?

Oboje jesteście outsiderami, pomyślał.

- Amando, twoim przeznaczeniem jest Belford House, moim pełne morze. Jesteśmy całkowicie różni.

- Usiadł przy niej na łóżku, poruszony faktem, że tak wiele mają z sobą wspólnego.

- No więc jak? Czy porozumieliśmy co do planu działania?

- Postaram się poprawić moje maniery - powiedziała z ociąganiem - ale nie jestem taką optymistką jak pan.

- Wiem, że ci się uda, Amando. Nie opuszczę cię

- dodał jakby wbrew sobie.

Była wykończona. Od pięciu dni oddawała się nowym zajęciom. Nawet polubiła te lekcje. Gdyby tylko nie była taka niezdarna i niepojętna, jej wysiłki nie wyglądałyby tak komicznie! Wielką trudność sprawiało jej swobodne poruszanie się w długich spódnicach. Potykała się wciąż albo o rąbek sukni, albo o własne nogi. Czy matka nie mogłaby jej pokochać takiej, jaka jest?

Prawie nie widywała de Warenne'a. Kiedy spróbowała dołączyć do niego podczas nocnej wachty, kazał jej wrócić do kabiny i położyć się spać, wyraźnie nie życząc sobie jej towarzystwa. To był dla niej straszny cios. Najwyraźniej postanowił trzymać ją na dystans, i wiedziała dlaczego. Narzucała mu się, a on nie życzył sobie takiej poufałości.



Rozległo się pukanie do drzwi. Kiedy odwróciła się, dostrzegła przez bulaj srebrny ocean i złowieszczo szare niebo. Ogarnęło ją radosne podniecenie. Jak nic, pogoda spleta figla. Minęło już parę dobrych lat, kiedy wokół niej przewalał się dziki sztorm.

W progu stał uśmiechnięty Michelle. Rozpromieniła się.

- Poczytamy trochę? - Uwielbiała czytanie prawie na równi z żeglowaniem.

- Non, mademoiselle. Dzisiaj zaczniemy lekcje tańca.

Straciła zapał. Dotąd lekcje obejmowały tylko naukę chodzenia, mówienia i dygania. Michelle ma ją uczyć tańca? Jeśli miałyby się czegoś nauczyć, to wolałyby z de Warenne'em.

- Nie czuję się za dobrze - skłamała. - Może zaczniemy jutro?

- Mademoiselle, zostało nam bardzo mało czasu! Musi się pani nauczyć walca, nawet bez muzyki.

Maintenant, allez, allez!

- Zrefować o jedną trzecią marsie i bramsle!

- Tak jest, sir. - Kadet Clark pośpieszył wydać rozkazy.

Cliff spojrział przez wanty bukszprytu. Wiatr osiągał już prędkość dwudziestu trzech węzłów. Pogoda załamała się gwałtownie. Oceniał, że za dwie, trzy godziny będzie musiał opuścić prawie wszystkie żagle. Miał cały czas złe przeczucie, ale się nie przejmował.

- Kiepska pogoda.

- Tak jest, sir - odparł Maclver.

- Do tego będzie jeszcze padać. - Pomaszerował na koniec pokładu rufowego, żeby popatrzeć, jak opuszczają się żagle. Nie miał wątpliwości, że do wschodu słońca będzie potrzebował na pokładzie całej załogi.

- Milordzie. - Anahid zbliżała się chwiejnym krokiem po rozkołysanym pokładzie. Codziennie, dokładnie o czwartej po południu, składała mu raport na temat postępów Amandy. Do tej pory jej sprawozdania były budujące. - Milordzie, panna Carre jest zdeterminowaną uczennicą. Nie martwiłabym się o jej postępy, gdybyśmy mieli więcej czasu, ale zostały nam tylko trzy tygodnie!

- Musi zrobić dobre wrażenie, gdy tylko pokaże się w Belford House.

- Widział pan, jak wczoraj chodziła. Jak zbuntowana chłopczyca! Ona potrzebuje więcej czasu, milordzie. Czy mogę być szczerą?

- Proszę.

- Jest taka dumna... choć z każdym dniem jest lepiej. Jednak najmniejszą pomyłkę odbiera jak wstyd i hańbę. Czy nie zechciałby pan odłożyć jej towarzyskiego debiutu do czasu, kiedy w pełni opanuje niezbędne umiejętności?

- To by się dało załatwić, choć wolałbym, żeby od razu spotkała się z matką. Nie musi być perfekcyjna, żeby się z nią spotkać. Czy do końca podróży na tyle opanuje dobre maniery, że będzie mogła uchodzić za niezbyt ułożoną, ale jednak szlachetnie urodzoną damę?

- Nie jestem pewna, ale gdyby mógł pan od czasu do czasu pochwalić ją lub powiedzieć jakiś komplement, to by ją zmobilizowało. Ona pana uwielbia.

Zaczerwienił się. Podejrzewał, że Anahid wie, iż niedopuszczalna namiętność rzuciła cień na jego stosunki z Amandą.

- Odprowadzę cię na dół.

Kiedy szedł do dzieci, Amanda wyjrzała ze swojej kajuty i uśmiechnęła się promiennie.

Od razu dostrzegł, że jest podekscytowana.

- Rozumiem, że chcesz mi przekazać jakieś dobre wieści - zagadnął, kiedy weszła za nim do kabiny dzieci.

- Płyniemy wprost na sztorm. Od lat nie walczyłam ze sztormem.

Przyjrzał się jej. Większość kobiet byłaby przerażona, ona zaś...

Sam był też spokojny i opanowany.

- Czeka nas trudna przeprawa - powiedział. - Wiatr wzmaga się z każdą chwilą. Już teraz płyniemy z prędkością dwudziestu trzech węzłów. Dzieci zostaną na dole. Ty zostaniesz razem z nimi.

- Ja? - Po prostu była oburzona.

- To rozkaz. - Napotkał podobny wzrok Aleksa. Zauważył, że córka w końcu też dostrzegła nadciągającą burzę. Zamknęła książkę i blada ze strachu siedziała na dolnej koi.
  - Tatu! - zawołał Alex. - Muszę ci pomóc podczas sztormu!
  - To prawda, że płyniemy w kierunku wichury - odpowiedział Cliff - ale masz osiem lat i rozkazuję ci, żebyś został w kabinie i dodawał otuchy siostrze.
  - Ale...
  - Żadnych ale! - krzyknął Cliff. - Jestem twoim kapitanem i musisz wykonywać moje rozkazy. Czy to jasne?
- Alex zaczerwienił się i pokiwał głową.
- Wyrażę się jaśniej - dodał Cliff. - Jeśli mnie nie posłuchasz, użyję kija. - Nigdy wcześniej nie posunął się do takiej groźby, ale syn musi wiedzieć, że to nie są żarty.
- Chłopiec wytrzeszczył oczy, milczał jednak.
- W porządku - powiedział Cliff i podszedł do Arielli.
  - Co czytasz?
  - „Iliadę” - wyszeptała.
  - To dobra książka?
  - Tak... Tatu, czy wywrócimy się do góry dnem? Roześmiał się, by ją uspokoić.
  - Skądże! Czy twój tatu kiedykolwiek się wywrócił? Czekają nas silne wiatry, to wszystko. Później zacnie padać, ale wtedy ty już będziesz słodko spała. Nawet nie zauważysz, kiedy przepłyniemy przez sztorm, bo o brzasku zaś będzie świecić słońce. - Uszczypnął małą w policzek.
  - Statkiem tak trzęsie, że trudno będzie spać
  - marudziła dziewczynka.
  - Anahid przygotowuje ci herbatę, a kołysanie tylko pomoże ci zasnąć. Obiecuję.
- Mała uśmiechnęła się wreszcie.

Podszedł do Anahid i Amandy, która śledziła każdy jego ruch i w nabożnym skupieniu chłoneła każde słowo.

- Anahid - ściszył głos, żeby dzieci nie mogły go słyszeć. - Za jakąś godzinę dolej trochę brandy do herbaty Arielli. Lepiej, żeby przespała całą noc.

- Wrócił do syna i chwycił go za ramię. - Masz uspokajać siostrę. Możesz zagrać z nią w jakąś grę albo jej poczytać.

- Tak, tatku - odpowiedział Alex niby ulegle, lecz z nutą przekory.

Cliff westchnął. Niedługo wyrośnie na niezłego łobuziaka i trudno będzie dać sobie z nim radę.

Wychodząc na zewnątrz, zatrzymał się, żeby spojrzeć na Amandę, ale przeszła na drugą stronę kabiny i podeszła do jego syna.

- To nie była złośliwość, Alex - mówiła. - Sztorm jest niebezpieczny... jesteś jeszcze taki mały, że przy silniejszym powiewie mógłbyś wypaść za burtę! A gdyby tak się stało, twój tata dałby nurka, żeby cię uratować, i oboje byście utonęli.

- To już lepiej zajmę się siostrą - oznajmił chłopiec.

Zadowolony Cliff skinął głową Anahid i opuścił kabinę. Od razu zauważył, że wzmógł się wiatr.

Przyśpieszył kroku, przeskoczył na pokład.

- Ile węzłów?

- Dwadzieścia cztery - odpowiedział Clark. Wiatr przerodził się w wichurę.
- Całkowicie zrefować bramsle - rozkazał. - Pozostałe marsie i foki zrefować do połowy.
- Rozkaz, sir.
- Czy mogę?

Odwrócił się gwałtownie na dźwięk głosu Amandy. Stała na niższym pokładzie, walczyła z wiatrem, a jej szmaragdowe oczy błyszczały z emocji. Zeskoczył do niej i chwycił mocno.

- Jesteś niewiele większa od mojego syna! Oszalałaś, żeby wychodzić na pokład?
- To jeszcze nie huragan - krzyknęła. - Dwadzieścia cztery węzły to wichura.
- Masz zostać na dole!
- Proszę! - zawołała błagalnie.

Tylko szalenciec mógłby ustąpić, pomyślał, biorąc ją na pokład rufowy, gdzie okręcił ją kilka razy wokół talii liną, a następnie przywiązał do siebie.

- Możesz tu zostać pół godziny. I tak chciałem z tobą porozmawiać. Pokład w czasie sztormu nie jest odpowiednim miejscem dla dam.
  - Nie jestem damą.
  - Właśnie o tym chciałem powiedzieć.
  - Co? - zapytała, przykładając dłoń do ucha. Opuścił jej rękę.
  - Wiem, że mnie słyszysz. - Zbliżył do niej twarz. - Bardzo się cieszę, że robisz postępy. Anahid mówi o tobie same ciepłe słowa.
  - Ojej... - Patrzyła na niego zdumiona.
  - Jeśli tak dalej pójdzie, nie tylko zachwycisz matkę, ale i nie opędzisz się od zalotników.
  - Co też pan mówi? Dzisiaj w tańcu omal nie upadłam jak długa! - zawołała, przekrzykując wiatr.
  - Mówię to, bo wierzę w ciebie, chociaż wiem, jak bardzo się denerwujesz. Jeżeli nie będziesz gotowa po przyjeździe do Londynu, odwleczemy spotkanie, jak długo się da.
- Dostrzegł ulgę w jej oczach.

Raptem umysł splatał mu figla. Wyobraził sobie Amandę nie na pokładzie, ale na balu, w pięknej sukni. Serce zabiło mu gwałtownie. Dobry Boże, jakaż była piękna... Uświadomił sobie, że będzie otoczona rojem adoratorów.

- Amando, kiedy zadebiutujesz, będę nalegał na pierwszy taniec.

- Pierwszy taniec? - powtórzyła jak echo. Oderwał od niej wzrok i próbował otrząsnąć się z narastającego pożądania.

- Tak. Będę na twoim pierwszym balu, jeżeli obiecasz mi ten taniec.

- Oczywiście - niemal krzyknęła, po czym spojrzała na niego zdumionymi oczami. - Tylko dlaczego?

- Czyż nie jesteś moją protegowaną? - Nagle dotarło do niego, że wprowadzenie jej do towarzystwa może nie być dla niego aż takie miłe z powodu tłumu adoratorów zwabionych jej urodą. - Czy nie należy mi się taniec z tobą przed wszystkimi innymi? - zapytał przymilnym głosem, nie bardzo panując nad sobą.

Stali przy sterze w wicherze na rozkołysanym pokładzie, a on myślał o tej kobiecie, o jej urodzie i uroku, i o swojej namiętności, tylko nie o sztormie.

Zaczęła się uśmiechać.

- Jestem niezdarna.

Roześmiał się beztrąsko z jej absurdalnego zachowania.

- Jesteś lekka w nogach jak piórko. Pamiętasz, jak krzyżowaliśmy szpady? Wiem, że opanujesz wszystko do perfekcji.

- Świetnie. Pozwolę panu zatańczyć pierwszy taniec, jeżeli pozwoli mi pan przepłynąć przez sztorm razem z panem.

- Wykluczone! Jeszcze tylko tego brakuje, żebyś wypadła za burtę!

Zacieśniła łączącą ich linę i rzuciła mu uwodzicielskie spojrzenie.

- Teraz nie wypadnę.

Był zły, że odważyła się wykorzystać taniec przeciwko niemu. Podniósł wzrok na spienione morze.

Horyzont miał intensywnie czarny kolor.

- Nie prowadzę handlu wymiennego. - Będzie miał ten taniec niezależnie od jej chwilowej zachcianki.

Popatrzyła na niego tak, jakby dawała do zrozumienia, że wie, iż zwyciężyła. Nagle wrzasnęła.

Odwrócił się gwałtownie, idąc za jej wzrokiem. Jeden z marynarzy zwisał z rei bramsla. De WARENNE kątem oka zobaczył błysk sztyletu Amandy, która w mig przecięła łączącą ich linę.

Rzucił się, żeby ją złapać, ale wywinęła się i dała susa na niższy pokład.

- Amanda! - Skoczył za nią.

Serce mu zamarło, kiedy wskoczyła na grotwantę. Czy sądzi, że uratuje marynarza?

Próbował ją złapać, zanim wdrapie się za wysoko na wanty, ale była bardzo zwinna i błyskawicznie zostawiła go w tyle.

Była już bardzo blisko stenwanty. Znajdowała się niebezpiecznie wysoko. Gdyby spadła, mogłaby się zabić.

Wrócił na pokład, gdzie zaraz dołączył do niego kadet Clark.

- Złap ją, gdyby spadała.



Widział, jak walczy z wiatrem, który na górze był o wiele silniejszy. Dotarła do stenwanty, ale marynarz kręcił się jak kukielka na linie zwisającej z rei górnego marsła, który znajdował się nad Amandą. Cliff obawiał się, że chłopak długo nie wytrzyma.

Przystanąła, jakby zbierała siły.

Dyndający marynarz coś do niej zawołał.

Pokonując wiatr, pięła się wyżej. Powoli zbliżała się do nieszczęśnika, jej drobne ciało targane wiatrem zaczęło przeciskać się przez wanty. Kiedy wyciągnęła rękę do chłopaka, Cliff zamarł. Wydawało się, że wiatr zwieje ją z olinowania i porwie lada chwila.

Marynarz odmówił puszczenia rei.

Krzyczała na niego, lecz jej słowa ginęły w ogłuszającej burzy.

- Amanda! - zawołał Cliff, przykładając dłonie do ust. - Odetnij linę i rzuć mu ją! Odetnij linę!

Sięgnęła po sztylet i odcięła jedną z lin wanty, po czym rzuciła ją marynarzowi. Kiedy złapał linę, Cliff wiedział, że zdarzył się cud.

Zacząła szybko schodzić. Cliff wskoczył na wan-

ty i wdrapał się do niej. Uśmiechnęła się na jego; widok. Była zadowolona, ale nie triumfująca. ; Nie mógł ochłonać z wrażenia. Chwycił ją za' ramię.

- Możesz się puścić - zawołał. Posłuchała go, a on przyciągnął ją do siebie.

Przez chwilę kołysali się razem na wantach.

- Chryste. - Tylko tyle był w stanie powiedzieć.

- Chryste - powtórzył. Chyba nie przeżyłby, gdyby się zabiła.

Z policzkiem przytkniętym do jego twarzy Amanda zawołała:

- Co z chłopakiem?

- Wszystko w porządku. Musimy schodzić.

- Czas był ku temu najwyższy, bo wiatr wzmagał się niebezpiecznie. - Trzymaj się mnie.

- Mogę zejść sama! - krzyknęła.

Jeszcze jak! - pomyślał. Zaczął schodzić ostrożnie, a kiedy zjawili się jego ludzie, przekazał ją w ich wyciągnięte ramiona, po czym zeskoczył na pokład.

- Marsie do jednej trzeciej! - rozkazał. Amanda chwyciła go za ramię.

- Proszę pozwolić mi zostać. Mogę się przydać. Już tego dowiodłam.

- Miałaś stać na pokładzie.

- Uratowałam marynarzowi życie.

- To było czyste szaleństwo! Zejdiesz na dół do moich dzieci.

- De Warenne, przysięgam, że wykonam każdy pana rozkaz.

Jaka kobieta przy zdrowych zmysłach chciałaby stać obok niego i płynąć prosto w szalejącą burzę?

- Przymocuję cię do fokmasztu, co wcale nie będzie przyjemne - odpowiedział po dłuższym namyśle.

Podziękowała mu radosnym uśmiechem.

Parę godzin po zachodzie słońca niebo zrobiło się czarne. Wściekły wichur wiał z prędkością pięćdziesięciu sześciu węzłów. Fregatę niosło na samych grotstakslach. Morze było całkowicie białe,

widoczność żadna. Statkiem dziko rzucało. Mac-Iver trzymał ster, Cliff go nie odstępował. Cała załoga była na pokładzie.

Amanda stała na wprost nich, przywiązana do haka asekuracyjnego poniżej want fokmasztu.

Od czasu, kiedy uratowała marynarza, upłynęło jakieś osiem godzin. Według oceny Cliffa mogła być druga lub trzecia nad ranem.

- Wchodzimy w huragan, sir? - zawołał MacIver.

- Nie - odkrzyknął Cliff. - Jesteśmy w samym jego środku. Jeszcze godzina i najgorsze będzie za nami.

- Tak jest, sir.

Walcząc z wiatrem, przeszedł na sterburtę. Amanda powitała go uśmiechem. Ani razu nie zadał sobie fatygi, żeby zapytać, czy nie ma już dość i czy nie zeszlaby na dół, ponieważ znał odpowiedź.

- Znajdujemy się w samym środku sztormu - powiedział.

- Wiem. Widać już światło dzienne. - Wskazała dziób.

Poszedł za jej wzrokiem, ale nie dostrzegł śladu świtu, jednak po godzinie oboje zobaczyli wschodzący dzień. Gwałtowny wiatr zaczął się uspokajać.

Kataklyzm zbliżał się ku końcowi. Amanda się uśmiechnęła.

- Mamy z dziesięć węzłów mniej - oświadczyła z radością.

Był zdumiony, jak precyzyjnie oceniała wiatr i pogodę.

- Tak, ale czeka nas jeszcze potężna ulewa.

- To się wie. - Wzruszyła ramionami.

Wydał rozkaz podniesienia żagli, potem stanął obok Amandy i przez lunetę zaczął obserwować horyzont. Kropla deszczu kapnęła mu na rękę, a po chwili zaczęło lać jak z cebra.

- Czy mogę już przeciąć mój gorset? - zapytała ze śmiechem.

Sam uwolnił ją z więzów. Wystarczyło, że spojrzał na nią, by zrozumiała i podążyła za nim do steru.

- Mac, przejmuję obowiązki. Wykonałeś świetną robotę. Napij się kawy. Tego ci potrzeba!

- Rozkaz, kapitanie. - MacIver uśmiechnął się wesoło, uchylił czapkę przed Amandą i znikł.

Z nieba lały się strumienie, ale Cliff z wyraźną przyjemnością uchwycił ster. Fregata dziarsko pruła fale.

- Powinnaś i ty zejść na dół - oświadczył.

- Lubię deszcz.

Zadumał się. Inna kobieta na jej miejscu wyglądałaby jak zmokła kura, a ta jawiła się jak morska boginka. Mokra koszula oblepia ciało, uwydatniając bujne piersi i wąską talię. Nie powinien jej się przyglądać, ale było już za późno. Kiedy najgorsze mieli za sobą, zapragnął Amandy Carre jak żadnej dotąd kobiety.

Ulewa skończyła się równie gwałtownie, jak się zaczęła i ukazało się poranne słońce. Niebo i woda pokryły się szkarłatnymi smugami, przeblęski błękitu wypierały szarość. Dopfawdy, widok był niesamowity. Wymienili z Amandą porozumiewawcze uśmiechy.

Wpatrywała się w niego. I wtedy wyczuł jej podniecenie, jej głód. Zamiast dziecka, które uratował kilka tygodni temu w Spanish Town, miał przed sobą uwodzicielską kobietę. Jakże jej pożałował!

Odwrócił się, by wydać rozkaz wciągnięcia więcej żagli, natomiast Amanda, mrużąc coś pod nosem, przeszła na niższy pokład. Po jej odejściu pokład rufowy dziwnie opustoszał. Jednak tak jest lepiej. Cliff mógł się odprężyć i opanować zmysły.

- Pozwolisz, kapitanie?

Podskoczył nerwowo na dźwięk jej głosu. Trzymała dwa kryształowe kieliszki.

- Wyrażam zgodę - rzekł rozpromieniony.

- Tatko zawsze lubił wypić coś mocniejszego po sztormie.

Podawała mu kieliszek. Poczuł, jak ciepło przyjemnie rozchodzi się po ciele. Sądził, że drugi kieliszek jest dla niej, ale i ten mu podała.

Nie odrywał oczu od Amandy. Jej koszula nadal nieprzyzwoicie przylegała do piersi, a bryczesy podkreślały kształtne uda. Poczuł, że płoną mu policzki.

- Idź na dół - powiedział stłumionym głosem. - Odpocznij trochę. Jesteś wytrawnym, dzielnym marynarzem. - Prawie zakrztusił się przy ostatnim słowie. - Zmokłaś jednak i musisz być wyczerpana.

- Zejdę, kiedy pan opuści pokład. - Opierała się o ster, a jej zmęczenie widać było gołym okiem.

Zaczynała się poranna wachta, kadet przejął obowiązki od kapitana de Warenne'a.

Po chwili Amanda ruszyła w stronę głównego pokładu, ale potknęła się ze zmęczenia. Cliff złapał ją w porę.

- Jeszcze się zabijesz! - zawołał.

Posłała mu ciepły, znużony uśmiech. Najwyraźniej nie miała sił na rozmowę. Otoczył ją ramieniem, ona zaś z ulgą wsparła się na nim. Starał się nie zwracać uwagi na jej piersi. Na szczęście, pomyślał, jest kompletnie padnięta.

A jednak, zamiast minąć jego kabinę, Amanda weszła do niej.

Zawahał się, ale nie protestował. Nie teraz, kiedy był tak strasznie podniecony.

- Dobrej nocy - szepnęła.

- Bardzo dobrej! Musisz jednak najpierw zdjąć mokre ubranie. - Nie wiedział, jak się zachować.

Zwyciężył honor. - Możesz spać tutaj. Schowam się za parawan, a potem prześpię się u dzieci.

- Wolałabym nie zniszczyć tej delikatnej pościeli. - Posłała mu kolejne spojrzenie spod rzęs.

Zesztywniał, kiedy chwyciła za rąbek koszuli. Najwyraźniej zamierzała ją ściągnąć, a on powinien zaprotestować, ale milczał w bezruchu. Po prostu czekał, aż zacznie się rozbierać, pragnąc zobaczyć ją w całej krasie.

Amanda spuściła powieki, podciągnęła koszulę nad talię, potem nad piersi, aż ściągnęła je przez głowę. Goła do pasa, posłała mu jeszcze jedno uwodzicielskie spojrzenie, opierając się plecami o stos czerwono-złotych aksamitnych poduszek u wezłowania łóżka. Nie poruszył się, kiedy tak leżała.

Leniwa Wenus, bogini czekająca na niego.

Żadna morska syrena nie była taka zabójcza. Pragnął jej zbyt długo i zapewne jej odwaga sprawiła, że doszło do tej chwili. Długie, platynowe loki spowijały ją do pasa. Usiadł przy niej, objął dłońmi piersi. Jęknęła z rozkoszy.

- Jesteś nie tylko dzielna, ale i niezwykle piękna - wyszeptał. - Jak mógłbym nie przyjąć tak wspaniałej propozycji? Jestem tylko człowiekiem - powiedział, choć rozum głośno protestował.

Położyła rękę na jego ramieniu.

- Proszę.

Jeszcze walczył - świadomość i honor wiodły bój z ciałem - ale było za późno. Wystarczył ten jeden dotyk. Owładnęła nim żądza. Zarzekał się, że nie pocałuje Amandy, tymczasem zrobił to żarliwie, namiętnie.

Kiedy zaczęła płakać z rozkoszy, sięgnął ustami do jej piersi, a jego dłoń powędrowała między uda. Poprzez bryczesy poczuł skurcz. Skończyło się jakiegokolwiek racjonalne myślenie, pozostała tylko żądza.

Rozebrał do końca Amandę, trącał dłonią gorące, wilgotne, pulsujące miejsce. Była zgłodniała, pieszczot, domagała się więcej i więcej. Aż krzyknęła spazmatycznie, zaszlochała, jej ciało eksplodowało.

Wciąż jednak walczył z sobą, aż wreszcie przemógł się nadludzkim wysiłkiem. Wyskoczył z łóżka,

wszedł za parawan i rozpiął bryczesy. Oparł czoło o ścianę i pomógł sobie ręką. Poczuł natychmiastową ulgę. Potem trwał przez chwilę w bezruchu, odzyskując przytomność umysłu. Co on najlepszego zrobił? Odepchnął się od ściany, poprawił ubranie, starł pot z twarzy. Niestety, niczego bardziej nie pragnął, jak tylko wskoczyć do łóżka i kontynuować to, co zaczęli. Bogu dzięki, że opanował się w porę. Nie zniszczył jej życia. Zdarł mokrą koszulę i wyszedł zza parawanu. Amanda spała głęboko. Pozostała na stercie poduszek, całkiem naga, z zaróżowionymi policzkami, ale oddychała równo i spokojnie. Nie była dzieckiem, wiedział to już. Zniewalająco piękna, ekscytująca, namiętna... a oni ledwie zaczęli grę wstępną. Nie! Niczego nie zaczęli i nie zaczną! Ma ją chronić, a nie być jej kochankiem, nieobliczalnym młokosem. Jeśli Amanda nawet się obudzi, będzie tak wyczerpana, że znowu natychmiast zaśnie. Wsunął ją pod nakrycie. Westchnęła, delikatnie zamrugła. Podeszedł do kufra i wyciągnął koszulę. Wsunął ją jej przez głowę, podciągając przy okazji kołdrę. Uśmiechnęła się słodko przez sen. Sam też się przebrał w suche ubranie i nalał sobie następną szkocką, po czym usiadł na krześle i zapatrzył się w Amandę.



## **Rozdział dziewiąty**

Amanda obudziła się. Przez chwilę zastanawiała się, jakim cudem znalazła się w łóżku de Warenne'a i nagle przypomniała sobie złocistego kochanka, te wszystkie cudowne pieszczoty. A przedtem był sztorm. Spojrzała przez bulaj i zobaczyła olśniewający błękit nieba, a na nim puszeki białych chmur. A więc było późne popołudnie. Dostrzegła, że ma na sobie męską lnianą koszulę. Należała do de Warenne'a...

Stopniowo zaczęła kojarzyć fakty.

Czy kochał się z nią tej nocy? Czy to był tylko sen?

Wysunęła się z łóżka. Ktoś położył obok tę ohydną długą suknię. Ani śladu jej ubrania. Podeszła do umywalki i umyła się miękką gąbką. Ani śladu krwi.

Rozczarowana usiadła z powrotem. A więc nie kochał się z nią, nadal jest dziewicą. Musiało się jej przyśnić, chociaż ten sen tak bardzo różnił się od innych, był bowiem niesamowicie cielesny.

Jest zakochana, ale de Warenne nie dla niej.

To był tylko sen. Wyszczotkowała włosy, zaplotła warkocz i wciągnęła na koszulę znieawidzoną suknię.

De Warenne był pierwszą osobą, którą zobaczyła po wyjściu z kabiny. Na pokładzie rufowym ślęczał nad kompasem, udzielając Aleksowi kolejnej lekcji nawigacji.

- Mademoiselle Carre! - zawołał Michelle.

- Bonjour - powiedziała z ociąganiem. Tak bardzo chciała dołączyć do de Warenne'a i jego syna.

- Dzień dobry. - Skłonił się.

Westchnęła. Jest w drodze do Londynu, a zegar tyka. Jej maniery pozostają w sprzeczności z manierami damy, a czasu na naukę tak już niewiele.

- Mademoiselle, a gdzie ukłon? Pan kapitan postawił sprawę jasno. Mam przyśpieszyć lekcje, a pani ma dać z siebie wszystko. - Uśmiechnął się.

- Mademoiselle? Dygnęła.
- Monsieur, muszę porozmawiać z kapitanem de Warenne'em.
- Oczywiście, skoro pani nalega. Tylko proszę się pośpieszyć.
- Dziękuję. - Dygnęła jeszcze raz i pognała, unosząc w tym celu suknię.
- Proszę nie biec, tylko iść! - krzyknął Michelle.
- Damy nie biegają!
- Z wyjątkiem tej jednej! - rzuciła ze śmiechem. Zanim dobiegła do stopni prowadzących na pokład rufowy, de Warenne przesłał jej dziwny uśmiech, taki, który zdawał się nie sięgać oczu.

- Cześć, Amando.

Nie wiedziała, co myśleć o tym ostrożnym i powściągliwym, dystansującym się powitaniu.

- Proszę o pozwolenie... Patrzył ponad jej ramieniem.

- Odmawiam.

Otworzyła usta. Nie pozwoli jej przyłączyć się do nich? Przecież tej nocy, podczas sztormu, połączyło ich więcej niż może łączyć większość ludzi w ciągu całego życia.

- Nie mogę wejść na górę?

- Musisz się uczyć, Amando, a słońce już blisko zachodu. Jeśli teraz nie zaczniesz, nie skończysz do północy. - Posłał jej kolejny sztywny uśmiech.

- Czy nie można z tym poczekać do jutra? - Jej zranione serce biło coraz mocniej.

- Dlaczego? - zapytał łagodnie. - Nie wyglądasz na chorą. Przecież dobrze zniosłaś sztorm, czyż nie? Jak się czujesz?

W jego pytaniu dopatrzyła się niejasnego podtekstu.

- Świetnie. - Uśmiechnęła się, na próżno czekając na jego ciepły odzew.

- Dobrze spałaś? - zapytał, nie spuszczając oczu z jej twarzy.

Co za dziwne pytanie!

- Bardzo dobrze. Dziękuję za pożyczenie mi suchego ubrania. - Zawahała się. - Nie pamiętam, jak wkładałam koszulę ani jak zasnęłam, właściwie nie pamiętam niczego poza sztormem i deszczem. Patrzył na nią intensywnie, wreszcie wzruszył ramionami.

- Jest pan zły, że zaspałam?

- Nie. - Ani śladu uśmiechu. - Ważne, że trzymamy kurs. Myślę, że dopłyniemy parę dni przed terminem, jeśli nie trafimy na flautę. A teraz uczę Aleksa.

To była odprawa.

- Pan jest na mnie zły - wyszeptała. - Dlaczego?

- Zły? Skądże - rzucił niecierpliwie. - Zawarliśmy porozumienie, zapomniałaś? Ty masz zająć się nauką, a ja zadbam o logistykę twojego spotkania z matką. Pozostało niewiele czasu.

Była zdruzgotana. Próbowwała sobie wmówić, że nie stał się nagle oziębłym, nieczułym obcym człowiekiem, a ich przyjaźń trwa nadal.

- Tak jest. Rozumiem. I ma pan rację. Jeżeli mam zrobić dobre wrażenie na mamie, jej rodzinie i znajomych, muszę dużo pracować, a zostało już tylko dziesięć dni.

- Wierzę w ciebie, Amando - powiedział łagodniejszym tonem.

Zamknęła z ulgą oczy. To był mężczyzna, którego kochała i rozpaczliwie pragnęła.

- Czy kiedy skończę wszystkie lekcje, będę mogła dołączyć do pana na nocną wachtę? - spytała z entuzjazmem.

Twarz mu stężała.

- Damy nie uczestniczą w nocnych wachtach.

- Dlaczego... dlaczego pan mi to robi?!

- Ponieważ doszedłem do wniosku, że mimo woli prowokuję cię do zuchwałych zachowań. Będzie lepiej, jeżeli bez reszty oddasz się nauce dobrych manier.

- Ależ ja to robię! De Warenne, proszę! Żyję dla chwil jak te z ostatniej nocy. Uwielbiam żeglować pod gwiazdami, o czym pan doskonale wie. Dzisiaj niebo będzie jaśniejsze, a wiatr umiarkowany. Idealna noc na rejs.

- Jak sobie wyobrażasz całodzienną naukę i wachtę przez pół nocy?

- Dam radę! - krzyknęła zdesperowana. - A jeśli pan odmówi, to... pal sześć, nie chcę być damą!

- Do diabła, Amando! Cóż, twoja strata. Splotła ramiona na piersi.

- Jeśli mi pan pozwoli dołączyć do siebie, przyłożę się podwójnie, przysięgam. I niech mnie pan nie karze odmową, bo staram się, jak mogę, spełniać pana życzenia. - Otarła niechciane łzy. - Jesteśmy kumplami! Sam pan wie najlepiej.

- Nie zamierzam cię karać. - Westchnął ciężko. - Proszę bardzo. Jeżeli ten wysiłek nie odbije się na lekcjach, możesz do mnie dołączyć.

- Będę najlepszą uczennicą, jaką kiedykolwiek pan widział! - zawołała z bezbrzeżną ulgą.

W końcu się rozchmurzył.

- Proponowałbym zatem dłużej nie zwlekać. Omal go nie pocałowała, po czym zeskoczyła na pokład, wołając Michelle'a.

Pędziła na pokład rufowy, gdzie za sterem stał de Warenne - wyniosły mężczyzna skąpany w świetle gwiazd. Chciała jeszcze raz pożeglować fregatą w harmonii z nim i z morzem. Marzyła o tym przez cały dzień.

Nagle ogarnął ją niepokój. Zachowuję się dziwnie, pomyślała, zatrzymując się koło niego. Jego silna osobowość działała jak magnes. Do tego biła od niego zmysłowość. Była wyjątkowo świadoma jego hipnotyzującej mocy.

Muszę być szalona, pomyślała. A jednak on też musi czuć to samo. Jeśli tak, pewnie weźmie ją w ramiona. A może to tylko pobożne życzenie?

Spojrzała na niego, ale nie mogła zdobyć się na uśmiech.

Patrzył przed siebie tak zawzięcie, że wstrzymała oddech. Czy jest z niej niezadowolony? A może stało się coś, o czym ona nie wie?

- Uczyłam się bardzo pilnie - zagała.

- To samo powiedziała Anahid. Jestem zadowolony. - Nadal nie patrzył w jej stronę.

- Sądziłam, że będzie pan szczęśliwy.

- Powiedziałem, że jestem bardzo zadowolony. Nie poznawała go. Ostatniej nocy, w jej śnie, całował ją tak, jakby pił z jej duszy. Potem ukrył twarz między jej piersiami i pieścił je tak długo, aż znalazła w tym dziką przyjemność. Na koniec zaś miał się jeszcze śmielszej pieszczoty.

- Wiem od Michelle'a - odchrząknął - że jutro masz wybrać książkę z mojej biblioteki.

- Tak. Mówił, że nie będzie lekko, ale przerobimy tylko jeden rozdział, na głos przesyłabizujemy słowo po słowie.

- Co byś chciała przeczytać, Amando? - Odwrócił się do niej.

Jej serce zaczęło bić szybciej.

- Coś o Irlandii.

- Dlaczego?

- Dużo wiem o wyspach i żeglarstwie - rzekła z zapałem. - Potrafię wymienić wszystkie kontynenty, wszystkie oceany i morza. Tato mnie nauczył. Teraz chcę dowiedzieć się czegoś o świecie.

- Irlandia to jeszcze nie jest świat.

- Wiem, ale zacznę od Irlandii, jej historii i kultury, potem przejdę do Anglii, następnie do Francji. - Uśmiechnęła się. - Co pan o tym sądzi?

- Cel godny podziwu, ale dlaczego chcesz zacząć od Irlandii?

Bo cię kocham, pomyślała, a ty jesteś Irlandczykiem, który kocha swój kraj. Mówiłeś, że jest to najpiękniejsze miejsce na świecie!

- Gdy opowiadał pan o Adare, brzmiało to tak cudownie... Pewnie nigdy nie zobaczę tego miejsca, ale mogę o nim poczytać.

- Powinnaś zacząć naukę od Anglii, ojczyzny twoich rodziców.

- Interesuje mnie Irlandia - rzekła z uporem. Dojrzała na jego twarzy cień uśmiechu.

- Jestem pewny, że kiedyś pojedziesz do Irlandii, a wtedy odwiedzisz Adare. Będziesz tam zawsze mile widziana, zapewniam.

- Zabierze mnie pan tam? - Podekscytowana złapała go za ramię.

- Wątpię.

- Dlaczego? - spytała rozczarowana.

- Twój mąż nie pozwoli ci włączyć się ze mną po świecie.

- Jaki mąż?!

- Oboje wiemy, że pewnego dnia wyjdiesz za mąż. Czyż nie robią tego wszystkie kobiety?

- Uważa pan, że matka zmusi mnie do tego?

- Nikt cię do niczego nie zmusi. Powiedziałem, że cię nie zostawię, i dotrzymam słowa. Powiedziałem, że zabezpieczę twoją przyszłość, i nie zmieniam zdania. Jeśli będziesz chciała zostać starą panną, to nią zostaniesz, ale oboje wiemy, że twoje miejsce jest w Belford House.

Gardło jej się ścisnęło.

- Gdyby mnie pan przyjął jako pirata, mogłabym mieć swój udział w podziale łupu i nie musiałabym jechać do Belford House.
- Przede wszystkim - rzekł, ochłonawszy z wrażenia - nie uprawiam piractwa, nie rabuję. Po drugie, gdybym nawet był piratem, nie wziąłbym cię na taką zbójcecką wyprawę. I żadnych dyskusji! Po trzecie, przynależysz do matki.
- Słyszałam - odpowiedziała, cedząc słowa - że uciekł pan z domu w wieku czternastu lat.
- Skąd wiesz?
- Wszystkie kobiety, z którymi sypiał pan w Kingston, w Spanish Town czy na Barbadosie, plotkują o tym na ulicy. Nawiasem mówiąc, nie tylko to słyszałam o panu. Więc jak, uciekł pan z domu, mając czternaście lat?
- Tak, choć to nie była ucieczka. Opuściłem dom, żeby wyruszyć w świat.
- Był pan młodszy ode mnie - powiedziała zafascynowana.
- Byłem wyrostkiem, a ty jesteś młodą kobietą!
- Dlaczego musiał pan uciekać z takiego domu jak Adare?
- Bo przyszła pora, Amando. Zrozumiałem, że



nie czeka mnie tam prawdziwa przyszłość. Jak już wiesz, spadkobiercą jest mój najstarszy brat, Tyrell. Średniemu bratu, Reksowi, sądzone było, z racji urodzenia, wstąpić do armii. Mnie nie czekała żadna określona przyszłość. Przyrodni brat, Devlin, pływał już w królewskiej marynarce, ja również poczułem zew morza. A ponieważ nie chciałem mieć nad sobą zwierzchników, spróbowałem na własną rękę.

- I? - dopytywała się z wypiekami na twarzy.

- Spakowałem torbę i wylądowałem w Limerick. Sprzedałem konia i udałem się do Bostonu. Byliśmy jeszcze w stanie wojny z Amerykanami, więc nie było to łatwe, ale kiedy już się tam znalazłem, zamustrowałem się na amerykański statek handlowy.

Amanda uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Nie wyobrażam sobie pana jako młodzieniaszka wciągającego żagle.

- To było dawno temu - też się uśmiechnął - a praca była niebezpieczna i trudna, ponieważ zaczynałem od podstaw. Dlatego potrafię docenić wysiłek moich marynarzy.

- Tak, to widać - przyznała z powagą - ale czy pańscy rodzice nie mieli nic przeciwko pańskiej decyzji?

- Ojciec mnie rozumiał. Z nim pierwszym rozmawiałem na ten temat. To wspaniały człowiek, którego podziwiam i szanuję. Uzyskałem jego zgodę, chociaż prosił, żebym poczekał, aż skończę szesnaście lat, jednak odmówiłem.

- Mimo to pozwolił panu wyjechać?

- Zrozumiał, jakie to dla mnie ważne. Taki już jest... po prostu rozumie.

- Tata by mnie zbił, gdybym spróbowała czegoś podobnego. Nigdy nie miałabym takiej szansy.

- Twój ojciec był zbyt skory do bicia. Tak naprawdę tylko w wyjątkowych sytuacjach można uciekać się do rękoczynów.

Olśniło ją, że miał rację. Ilekroć ojciec ją bił, robił to w przypiływie złości, a ona wcale nie zasługiwała na karę. Poczula się nieswojo. Nigdy dotąd nie kwestionowała ojcowskich racji.

- A hrabina, pańska macocha?
  - Ciężko to przeżyła. Płakała po kątach, myśląc, że tego nie widzę. Czułem się podle przez jej cierpienie, choć zarazem nie miałem wyrzutów sumienia. Tó moje życie, moja decyzja, powtarzałem sobie i nie mogłem doczekać się wyjazdu. No i w wieku osiemnastu lat dorobiłem się własnego statku. Co prawda był to tylko dwunastodziałowy szkuner.
  - W takim wieku został pan kapitanem własnego statku - rozmarzyła się Amanda. - Sama mam prawie tyle.
  - Jesteś kobietą - przypomniał.
  - Były kobiety piratki.
  - Nawet o tym nie myśl!
- Zaczęła się uśmiechać. Jak dobrze, że wciąż o nią się troszczy.
- Dlaczego nie? Sam pan widział, ile potrafię. Dlaczego nie mogłabym mieć własnego statku? Wtedy dałabym sobie spokój z tą całą farsą robienia z siebie damy.

- Próbujesz mnie sprowokować, ale nic z tego! Poza tym nie poradziłabyś sobie z załogą, o czym dobrze wiemy.
  - To prawda, że próbowałam pana sprowokować, choć to wcale nie jest trudne. - Spojrzała na niego spod rzęs. Prawdę mówiąc, to było śmiesznie łatwe, podobnie jak wzbudzenie w nim pożądania niewinną szermierką słowną. - Nie chcę dyrygować załogą. Kapitan nie może sprawować kontroli nad swoim statkiem, jeżeli nie jest zdolny do popełnienia morderstwa, gdy zajdzie potrzeba. Tatko wymordował znaczną część swojej załogi. Nie mam takich skłonności, nigdy nikogo nie zabiłam.
  - Dzięki Bogu - wyszeptał zaszokowany de Warenne.
  - A pan zamordował jakiegoś oficera?
  - Nigdy nie musiałem mordować nikogo z własnej załogi - wycedził. - Choć w początkach kariery narzuciłem surowy reżim, by zdobyć niekwestionowany autorytet i posłuch. Jednak nigdy nikogo nie przeciągnąłem pod kilem. - Zadumał się na moment. - Cóż, jestem pod tym względem wyjątkiem.
  - Proszę mi opowiedzieć o swoich początkach na „Fair Lady”.
  - Już późno. Jutro czeka cię cały dzień nauki.
  - Będę się uczyć do świtu. Proszę. Zastanawiam się nad tym od pewnego czasu.
  - No dobrze, ale to nudna historia. Nudna?! Nie dla niej.
- De Warenne miał rację. Dokładnie dziesięć dni później Amanda wpatrywała się z pokładu w oszalałamiącą panoramę Londynu. Jeszcze nigdy nie widziała takiej metropolii. Nigdy nie widziała tak zatłoczonego portu, takiej wysokiej, zróżnicowanej linii dachów, takiej liczby budynków, kościołów i wież. Londyn był olbrzymi.
- Ostatnich dziesięć dni minęło jak z bicia trzęsł. Uczyła się pilnie od świtu do nocy i choć padała ze zmęczenia, zawsze znajdowała czas, by towarzyszyć de Warenne'owi podczas nocnej wachty. Każde ich spotkanie miało podobny przebieg. Na początku prawie na nią nie patrzył i przybierał obojętną maskę, ale kiedy zarzucała go pytaniami o Adare, Irlandię i jego życie, rozkręcał się, a przed samym świtem nawet uśmiechał.

Przerażał ją zbliżający się nieuchronnie koniec podróży.

A jednak w najśmielszych myślach nie wyobrażała sobie czegoś tak niezwykłego, okazałego i fascynującego, jak Londyn.

Podpływając do brzegu, mijali wieże, ruiny i zamki. W mieście roilo się od katedr i pałaców.

- No i co o tym sądzisz? Chwyciła de Warenne'a za rękę.

- Nie wyobrażałam sobie czegoś takiego. Londyn jest niewiarygodny.

Roześmiał się, ale cofnął dłoń.

- To prawda, że przyciąga wzrok. Poniekąd lubię to miasto, w każdym razie bardziej niż Paryż. Jest jak wielka dama o skomplikowanym charakterze, opływająca w bogactwa i żyjąca w nędzy, pełna gracji i lubieżna, dewotka i grzesznica.

- Miejska dżungla - skomentowała z przejęciem.

- Wyżywi i zabije, da schronienie i rzuci na pożarcie, czyż tak?
  - No właśnie. - Spojrzał na nią z podziwem.
  - Chcesz, bym ci pokazał atrakcje stolicy?
  - Cudownie! - Serce jej podskoczyło z radości.
  - Może jeszcze dzisiaj?
  - Trochę już na to za późno, ale przed nami prawie godzina jazdy do Harmon House. Zobaczysz mnóstwo ciekawych rzeczy, chociaż West End to tylko jedna strona Londynu, opływająca w bogactwa i pełna gracji.
- Wskazała ręką wysoki, szary zamek wylaniający się po stronie sterburty.
- Cliff, co to jest? Nie odpowiedział. Zreflektowała się.
  - Chciałam powiedzieć: kapitanie - plątała się.
  - Nie szkodzi, ale nie powinniśmy się zbyt spoufalać. Tylko marynarze rozumieją koleżeństwo, które rodzi się na statku. - W końcu uśmiechnął się. - To jest Twierdza Londyńska, a za chwilę pojawi się Tower Bridge, najśłynniejszy most także poza Anglią.
  - Pod Mostem Londyńskim nie da się przepłynąć, prawda?
  - Widzę, że przeczytałaś cały przewodnik Arielli.
  - Tyle, ile się dało. - Odwzajemniła uśmiech.
  - Przed zwiedzaniem zrobię listę tych miejsc, które chcę zobaczyć.
  - Z przyjemnością wszystko ci pokażę.
  - Może się okazać, że zajmie mi to całe lata.
  - Nigdy nie zabawiam w mieście dłużej niż miesiąc - powiedział z śmiechem. - Umarłbym z braku świeżego powietrza.
  - A jak długo zamierza pan tym razem zostać? - zapytała szeptem.
  - Jeszcze nie podjąłem decyzji. - Wędrował wzrokiem po jej twarzy. - Może trochę ponad miesiąc. Jak sądzę, nie byłaś nigdy w operze czy teatrze?

- Widziałam sztuki uliczne. - Serce waliło jej z podniecenia. - Chce mnie pan zabrać do teatru, prawdziwego teatru, i do opery?

- Jeżeli masz stać się damą, będziesz zapraszana na wiele kulturalnych imprez. Z przyjemnością będę ci towarzyszył, a nawet nalegał.

- A ja z radością się zgodzę! - Poczowała się jak w bajce z Zaczarowanym Księciem. Musiała się uszczypnąć, żeby powrócić do rzeczywistości.

Powóz minął żeliwną ozdobną bramę i wjechał na imponujący dziedziniec. West End okazał się bajecznie bogatą dzielnicą. Przejeżdżali obok tak wielu pańskich rezydencji, że Amanda straciła rachubę.

Soczyście zielone trawniki i kwitnące ogrody okalały długi podjazd. Zobaczyła olbrzymią rodzową siedzibę z szarego kamienia flankowaną dwiema wyższymi wieżami. Nagle poczuła się fatalnie.

Jeszcze godzinę temu marzyła, by się tu znaleźć, lecz teraz obleciał ją strach. Przecież nie była gotowa na spotkanie z wytworną socjetą!

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Cliff.

Z trudem oderwała oczy od pięknej budowli.

- Czy Belford House znajduje się na West Endzie? - zapytała, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia.
- Tak.
- Jest taki jak ten?
- Jest okazały, ale nie taki zamożny.
- Czy on też jest hrabią? - spytała niepewnie. Nie sądziła, by matka, po rozwodzie z pierwszym mężem, bo przecież po jego zniknięciu musiała się rozwieść, wyszła za arystokratę. Stawiała na kupca lub prawnika.
- Nie, baronem.

Baron to nie hrabia, ale też szlachcic, tyle już wiedziała. A więc mama jest baronową! I mieszka w pańskiej rezydencji.

Powóz zatrzymał się. Amanda wyjrzała na zewnątrz. Dwóch odźwiernych pośpieszyło od frontowych drzwi. Mieli czerwone surduty ze złotymi szamerunkami, białe bryczesy, białe pończochy i czarne buty z kłamrą. Amandę zamurowało.

- Proszę, niech pan powie, że hrabia i hrabina są w Irlandii - wyszeptała.
- Amando, naprawdę nie wiem, gdzie są w tej chwili, ale przywitają cię z otwartymi ramionami. Zaufaj mi, proszę.
- Jednak to jest ich dom - powiedziała drżącym głosem.
- Wolą przebywać w Adare. Może się okazać, że w domu jest tylko Tyrell, który zarządza majątkiem.
- Może być też jego żona. Powiedział pan, że są zakochani i nierozłączni.
- Istna sielanka, aż można zwariować - rzekł z uśmiechem-ale cieszę się za nich. Chodź. Jeśli nie przestraszył cię huragan, to z pewnością zdołasz wejść do mojego domu, gdzie jesteś mile widzianym gościem.

Żeby chociaż była odpowiednia ubrana, pomyślała. A tymczasem trzeba opuścić powóz. Jeszcze nigdy nie czuła się tak źle.

Stangret wyciągnął do niej rękę. Domyśliła się, że taki jest zwyczaj, tyle że zapomnieli ją nauczyć tego drobnego szczegółu. Usłyszała dziwny, histeryczny chichot... swój własny głos.

Czy mama też zatrudnia służących w liberii?

- Weź go za rękę, Amando - mruknął Cliff. Wreszcie zrobiła, co trzeba, a Cliff zeskoczył obok niej, odwracając się do powozu, którym przyjechały dzieci, Anahid i Michelle. Gdy otworzył drzwiczki, Alex wyskoczył z dzikim wojennym okrzykiem.

- Alex, spłoszysz konie!

Nie zwracając uwagi na ojca, chłopiec podbiegł do Amandy.

- Co myślisz o Londynie? Prawda, że miasto śmierdzi? Widziałaś te brudne ulice? Poza tym jest szaro i zimno.

Do Amandy dopiero teraz dotarło, że powietrze jest wilgotne i chłodne.

- Jest zimno - przyznała.

Trzymając za rękę Ariellę, Cliff zatrzymał się przy Amandzie i powiedział:

- Będziesz mile zaskoczona. Chodź.

Zanim ruszyli, drzwi domu otworzyły się i pojawił się w nich przystojny, wysoki, ciemnowłosy dżentelmen. Przez chwilę Amanda myślała, że to



hrabia, i natychmiast chciała się zapaść pod ziemię. Dopiero kiedy Cliff zawołał:

- Rex, mój drogi! - uświadomiła sobie, że mężczyzna nie ma prawej nogi i chodzi o kuli.

Cliff już witał się z nim serdecznie.

- Co to takiego? Trupa cyrkowa czy banda Cyganów? - zapytał z rozbawieniem Rex, po czym podszedł do Aleksa. - A to pewnie ksiązę cygański. Hm, Cyganie nie mają prawa osiedlać się w Mayfair.

- Nie jestem Cyganem ani księciem, chociaż moja mama jest księżniczką. A ty jesteś moim stryjem, sir Reksem.

- A ty pewnie jesteś Tomem?

Alex potrząsnął głową; był poirytowany, a nawet trochę impertynencki.

- Jestem Alexander de Warenne. Rex chwycił chłopca za ramię.

- Mój chłopcze, wiem kim jesteś, i witam cię w Harmon House. - Przeniósł wzrok na Ariellę, której chyba pierwszy raz w życiu kompletnie odebrało mowę.

Cliff dokonał prezentacji.

- Ariello, twój stryj, Rex. Jeśli kiedykolwiek będziesz w potrzebie, możesz się zwrócić do niego, jakbyś zwracała się do mnie.

Dziewczynka kiwnęła głową i przysunęła się do Anahid. Amanda najchętniej zrobiłaby to samo.

Jednak było za późno. Rex zobaczył ją, wytrzeszczył oczy i zmierzył od stóp do głów.

- Anahid, guwernantka dzieci, i ich nauczyciel, monsieur Michelle.

Rex uśmiechnął się półgębkiem, a kiedy ponownie spojrzał na Amandę, zrobiła się czerwona jak burak.

- Anahid, zabierz, proszę, dzieci do domu. Kiedy zniknęli, Cliff podszedł do Amandy i spojrzał na nią tak czule, że zabrakło jej tchu.

- Chciałbym, żebyś poznała mojego brata. - Zwrócił się ku niemu. - Rex, pozwól, że ci przedstawię pannę Carre. Mieszka na wyspach, a przywiozłem ją do Londynu, bo potrzebowała środka transportu.

- No proszę. - Rex uniósł czarne brwi, po czym skłonił się lekko. - Miło mi, panno Carre. Jest pani naszym gościem. Witam.

Przygryzła usta. Pewnie powinna złożyć głęboki ukłon, ale jak tu dygnać w spodniach.

- Dziękuję - powiedziała niewyraźnie, po czym przysunęła się do Cliffa, który ujął jej ramię.

Czarne oczy Reksa natychmiast spoczęły na jej łokciu i na ręce Cliffa.

- Służący wskaże ci drogę do twojego pokoju, Amando - powiedział Cliff takim tonem, jakby byli sami. - Wiem, że jesteś niezmordowana, ale może zechcesz odpocząć choćby z godzinę.

- Jestem wykończona - skłamała. - Poza tym boli mnie głowa i żołądek.

- Może wezwać doktora? - spytał Rex.

Cliff wziął ją pod rękę i prawie przytuleni wyminęli Reksa.

- Nie bój się - szepnął. - Możesz zostać w pokoju choćby do rana. Nie musisz schodzić na kolację. Usprawiedliwię twoją nieobecność.

Kolejny raz wyciągał pomocną dłoń. Była mu szalenie wdzięczna.

- Chyba tak zrobię.

- W porządku. - Dotknął leciutko jej pleców, kierując w stronę domu, gdzie czekał nadzwyczaj dostojny służący. - To kamerdyner Harrison. Zaprowadzi cię na górę i zadba, by ci niczego nie brakowało.

- Dzięki.

Cliff odprowadził ją wzrokiem, a następnie uśmiechnął się do brata. Już chciał go zapytać, czy nie czas na drinka, ale Rex popatrzył na niego tak badawczo, że uśmiech Cliffa zamarł.

- Co tak na mnie patrzysz?

- Sam nie wiem... Pojawiasz się tutaj z obdartym bezdomnym dzieckiem w bryczesach, które jest w poważnej opresji, i obejmujesz pannę Carre na oczach wszystkich. Czyś ty zwariował?!

Cliff zeszywniał.

- Nie obejmowałem jej.

- Wymienialiście spojrzenia jak para kochanków, szliście przyklejeni do siebie, szeptaliście i patrzyliście sobie w oczy, a ty ją objąłeś. Jesteś moim bratem czy jakimś samozwańcem? Jeśli tak, to gdzie, do jasnej cholery, podział się mój brat i co się z nim stało?

## **Rozdział dziesiąty**

- Twój brat nie oszalał i stoi przed tobą, poza tym nie sypia z siedemnastoletnimi pannami!
- Wpadł do domu jak burza, nie wierząc własnym uszom, chociaż Rex słynął z przesadnie moralizatorskiego tonu, przez co bywał irytujący.

Pomimo kuli Rex dziarsko podążył za nim. Cliff udał się do biblioteki i nalał sobie drinka. Dopiero wtedy odwrócił się do brata.

- Jak ci wiadomo, zawsze wolałem dojrzałe kobiety. - Jednym haustem wypił brandy.
- Więc zastanów się, co robisz, i zachowuj się tak, żeby nikt nie pomyślał tego samego co ja
- spokojnie odpowiedział Rex.
- Oszalałeś?! Jestem jej opiekunem, bo nie ma nikogo innego. I nie jest bezdomnym dzieckiem.
- Zastanowił się. - Jest moją protegowaną. Rex zaczął się uśmiechać.
- Jesteś jej opiekunem, a ona twoją protegowaną-

ną? Co to właściwie znaczy? A odkąd to masz coś wspólnego z kobietami poza sypialnią?

Cliff z hukiem postawił szklanke na marmurowym blacie kredensu.

- Uratowałem ją przed żadnym krwi motłochem. Gdybyś tam był, postąpiłbyś tak samo.

- Widzę, że masz dłuższą historię do opowiedzenia. Mam do dyspozycji cały wieczór.

Cliff powoli się uspokajał. Poza tym potrzebował rady brata.

- To straszna historia. Jej ojciec był piratem, a ona całe życie spędziła na pełnym morzu, dokonując z nim razem rozbojów.

- Dobry Boże! Nie wygląda na morderczynię - zawołał zaszokowany Rex.

- Bo nie jest, za to jest zdumiewająco naiwna. Ojciec trzymał ją na smyczy, chronił na swój sposób, nie dopuścił, by brała udział lub była świadkiem rabunków, gwałtów, krwawych zmagania. Jednak wychowywała się pośród nieokrzesanych piratów i złodziei. Wolno jej było swobodnie poruszać się po wyspie. Wszyscy nazywali ją Dzikuską. - Uśmiechnął się ponuro. - Była dzika. Teraz... -urwał.

-Teraz jest okiełznana.

- Co to znaczy?

- W pewnym sensie żałuję tego, co zrobiłem. Nie, nie miałem jej w łóżku. - Owszem, miał, i zrobił wiele poza pozbawieniem Amandy dziewictwa.

- Naprawdę? Więc nie zaczerwiłeś się z poczucia winy?

Cliff odwrócił się gwałtownie.

- Ona jest czysta!

- I wiesz o tym, ponieważ?... Najchętniej przyłożyłby bratu.

- Bo mi powiedziała.

- Rozumiem. Odpowiedni temat do rozmów między opiekunem a protegowaną. A tak przy okazji, hrabina, Lizzie i Eleanor są w domu.

- Hm... Amanda boi się towarzystwa. Spędziła całą noc u mojego boku podczas sztormu, uśmiechając się jak jakaś morska boginka, a boi się najmniejszej drwiny. Przywiozłem ją do miasta, żeby mogła

spotkać się z jedyną swoją krewną. Na statku była uczona stosownych manier. Starła się, jak mogła!

- Westchnął. - Cieszę się, że hrabina, Lizzie i Eleanor są w pałacu. Jeśli ktoś miałby pomóc Amandzie w tym przeobrażeniu, to właśnie one.

- Próbujesz zmienić piracką córkę w damę?

- zdumiał się Rex.

- To chyba oczywiste.

- Jasne!

- Skoro jest dziewczyną, mam obowiązek ją chronić, zwłaszcza teraz, kiedy rozpustnicy zaraz tu się zaroją, upatrując w niej bezbronnej ofiary.

- Oczywiście, że to twój obowiązek. Mój czarujący, rozwiązły, nieodpowiedzialny brat, znany z uwodzenia kurtyzan i hrabin, stał się orędownikiem córki pirata. Zapowiada się interesujący sezon, nie sądzisz? Zamierzasz zostać i wziąć w nim udział? - kpił na całego Rex.

- Obiecałem jej, że zatroszczę się o jej przyszłość

- wycedził Cliff. - Widzę, że świetnie się bawisz moim kosztem!

- Ależ skąd! - zaprzeczył obłudnie. - Tylko jestem w szoku. Więc masz zamiar zatroszczyć się też o jej przyszłość?

- Zgadza się. Poza mną nie ma nikogo. - Zamknął drzwi, by ktoś przypadkiem nie podsłuchał. - Zrozum, Rex. Tak naprawdę w Londynie jest jej matka. Amanda przybyła tu, by spotkać się z kobietą, która według niej była żoną jej ojca. Powiedziano jej, że nazywa się Dulcea Straithferne Carre i mieszka w Belford House. Znasz lady Dulceę Belford?

Zdumiony Rex opadł na sofę.

- Słyszałem o niej i wiem, do czego zmierzasz. Uważasz, że jej matką jest lady Belford... że Amanda jest jej nieślubną córką.

- Rozpaczała po śmierci ojca. - Cliff również przysiadł na sofie. - Teraz dowie się, że jej rodzice nie byli małżeństwem. Boję się, jak to przyjmie, ale zrobię wszystko, żeby jej spotkanie z matką się udało. Amanda dostatecznie się wycierpiała i zasługuje na lepsze życie.

Rex potrząsnął głową.

- Bracie, zadurzyłeś się, a wiesz, jak okrutne bywa towarzystwo. Owszem, akurat ty możesz ignorować ludzkie gadanie, ale ona jest młoda, uboga i niedoświadczona. Raczej nie jest gotowa na to, by pokazywać się w salonach, nie tylko z powodu chłopięcego ubrania.

- Nosi bryczesy, bo nie ma nawet sukienki. Posłałem już po szwaczkę z Regent Street i mam nadzieję, że dostanę odpowiedź przed końcem dnia. Amanda nie stanie się obiektem drwin, bo będę przy niej do czasu, aż uznacie, że jest gotowa. I nie jestem zadurzony. Zachowuję się honorowo, to wszystko.

- Najwyższy czas na taką szlachetną odmianę.

- Rex zachichotał i poklepał brata po ramieniu.

- Cóż, nazywaj to, jak chcesz. Kiedy zamierzasz przedstawić sobie panie?

- Może jeszcze dzisiaj pošlę wiadomość do lady Belford. Im wcześniej się dowiem, że wyraża zgodę na spotkanie, tym lepiej.

- Wiem oczywiście, że, podobnie jak Devlin, jesteś panem mórz, jednak londyńska socjeta to nie to samo co bezkresny ocean. Twoja władza kończy się tutaj. Wiem, że cię obgadują za plecami, a ty dostarczasz im pretekstów. Owszem, jesteś równy admirałom i bogaczem, to cię chroni przed wykluczeniem i możesz zrobić wiele, by chronić pannę Carre przed przykrościami, ale nie zmusisz lady Belford, żeby przyjęła ją do siebie, ani towarzystwa, by zaakceptowało jej jedyny w swoim rodzaju sposób bycia.
- Mylisz się. Mogę i ochronię Amandę. Tolerowałem plotki o sobie, bo mnie bawiły. Teraz będę szastać pieniędzmi w sposób tak ostentacyjny, że zamknę usta wszystkim. Przed złotym cielcem wszyscy padają plackiem. Pamiętaj, bracie, nigdy nie poniosłem porażki i nie zamierzam ponieść.
- Ruszył w kierunku drzwi.
- Dokąd idziesz? - zapytał przyjaźnie Rex.
- Chcę zajrzeć do Amandy i dowiedzieć się, jak się urządziła. Nie przywykła do służby i wątpię, czy o cokolwiek poprosi.



- Cliff, to, że panna Carre nosi bryczesy, nie oznacza wcale, że nie jest młodą, piękną kobietą. Nie zachowuj się, jakbyś był na statku. Nie możesz zakradać się do jej pokoju, jak gdyby nigdy nic. To się szybko rozniesie, do świtu plotki obiegną całe ' miasto. Chcesz zniszczyć jej reputację, zanim wprowadzisz ją w świat? Sam możesz dostarczać plotek, ile ci się żywnie podoba, ale tu chodzi o przyszłość Dzikuski. Modlę się o ten sukces, ale błagam, zachowaj ostrożność.

Cliff wiedział, że brat ma rację.

- Zobaczą tylko, co u niej... na chwilę.

Poznała po krokach, że to Cliff, i nim zapukał, rzuciła się otworzyć drzwi. Zdziwiła go taka mobilizacja, Amanda zaś musiała się pohamować, żeby nie rzucić mu się na szyję.

- Nie zapomniał pan o mnie!

- To by było niemożliwe - rzekł z uśmiechem.

- Ejże. Pan flirtuje.

- Czyżby? - Zerknął na pokój. - Wygodnie ci tutaj?

- Czy mi wygodnie? - Windsong wydało się jej luksusową rezydencją, ale tutaj było inaczej. W sypialni panował stęchły zapach minionych wieków, rodzinnego dziedzictwa i tradycji, co z trudem znosiła. W holu wisiały wiekowe portrety w połączonych ramach, a sekretera w sypialni wyglądała, jakby należała do innego miejsca i czasu. Historia de Warenne'ów wyczerała z każdego kąta, protoplaści czaili się w każdym ciemnym rogu.

- Przyjmuję to jako aprobatę.

- Dlaczego pan stoi w korytarzu? Nie może pan usiąść i porozmawiać przez chwilę? - Zawahała się na moment. - Co powiedział pański brat po moim odejściu? A co pan jemu powiedział o mnie?

- Nie mogę wejść do środka. Cieszę się złą sławą, więc gdybym przekroczył ten próg i zobaczyła nas pokojówka, twoja reputacja ległaby w gruzach, zanim komukolwiek zostałabyś przedstawiona.

W pewnym sensie, jeśli chodzi o wejście do socjety, pierwszy krok miała już za sobą. Lecz te następne...

- Nie dbam o to. - Jednak było to kłamstwo.
- Ja tak - rzekł z uśmiechem. - Każę przysłać na górę kolację.
- Nie odpowiedział pan na moje pytanie.
- Rex uważa, że jesteś bardzo młoda i bardzo piękna. Zdziwił się, że jestem twoim opiekunem.
- To wszystko?
- To wszystko, ale zdobyłem pewne informacje. Są naprawdę dobre i tak je musisz przyjąć.

Od razu poczuła się nieswojo.

- Chodzi o moją matkę?
  - Nie. Moja macocha, bratowa i siostra przebywają w pałacu. Wyszły na herbatę.
- Amanda podeszła do ślicznej dwuosobowej kanapki i usiadła na niej. Wszystko dzieje się tak szybko!  
Nie była gotowa na spotkanie z hrabiną Adare, jej następczynią i siostrą de WARENNE'a.  
Cliff wszedł do pokoju.

- Amando, one nie są takie jak te damulki w Kingston, przysięgam. Są mądre, życzliwe i wielkoduszne. Będą zachwycone spotkaniem z tobą.

- Tylko pan tak mówi, a ja wiem, że jestem z góry przegrana, zanim jeszcze spotkałam się z matką.
- Myślałem, że mi ufasz.
- Ufam, ale one nie mogą być życzliwe. Mogą? udawać, że mnie tolerują, ale będą patrzyły na mnie z góry.

Chwycił ją za ramię.

- Powtarzam, że się mylisz. Jeśli chcesz, przedstawię cię im jeszcze dzisiaj, żebyś nie musiała się i już zamartwiać.

- Wolałabym poczekać z tym do rana. Rozległy się kroki, po chwili młoda, piękna i elegancka kobieta zatrzymała się w nich jak wryta.

- Cliff?

Szybko cofnął rękę i rzucił lekko:

- O wilku mowa...

Dama spojrzała na Amandę. Oczy jej rozbłysły, a kiedy weszła do pokoju, to jakby wniosła ze sobą jasny promień.

- Widzę, że przywiozłeś gościa do domu - powiedziała ciepło.

Cliff mocno przycisnął ją do siebie.

- Tak, mamy gościa. Liczę bardzo, że się zaprzyjaźnicie.

Zerkając ciekawie na Amandę, z piskiem mu się wyrwała i niezbyt delikatnie puknęła w klatkę piersiową.

- Oj! Wracaj mi tu zaraz. - Cliff złapał ją za ucho i wycisnął całusa na policzku, ona zaś uściśnęła go mocno.

- I kto tu jest wilkiem? - Uwolniła się od Cliffa i podeszła do Amandy. - Dzień dobry! Jestem Eleanor, żona Seana O'Neilla, a ten łobuz jest moim bratem. Czasami kocham go bardzo, ale częściej mam ochotę udusić.

- Nie słuchaj jej. Jestem czarujący i miły, chyba że jakaś irlandzka czarownica mnie sprowokuje

- powiedział ze śmiechem. - Eleanor jest moją młodszą siostrą, a przy tym prawdziwą herod-babą. A teraz dokonam oficjalnej prezentacji. Droga siostrzo, poznaj pannę Amandę Carre. Amando, to moja siostra, Eleanor O'Neill.

Nie wiedziała, co myśleć. Jedno było pewne, że rodzeństwo przepada za sobą, ale w życiu nie widziała damy, która by na dzień dobry waliła pięściami. Damy w ogóle nikogo nie tłukły.

- Witam. - Modliła się w duchu, by siostra Cliffa rozplynęła się w powietrzu. Już niemal słyszała ironicznie parsknięcie.

Tymczasem Eleanor uśmiechnęła się.

- Mów mi po imieniu, jak wszyscy! Jak poznałeś mojego brata? Ziółko z niego, co? Jak doszło do tego, że jesteś jego gościem? Złapała was ulewa na konnej przejażdżce? Ile masz lat?

- Eleanor! - ze śmiechem zaprotestował Cliff.

- Był tak uprzejmy, że przywiózł mnie do Anglii na spotkanie z matką - wyrzuciła z siebie Amanda. -1 nie jeżdżę konno. - Zerknęła na swoje bryczesy.

- Dopiero co przyjechaliśmy... pochodzę z wysp.

- Czekala na drwiący śmiech Eleanor, ale zobaczyła ten sam przyjazny uśmiech. Jakby już były przyjaciółkami.

- To ciekawe. Mój brat ma wiele zalet. Jest przystojny, bogaty, odważny. Zarazem jest też sa-

molubny i gburowaty, a już z całą pewnością nie można go nazwać uprzejmym.

- Jest bardzo uprzejmy! - zaprotestowała dość gwałtownie Amanda. - Przywiózł mnie tutaj z Indii Zachodnich, chociaż nie miałam czym zapłacić; za rejs.

Eleanor z niedowierzaniem spojrzała na brata, który pośpieszył z wyjaśnieniem:

- Amanda pochowała ojca i została całkiem sama.

- Och, więc przyszedłeś z pomocą młodej damie w potrzebie. - Eleanor tonem głosu kwestionowała tę niesłychaną wieść.

- Tak było. Aha, przywiozłem też Ariellę i Aleksa.

- A ja przywiozłam Michaela i Rogana! - zawołała radośnie. - Są w pokoju dzieciennym razem z tymi diabłami wcielonymi Lizzie.

- Więc wreszcie kuzyni będą mogli się poznać - ucieszył się Cliff.

Oszołomiona Amanda opadła na krzesło. Czy to znaczy, że siostra Cliffa tak po prostu zaakceptowała jej obecność w ich domu? Czy nie obchodzi jej skandaliczne ubranie, które ma na sobie? Czy wie, że jej ojciec był piratem i został powieszony?

- Muszę już wyjść, ale wpięrw chciałbym wiedzieć, czy niczego ci nie brakuje? - zapytał Cliff, pochylając się nad nią.

- Mam wszystko, co trzeba - skłamała, czując znów niepokój. Dokąd on idzie? Zbliża się pora kolacji. Nie mogła opędzić się od myśli, że odwiedzi jedną ze swych kochanek, ale był to zbyt bolesny temat, by go drażyć.

Po krótkim wahaniu Cliff usiadł przy niej.

- Nie wychodzę na długo. Nie chciałabyś poznać hrabiny i Lizzie przed moim wyjściem?

- Jestem bardzo zmęczona - skłamała.

- Jutro udamy się na zwiedzanie miasta.

- Uśmiechem dodał jej otuchy. Natychmiast odwzajemniła uśmiech.

- Cudownie!

Wstał i zwrócił się do siostry, która udawała, że nie słyszy ich rozmowy.

- Amanda jest zmęczona po podróży.

- Ojej, a ja chciałam zaprosić cię na herbatę i kanapki, żebyśmy mogły lepiej się poznać. - Spojrzała figlarnie na nich oboje.

Amanda była przerażona. Cliff ścisnął siostrę za ramię.

- Będiesz miała mnóstwo czasu, by zawrzeć znajomość z Amandą.

Eleanor parsknęła śmiechem.

- Chyba chciałeś powiedzieć: z panną Carre. Prawda, Cliff?

- Jesteś jak zawsze impertynencka. - Bezceremonialnie zaczął wypychać siostrę za drzwi.

- A ja zastanawiam się, czy jak zawsze jesteś taki niepoprawny bałamut - odparowała słodziutko.

- Cliff, kto to widział, żeby o tej porze przebywać w pokoju damy!

Wiedziała, co sugeruje jego siostra, ale miała nadzieję, że się myli. A może podejrzewa, że będą romansować pod bokiem hrabiny?

Jednak Eleanor pomachała ręką i znikła, jakby jej to w ogóle nie przyszło na myśl.

- Jak zwykle bezczelna ta moja siostrunia - cierpko zauważył Cliff. - I wali prosto z mostu, nawet bardziej niż ty. A tak przy okazji, też носи bryczesy. Zjrzę do ciebie później.

Dotarcie do Belford House zajęło mu zaledwie dziesięć minut. Przed rezydencją stały cztery okazałe powozy. A więc przeszkodzi w uroczystej kolacji, ale ponieważ była ledwie siódma, goście musieli dopiero co przybyć. Nie dbając o dobre maniery, z czego zresztą był znany, zastukał kołatką. Każdy, z wyjątkiem Belforda, będzie przypuszczać, że kręci się wokół baronowej, Belford bowiem był ślepy na miłosne ekscesy żony.

Drzwi otworzył kamerdyner.

- Czy zastałem Belforda? - zapytał Cliff.

- Jaśnie pan przebywa w Szkocji - odpowiedział służący, bardziej zainteresowany osłoniętym pochwą sztyletem na biodrze gościa niż pytaniem.

- A zatem mam szczęście. - Podał kartę wizytową. - Proszę powiadomić lady Belford, że przychodzę w ważnej sprawie.

Obszedł skąpo umeblowane foyer, słysząc w oddali męskie głosy i kobiecy śmiech. W górze wisiał kryształowy żyrandol, na podłodze leżał piękny, ale zniszczony wschodni dywan, dwa ciemnoczerwone fotele miały wypłowiałe siedzenia. Poblask lampy, który powinien przypominać kość słoniową, był pergaminowy. Z całą pewnością Belfordów dotknął kryzys ekonomiczny.

Milady zjawiała się po paru minutach. Podobieństwo do córki rzucało się w oczy. Mogłyby być siostrami, tyle że Dulcea była znacznie mniej frapującą wersją Amandy.

Lady Belford szczerze ucieszyła się na jego widok. Miała na sobie długą suknię bez rękawów w kolorze burgunda w delikatny złocisty kwiecisty wzór i wisior z rubinem. Już z daleka uśmiechała się do Cliffa.

- Milordzie! Co za miła niespodzianka. Przygotuję dla pana dodatkowe miejsce przy stole. - Niby mimochodem pogłaskała jego rękaw.

Nadal chce mnie zaciągnąć do łóżka, pomyślał, składając ukłon.

- Dziękuję, że zechciała mnie pani przyjąć, lady Belford. Wiem, że pora jest niestosowna.
- Dla pana, milordzie, każda pora jest stosowna. - Kokieteryjnie opuściła rzęsy. - Proszę do nas dołączyć. Dopiero co usiedliśmy.
- Niestety, nie zabawię długo, i nie chciałbym odrywać pani od gości. Przychodzę jednak w wyjątkowo ważnej sprawie, o której chciałbym z panią jak najszybciej porozmawiać. Proszę, zamieńmy słowo na osobności.

Zalotnie wzięła go pod rękę i poprowadziła do zielonego saloniku, którego wygląd również świadczył o kłopotach finansowych gospodarzy.

Zamknęła drzwi i posłała Cliffowi wielce znaczący uśmiech.

- W takim razie będzie pan musiał przyjść na kolację innym razem, ale jeszcze przed powrotem Belforda - powiedziała półgłosem.
- Mogłaby pani usiąść, milady? Chcę się podzielić pewnymi wiadomościami.



Z uśmiechem zajęła miejsce na krześle, które jej podał.

- Mam nadzieję, milordzie że to dobre wiadomości. - Znów zatrzepotała rzęsami.

- Tak sędzę. Przywiozłem do Londynu pani córkę.

Patrzyła na niego, wyraźnie nie rozumiejąc sensu jego słów.

- Co takiego?

- Jeśli dobrze mi wiadomo, de domo jest pani Straithferne. Czy tak, milady?

Uśmiech znikł, twarz zbladła.

- Co to ma znaczyć?

- Pani córka, Amanda Carre, gości u mnie, w Harmon House.

Oczy omal nie wyszły jej z orbit.

W pewnym sensie było mu jej żal. Cóż, grom z jasnego nieba. Wstał i podszedł do kredensu z karafkami, nalał sherry i podał jej.

Potrząsnęła głową i odstawiła kieliszek.

- Chyba się przesłyszałam. Moja córka jest na górze razem z moim synem, ma trzynaście lat i nazywa się Margaret.

Już jej nie współczuł.

- Lady Bedford, przestańmy się oszukiwać. Ustalenie pani panińskiego nazwiska nie będzie trudne, zajmie dzień lub dwa. Zresztą nawet nie będę musiał się trudzić, bo jesteście podobne jak dwie krople wody. Pewnie pani tego nie wie, ale Rodneya Carre'a powieszono w czerwcu. Przywiozłem Amandę do Londynu, żebyście mogły się połączyć. Jest pani jej jedyną rodziną.

Lady Belford skurczyła się w sobie. Kiedy wreszcie podniosła wzrok, zobaczył łzy w jej szmaragdowych oczach, równie egzotycznych jak u córki.

- Taak, moje panińskie nazwisko brzmi Straithferne. - Próbowała podnieść się z krzesła.

Poderwał się, żeby ją podtrzymać. Wsparła się na nim, uczepliła jego ramion. Miała nadzieję, że zmiękczy go kobiecymi sztuczkami.

- Proszę usiąść - powiedział ponuro, próbując od niej się uwolnić.
- O Boże. Jestem wstrząśnięta... nie mogę w to uwierzyć... Ona tutaj, w Londynie?
- Rozumiem, że to dla pani trudna sytuacja, ale zaginiona córka wróciła i bardzo pragnie połączyć się z matką. — Odsunął ją zdecydowanym ruchem.
- Niech pan o tym nikomu nie mówi, bo to mnie zrujnuje.
- Ścieli się wzrokiem. Miała wprawdzie wilgotne oczy, ale dostrzegł w nich i cynizm, i zaciętrzewienie, a nawet groźbę.
- Niech pani raczej wczuje się w położenie swojej córki.
- Dlaczego pan ją tu przywiózł?
- Żeby mogła z panią zamieszkać! - krzyknął.
- Albo zostanie z panią, albo wyląduje u zakonnicy na wyspie.
- Jak ona wygląda? - zapytała niepewnie.
- Jest niezwykle piękna - odparł bez namysłu.
- Ma takie jak pani szmaragdowe oczy, doskonałą figurę i włosy koloru wschodzącego księżyca. Jest bardzo zdolna. Uczy się czytać i świetnie sobie radzi. I jest dzielna. Nie spotkałem takiej odwagi

nawet u mężczyzn. By uratować majtkę, zaryzykowała życie. Działo się to na moim statku. Och, żeby pani widziała, jak włada szpadą! Prawie tak dobrze jak ja. Byłem w niezłych opałach, i to na oczach mojej załogi!

- Boże... - W oczach Dulcei widniało autentyczne przerażenie.

- Czego się pani spodziewała? - zapytał chłodno. - Pozwoliła pani, żeby córkę wychował pirat, pozbawiła ją pani możliwości życia w cywilizowanym świecie!

- Milordzie, jak pan może mnie o to winić? - spytała przez łzy.

Dla takiego kutego na cztery nogi franta jak de Warenne było jasne, że Dulcea usiłuje nim manipulować, imając się babskiego arsenału, tylko nie wiedział, dokąd zmierzała.

- Pani łzy nie robią na mnie wrażenia, madame, natomiast los pani córki poruszył mnie głęboko. Amanda jest w Harmon House i oczekuje na ciepłe powitanie.

Oczy Dulcei stały się zimne jak lód.

- Nie wątpię, ale chyba nie oczekuje pan, że wezmę do domu takie dziecko!

- Pani córce potrzebny jest dom. - Cóż, potwierdzały się jego najgorsze obawy. - Potrzebuje matki.

Potrzebuje pani. Uznałem za stosowne spotkać się najpierw z panią i poinformować o Amandzie.

Teraz widzę, że słusznie postąpiłem. W wyższych sferach jest mnóstwo nieślubnych dzieci, lady Belford. Wiemy doskonale, że wiele małżeństw wychowuje potomstwo z nielegalnych związków razem z prawowitymi następcami. Sam przywiozłem dwoje moich dzieci i z przyjemnością wprowadzę je do towarzystwa, i to bez najmniejszych obaw. Chwyciła go za ramię.

- Pan nie jest zameżną kobietą z dwójką prawowitych dzieci! Belford nigdy nie zrozumie i nie wybaczy mi tego, chociaż moje faux pas zdarzyło się, zanim go poznałam!

- Wręcz przeciwnie. Wodzi go pani za nos, że tylko o tym wspomnę, i załatwi z nim pani wszystko, co zechce.

- Dlaczego pan mi to robi? Dlaczego pan sprowadził ją tutaj?

- Dlaczego postępuję jak dżentelmen? - rzucił sarkastycznie. - Pani córka jest sierotą i nie jest już dzieckiem. Ma siedemnaście lat, właściwy czas na debiut i zamążpójście. Z pewnością chciałyby pani odegrać ważną rolę w życiu Amandy i zadbać o jej przyszłość.
- Pan nie jest dżentelmenem! - Była blada i spięta jak gipsowa maska. - Nie widzi pan, jak ja cierpię?
- Pani cierpienie jest niczym w porównaniu z tym, co przecierpiała pani córka w swoim krótkim życiu!
- Patrzył na nią z nienawiścią.
- Zachowuje się pan tak, jakby mną gardził - wycedziła. - Kto jak kto, ale pan powinien najlepiej rozumieć, czym jest namiętność.
- Lady Belford, nie mamy z sobą nic wspólnego poza pani córką! - Zaśmiał się ironicznie. - I wiem, jak poczęła pani Amandę. Młodziutka panna na wydaniu, której zawrócił w głowie szykowny oficer marynarki.

- Ma pan rację. Byłam bardzo młoda, w wieku Amandy, i rzeczywiście zawrócił mi w głowie. I wykorzystał! Kiedy się poznaliśmy, Carre był bardzo szykownym oficerem - powiedziała szorstko.

- Nie wychowywała jej pani do czwartego roku życia, prawda? Amanda nie została wyrwana z pani ramion przez ojca?

- Słucham?! Czy Carre jej tak powiedział?

- Tak.

- Zostałam wysłana do klasztoru na czas porodu. Tak postępowano ze wszystkimi niezamężnymi młodymi damami. Moi rodzice chcieli oddać Amandę do adopcji, ale jedna z sióstr powiadomiła Carre'a, który zabrał ją stamtąd wkrótce po urodzeniu. - Westchnęła, musnęła ramię Cliffa. - Przecież wie pan doskonale, jak bezwzględny jest świat. Nie mogłam zmarnować życia, zanim je zaczęłam.

- Czy kiedykolwiek zatroszczyła się pani o swoje dziecko?

- Oczywiście! Wiedziałam jednak, że Carre opiekuje się nią. Nie było innego wyboru.

- Było ich wiele, madame - wycedził - tylko zabrakło matczynego serca. Nawet nie zamierza pani powiedzieć mężowi, że to kuzynka? Nie życzy sobie pani kłopotów? A może chodzi o sprawy finansowe? Tylko proszę nie mówić, że boi się pani Belforda!

Jej twarz zrobiła się zawzięta, prawie brzydka.

- Popełniłam błąd wiele lat temu, ale pan tego nie zrozumie, ponieważ jako de Warenne urodził się pan w czepku i z ogromnym majątkiem! Chyba nie oczekuje pan, że wezmę do siebie dawno zaginioną córkę, narażając się na złośliwe plotki, na niewybredne ataki i utratę reputacji. - Odetchnęła głęboko. - Ponieważ przycisnął mnie pan do muru, muszę przyznać, że nasza sytuacja materialna jest trudna. Nie stać nas na wprowadzenie panny do towarzystwa. Żyjemy na kredyt.

- Może bierze sobie pani nieodpowiednich kochanków? - Uśmiechnął się złośliwie.

I dostał w pysk.

Zasłużyłem na to, pomyślał, ale Amanda nie zasłużyła na taką matkę. Zmarniałyby w jej domu.

- Przyszła pani na świat z pewnym defektem, a mianowicie bez serca - powiedział, zbierając się do wyjścia. - Nie tylko nie chce pani jej przyjąć, ale też nie proponuje żadnego wyjścia. Gardzę panią. Chwyła go za rękaw.
  - Co pan zamierza?
  - Nie będę rozpowiadał prawdy, jeśli o to pani chodzi, co jednak mam powiedzieć Amandzie?
  - A gdyby tak została w Harmon House? Może ją pan zatrudnić, żeby zarobiła na jedzenie i dach nad głową.
- Musiał czym prędzej opuścić to miejsce, zanim udusi to śliczne gardziołko.
- Amanda będzie damą! - ryknął. - Ma do tego prawo i to jej się należy!
- Wypadł na dwór jak burza.

## **Rozdział jedenasty**

Nie panował nad sobą, gdy dobiegł do Harmon House. Na domiar wszystkiego spóźnił się na kolację. Jednak w domu panowała dziwna cisza. Po chwili zdał sobie sprawę, że nie słyszy kobiecych głosów. Panie pewnie są w kuchni i przygotowują posiłek.

Rex, ubrany w wieczorowy strój, stanął w progu biblioteki.

- Po huku zatrzaskiwanych drzwi pomyślałem, że mamy huragan. Co się stało?

Cliff spojrział na kręte schody. Jak ma powiedzieć prawdę Amandzie? Będzie zdruzgotana. Wszedł do biblioteki.

- Właśnie odbyłem rozmowę z lady Belford. To nawet nie jest hetera, to suka!

Rex czym prędzej zamknął drzwi.

- Mój Boże! Pierwszy raz słyszę, żebyś wyrażał się w taki sposób o kobiecie!

- Jest najbardziej samolubną wiedźmą, jaką kiedykolwiek spotkałem. W ogóle nie zainteresowała się faktem, że jej córka jest tutaj. Przejmuje się tylko własnym samopoczuciem i dobrem swoich prawowitych dzieci. A do tego wszystkiego próbowała mnie uwieść.

- Jesteś pewny, że nie zrozumiałeś błędnie jej zachowania i słów? - zapytał po namyśle Rex.

- Musiała nią wstrząsnąć ta wiadomość.

- Zaufaj mi, niczego nie zrozumiałem opacznie.

- Cliff zaśmiał się gorzko. - Spędziłem z tą heterą pół godziny i wiem, że nigdy nie odeślę do niej Amandy. Będzie jej lepiej bez matki. To kobieta bez serca.

- Cliff... na Boga, zastanów się tylko... Chyba nie mówisz poważnie?!

- Odpowiadam za każde moje słowo. - Podszedł do kredensu i nalał sobie podwójną porcję whiskey, wychylił do dna i ponownie napełnił szklaneczkę.

- Zwolnij! - krzyknął Rex. - Nie widzę powodu, żeby tak się denerwować kimś, kogo ledwie znasz.

- Znam Amandę lepiej niż kogokolwiek innego!

- rzucił z furją. - Jesteśmy przyjaciółmi do grobowej deski. - Nagle uśmiechnął się czule. - Staliśmy razem podczas wszystkich nocnych wacht. Płynęła ze mną w czasie sztormu, narażając swoje życie, wskoczyła na wanty i uratowała marynarza przed niechybną śmiercią. - Znow się uśmiechnął. - A kiedy jej się naraziłem, pogoniła mnie ze szpadą w dłoni po pokładzie. - Rex, słuchając tych rewelacji, patrzył na niego jak na przybysza z księżyca.



- Podróż zmienia ludzi, bracie. Umacnia więzy, które mogą trwać całe życie.
- Ciebie ta podróż całkiem odmieniła...
- Nie zrozumiesz tego. Jestem jej opiekunem, ale chodzi o coś więcej. - Podeszedł do okna i zapatrzył się w ciemność.

Rex stanął obok niego.

- Zamierzasz powiedzieć Amandzie prawdę o matce?

-Jak?

- Czy mogę ci coś doradzić?

- Będę ci wdzięczny.

- To nieczęsto się zdarza, bo jesteś największym uparciuchem, może poza Devlinem, ale proszę, wysłuchaj mnie uważnie. Jeżeli skłamiesz, będziesz tego żałował. Amanda ma pełne prawo wiedzieć nie tylko, kto jest jej matką, ale i to, że Dulcea Belford wypiera się jej przed światem.

Cliff sam już doszedł do takiej konkluzji.

- Tak wiele wycierpiała. Wciąż oplakuje ojca. Jest nadzwyczaj silna i odważna, a zarazem bezbronna i delikatna, wręcz krucha. Panicznie boi się drwin i odrzucenia, bo każda taka przykrość pada na niezagójone rany. A ona zasługuje na to, żeby być kochana. Nie chcę, żeby zraniono ją kolejny raz!

- Czy naprawdę jesteś przekonany o podłości lady Belford? Może po prostu boi się męża i skandalu.

Może, na swój sposób, zależy jej na Amandzie.

- Nie rozumiesz? Postawiła własny interes ponad dobro córki. Sam jestem rodzicem. Oddałbym życie za moje dzieci. I zniósłbym każdy skandal, gdyby w grę wchodziło ich dobro.

- No cóż, nie musisz dzisiaj decydować, co jej powiesz. Mogę cię zostawić? Chcę dołączyć do hrabiny, Lizzie i Eleonory w McBanes.

- Dawno nie czułem takiego obrzydzenia, lecz poza tym mam się dobrze. Idź, rozerwij się i pozdrów ode mnie Rory'ego i jego żonę.

- Tylko nie zrób jakiegoś głupstwa. Zachowaj rozsądek. - Pokustykał w stronę drzwi.

Cliff dokończył drinka, zastanawiając się nad tym, czy powiedzieć Amandzie prawdę o matce, czy nie. Mógłby skłamać, że trop prowadzący do Dulcei Belford okazał się fałszywy. Tyle że były jak dwie krople wody. Prędzej czy później prawda i tak wyjdzie na jaw.

Lepiej niech ją pozna od niego.

Amanda usnęła. Śniła jej się wielka fregata, sztorm i Cliff de Warenne, a w tym śnie czuła się cudownie wolna. Płynęła na pokładzie „Fair Lady” podskakującej na falach, z Cliffem u boku, mocarnym i pięknym, dającym z siebie wszystko. Była zachwycona, że znowu są na morzu

Nagle sen zaczął się gmatwać. Piękna dama kusiła ją i przywoływała do siebie, ale kiedy Amanda odwróciła się, żeby ją znaleźć, rozplynęła się jak widmo. Wtedy usłyszała jej szept:

- Amanda.

Odwróciła się i... ogarnął ją strach. Z pokładu statku została przeniesiona do wielkiej, pustej sali balowej. Co gorsza, zamiast szykownej sukni miała na sobie poszarpane bryczesy i koszulę Cliffa.

- Amanda.

Odwróciła się gwałtownie, rozglądając się z piękną nieznajomą, ale sala balowa nadal była pusta. Gdzie jest ta pani, zastanawiała się zdesperowana, ponieważ zrozumiała, że to jej matka.

I nagle pojawił się Cliff.

Nie widziała go, ale poczuła. I niepokój ustąpił. Obudziła się, sny poszły w zapomnienie. Zasnęła przy zapalonym świetle, w trakcie czytania, przy trzaskającym ogniu na kominku. De Warenne stał w progu i wpatrywał się w nią.

- Cliff - uśmiechnęła się, wciąż jeszcze zaspana.

- Jest wcześnie. Nie zdawałem sobie sprawy, że śpisz. Porozmawiamy jutro.

Wyskoczyła z łóżka i podbiegła do niego.

- Czytałam i zasnęłam. Proszę, niech pan nie wychodzi!

Na moment zatrzymał wzrok na staniczku koronkowej koszulki.

- Jesteś wyczerpana. Usłyszałem twój krzyk. Dobrze się czujesz?

- Tak. Miałam dziwny sen. - Skrzyżowała ramiona na piersiach. Pomyślała, że już dojrzała do tego, by złożyć wizytę matce, musi mieć tylko stosowne ubranie. - Czy przyjdzie jutro szwaczka?

- Tak. Masz się czym okryć?

- Dostałam od pana siostry trochę rzeczy.

- To dlaczego nie włożysz czegoś na siebie? - Przesunął się w stronę kominka.

Amanda wyjęła z szafy bawełniany szlafrok ozdobiony różowymi wstążeczkami i koronką.

Wiedziała, że Cliff czuje się nieswojo. Jego męska

natura znowu doszła do głosu, więc atmosfera w pokoju zrobiła się napięta.

To jednak nie wszystko. W jego oczach dostrzegła smutek.

- Wszystko w porządku? - zapytała, podchodząc do niego.

Odwrócił się, spojrzał na szlafrok i pokiwał głową.

- Oczywiście. Usiądźmy. Chciałbym o czymś pomówić.

- Co się stało?

- Amando - zaczął, zmuszając się do uśmiechu - dużo myślałem. Nie chciałem, żebyś się o cokolwiek martwiła. Powiedziałem, że zabezpieczę twoją przyszłość i dotrzymam słowa. Prawda, że mi ufasz?

- Coś pan kręci! - zawołała zatrwożona. - Pamiętam, co pan mówił. Że zamieszkać z mamą, a ona zmusi mnie do ślubu z jakimś nieznajomym.

Dziwny uśmiech nie znikał mu z twarzy.

- Zanim dojdzie do ceremonii, zdążysz go poznać. Poza tym wszystkie panny młode są bardzo zakochane w dniu ślubu.

- Naprawdę martwię się o pana - rzekła z powagą. - Przecież oboje wiemy, że niejedna panna drży ze strachu przed brutalem, na którego została skazana.

- To ci raczej nie grozi. Amando. Co byś powiedziała na pozostanie w Harmon House?

- Co? - Podskoczyła z wrażenia.

- Pytam, jak się na to zapatrujesz?

- A co z mamą?

- Spokojnie, nie przejmuj się. - Uścisnął jej dłoń.

- Możesz tu mieszkać. Będę się tobą zajmował, podobnie jak Rex, moja matka i siostra... no, cała nasza rodzina.

Nagle zrobiło jej się zimno. Poderwała się na nogi.

- Co się stało?! - Musiał widzieć się z mamą i poszło nie tak... albo mama nie żyje.

Nie, mama nie mogła umrzeć! Przecież ledwie! pochowała tatę. Czy to oznacza, że została sama na świecie? Ma tylko de Warenne'a, ale on zaraz odpłynie.

- Zapomniałaś, że masz mnie? - zapytał, jakby czytał w jej myślach. - Przysięgłem, że cię nie zostawię, i dotrzymam słowa.

- Mama... nie żyje?

- Żyje... Rozmawiałem z nią.

- I co... - Widziała, że cierpi katusze. Czyli jest tak, jak myślała: mama jej nie chce.

- Twoja matka, jak już wiesz, wyszła za barona Belforda. Obecnie nazywa się Dulcea Belford.

- Jak to możliwe? Przecież była żoną taty. A tata zmarł niedawno. Rozwiodła się?

Otoczył ją ramieniem.

- Wiem, co czujesz, ale twoja matka nigdy nie wyszła za Carre'a.

- Nie rozumiem! - Gwałtownie odsunęła się od niego. - Oczywiście, że byli małżeństwem, skoro tata tak mówił.

Widząc smutek w jego oczach, zaczęła dopuszczać do siebie myśl, że powiedział prawdę.

- Co nie zmienia faktu, że nadal jesteś dzielną i piękną kobietą - rzekł miękko tonem.

Wpatrując się w niego, przestała myśleć i czuć. Tak było lepiej.

- Więc zostaję tutaj. Ponownie wziął ją za rękę.

- Ze mną - rzekł z trudem. Dokąd ta decyzja go doprowadzi? I Amandę? - Usiądź, proszę. Porozmawiajmy spokojnie. Życie bywa niesprawiedliwe, wszyscy cierpimy w ten czy w inny sposób, ale bywają też jasne strony. I możemy pożegłować. - Uśmiechnął się. - Ilekroć tylko zechcesz. - Położył dłoń na jej ramieniu. - Teraz jesteś w szoku, ale...

Wyrwała się.

- Ona mnie nie chce.

- Tego nie powiedziałem.

- Jestem bękartem.

- Wiele dzieci pochodzi z nieprawego łoża. Jak Alex i Ariella.

- Boże! - zawołała. - Bardzo się cieszę, bo bękarty nie są damami. A teraz... - Zerwała z siebie szlafrok.

- Teraz mogę być tym, kim naprawdę chcę!

- Przyniosę ci drinka. - Złapał ją za rękę.

- Koniec z tą cholerną damą! - Uwolniła się, szarpnęła z furją staniczek, by się pozbyć stroju, który ubliżał jej godności. - Chcę włożyć moje bryczesy!

- Amando, przestań!

Odepchnęła go z obłędem w oczach. Nienawidziła ich oboje. Nienawidziła ojca, największego kłamcę pod słońcem, i nienawidziła matki. Udawała arystokratkę, a była dziwką, która wyrzekła się swej nieślubnej córki.

Wyrwała sztylet zza cholewy, przejechała ost-

rzem po pięknej koszulce, przecinając ją na pół. Jej też nienawidziła. Nigdy nie włoży czegoś takiego na siebie, niczego, co mogłoby się podobać damie.

- Nie rób tego! Skaleczysz się! - Cliff złapał ją za nadgarstek.

Wrzasnęła, wywinęła młynka sztyletem, drasnęła Cliffa w rękę, jednak było jej to obojętne, ponieważ nic nie było prawdziwe, wszystko okazało się kłamstwem. Zaatakowała z furją szlafrok i koronki, zniszczy swoje nowe życie. Zniszczy wszystko.

Poczuła ból w sercu. Wypuściła sztylet. Mama mnie nie chce. Tata okazał się kłamcą.

Nagle dotarło do niej, że nie jest sama.

Popatrzyła na de Warenne'a.

Łzy spływały po jego pięknej twarzy.

- Nie płacz - wyszeptała. Przecież nic jej się nie stało. Ot, nienawidzi matki, nienawidzi ojca...

Przyciągnął ją do siebie, objął z całej siły.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że jest goła, a jego ciało jest twarde, mocne. Uświadomiła sobie, jak bardzo go kocha i potrzebuje. A także pożąda...

- Cliff - wyszeptała.

Zapłonęły mu oczy. Kiedy ją pocałował, przepelniła ją rozkosz. Odwzajemniła pocałunek z jeszcze większym żarem i namiętnością. Jęknął, potem zaniósł ją do łóżka i zaczął pieścić śmiało, żarliwie. Tak bardzo go pokochała. Krzyknęła z czystej rozkoszy, a potem zaczęła szybować, czując, że wzniesie się wyżej i dalej, skąd nigdy nie będzie chciała wrócić.

- Amando....

Nie słyszała jego głosu, sięgała bowiem niebotycznych wyżyn. I nagle słowo „mama” wdarło się w jej świadomość, napełniając ją bezgranicznym bólem i smutkiem. Zastygł w bezruchu.

- Amanda? - Trzymając ją w ramionach, wycofał się, znów był tylko przyjacielem.

O Boże. Tata ją okłamał, mama jej nie chce... Zaczęła rozpaczliwie płakać.

Tulił ją, pocieszał, lecz minęło dużo czasu, zanim spłynęła ostatnia łza.

Wyglądała przez okno sypialni, gdy słońce wschodziło na niebie, śpiew ptaków ożywiał poranek, a chłodny wiatr muskał policzki.

Cliffa już nie było, ale został do samego świtu i ilekroć się budziła, trzymał ją mocno i głaskał, aż przestawała płakać. Teraz żal minął. Tata ją zdradził i nigdy więcej o nim nie pomyśli. A jeśli chodzi o mamę, no cóż, stało się tak, jak myślała. Okazała się napuszoną damą z fumami, która gardzi córką pirata. Mało mnie to obchodzi, pomyślała Amanda.

Jednak obchodził ją Cliff de Warenne. Właściwie przestał być de Warenne'em, a stał się Cliffem. Zaczęła się uśmiechać.

Kochał się z nią tej nocy. Dał jej tyle rozkoszy, odegnał od niej rozpacz i cierpienie. Wprawdzie nie odebrał dziewictwa, ale zrobi to już niedługo. Odtąd wszystko będzie inaczej. Zostali kochankami. Nie ma odwrotu.

A skoro są kochankami, czy to nie znaczy, że opłynie z nim świat na jego statku? I że nie będzie



musiała być wprowadzona do towarzystwa? Jeszcze nigdy nie czuła tak błogiej ulgi! Zaczęła się ubierać.

Nie zmrużył oka tej nocy. Kiedy Amanda w końcu zasnęła, postanowił z nią zostać. Wiedział co prawda, jakie rozejdą się plotki, jeśli pokojówka zostanie ich razem w łóżku, ale bardziej bał się reakcji Amandy, gdy wciąż w szoku obudzi się sama w środku nocy.

Po wyjściu od niej prześladowały go wydarzenia z poprzedniego dnia, a myśl o losie Amandy nie dawała mu spokoju.

Tej nocy poniosło go, stracił rozum, prawie kochał się z Amandą. W świetle dnia ta namiętna zaborczość przeraziła go. Przecież gdyby nie zaczęła płakać, posiadłby ją. I co potem?

Wiedział, co zrobi. Musi się trzymać jak najdalej od niej. Żadnych odwiedzin w jej sypialni. I musi unikać wszystkich sam na sam z Amandą.

Siedział samotnie w jadalni i udawał przed sobą samym, że czyta „London Timesa”, choć nie mógł skupić się choćby na jednym słowie. Domownicy wstali wcześniej. Lizzie i Eleanor zajmowały się dziećmi, wyřęczając nianie, a hrabina zaraz po wschodzie słońca udała się na przechadzkę po ogrodzie. Kiedy Cliff wpatrywał się w gazetę, w jadalni pojawili się Rex i Eleanor. Zauważył, jak wymieniają spojrzenia.

- Gdzie się podziałeś wczoraj wieczorem? - za-, pytała siostra, zajmując miejsce przy stole. - Balo-  
wałeś? - Sięgnęła po rogalik.

- Korzystając z pobytu hrabiny, chcę złożyć oświadczenie.

Rex też usiadł.

- Czy to ma związek z tym, o czym rozmawialiśmy wczoraj?

- Tak.

- Dzień dobry. - Mary de Warrenne, hrabina Adare, z rozjaśnioną twarzą podeszła do Cliffa i pocałowała go w policzek. - Nie mieliśmy okazji przywitać się wczoraj. - Kiedy spojrzała na niego,

przestała się uśmiechać. - Jestem taka szczęśliwa, że widzę cię w domu, ale zaczynam się martwić.

Coś ci dolega? Dlaczego masz taką niewesołą minę?

- Mam się dobrze, ale gorzej jest z Amandą. - Wstał od stołu. - Jeszcze ci jej nie przedstawiłem, ale rozumiem, że Rex i Eleanor wprowadzili cię w sprawę.

- Wiem od Eleanor, że jest twoim gościem. Przywiozłeś ją do Londynu, gdzie mieszka jej rodzina. Wiem też od Reksa, że jesteś jej orędownikiem.

- Bardziej opiekunem. - Zmusił się do uśmiechu. - Widziałem jej ojca tuż przed śmiercią. Wyraził pragnienie, żebym się nią zaopiekował. - Nie dopuszczając nikogo do głosu, dodał: - Niechętnie się zgodziłem, ale dotrzymuję słowa, więc będę musiał załatwić niezbędne formalności, ponieważ od tej chwili Amanda Carre jest pod moją kuratelą.

## **Rozdział dwunasty**

Eleanor wybuchnęła śmiechem.

- Mój braciszek strzegący panińskiej cnoty! Widziałam cię wczoraj w jej pokoju. Czy nadal jest dziewicą?

- Eleanor! - oburzyła się hrabina.

- Mam ważne sprawy do omówienia, Eleanor, które ciebie nie dotyczą. Radziłbym też, żebyś dwa razy pomyślała, zanim coś palniesz! - rzekł ostro.

- Nieźle cię wzięło. Coś ty taki drażliwy! Brat, którego znani, kpi sobie z takich oskarżeń. Poza tym nigdy dotąd nie kryłeś się z żadnym romanssem.

- Nie romansujemy z sobą. Ona ma siedemnaście lat i jest pod moją opieką! - krzyknął, jednak zaczerwienił się, gdy zwrócił się do hrabiny: - Miałem nadzieję, że matka Amandy będzie miała zaszczyt zostać jej prawną opiekunką, lecz nie chce mieć nic wspólnego z własną córką. Znasz lady Belford?

- Znam. To straszne! - zawołała Mary. - Jednak rozumiem jej trudną sytuację. Boi się kompromitacji. Mimo wszystko wyrzec się swojego dziecka... To wprost karygodne! Cliff, czy już rozmawiałeś o tym z panną Carre?

- Tak, i bardzo źle to przyjęła. Jest zrozpaczona. Dlatego proszę was wszystkich, żebyście byli dla niej mili. Dopiero co straciła ojca, a teraz jeszcze taki zawód.

- Oczywiście, że będziemy mili - łagodnym głosem powiedziała hrabina. - Rex mówił, że środowisko, w którym się wychowała, było trochę... podejrzane. Czy to prawda, Cliff?

- Jej ojciec został powieszony za piractwo - oznajmił prosto z mostu Cliff. Gdy Mary poruszyła się niespokojnie, dodał: - Życie jej nie rozpieszczało. Miałem nadzieję, że uda mi się zapewnić Amandzie jaśniejszą przyszłość. Gdybyście znali szczegóły z jej życia, włos by się wam zjeżył.

Eleanor wstała i podeszła do brata.

- Nie miałam o tym pojęcia, Cliff. Przepraszam za moją gruboskórność, ale kiedy zobaczyłam was razem, pomyślałam, że jesteście kochankami, choć jest taka młoda i nie w twoim typie.

Uśmiechnął się do siostry, której słowa przyniosły mu ulgę.

- No to źle zrozumiałaś, a swoją drogą akurat wy macie z sobą coś wspólnego. Ty wychowywałaś się z pięcioma chłopcami, a ona na statku wśród marynarzy. Obie byłyście puszczone samopas, obie zuchwałe, nawet szalone. Siostrzyczko, byłbym ci wdzięczny, gdybyś pomogła jej się odnaleźć.

Pocałowała go w policzek.

- Oczywiście, że to zrobię. Z góry się na to cieszę. Trzeba załatwić jej ubranie. Nie może biegać po mieście w bryczesach.

- Zamówiłem madame Didier, zjawi się po południu. Eleanor, Amanda nigdy nie miała na sobie sukni. Zdumione panie porozumiały się wzrokiem.

- Pomożemy jej we wszystkim - zapewniła z uśmiechem hrabina. - Muszę tylko wiedzieć, co mamy mówić o rodzinie panny Carre.

- Na szczęście jej ojciec był oficerem marynarki, zanim zajął się piractwem. Możemy utrzymywać, że opuścił służbę, by zostać plantatorem na wyspach. Powiemy też, że jej matka umarła, gdy Amanda była małym dzieckiem, co od biedy jest bliskie prawdy. Jej rodzina pochodzi z Kornwalii, a Amanda jest ostatnia z tej linii. Tego się trzymajmy.

- To wystarczy, przynajmniej na razie. Jeśli dobrze rozumiem, chcesz wprowadzić ją do towarzystwa i znaleźć jej męża? - zapytała hrabina.

- Nie wszystko od razu. Amanda nie jest jeszcze gotowa. Potrzeba pół roku, by dobrze zadebiutować. Na początku rejsu nie umiała czytać, ale dogoniła już Aleksa. Jest bardzo zdolna i pracowita, ale boi się, że stanie się obiektem drwin. Była poniżana przez damulki na wyspie. To wciąż świeża rana, dlatego jest drażliwa.

- Biedne dziecko - westchnęła hrabina. - Oczywiście, że jej pomożemy.

- Cliff, a może warto sprawdzić, czy już teraz nie odniesie sukcesu? - z ożywieniem spytała Eleanor.

- Co masz na myśli?

- Zaprośmy najbliższych przyjaciół. Na pewno potraktują Amandę życzliwie niezależnie od jej gaf. Postarajmy się też o zaproszenie na kameralne spotkanie do lady Harrington. Znasz ją i wiesz, jaka jest serdeczna i taktowna. Na pewno polubią się z Amandą. A z opinią Blanche Harrington liczy się cały Londyn.

- To dobry pomysł. Dzięki temu Amanda nabierze pewności siebie - rzekł uradowany.

- Moim zdaniem nie trzeba czekać pół roku ze znalezieniem dla niej kandydatów na męża. Niełatwo jest o dobrą partię dla zubożałej szlachcianki, a tym bardziej takiej, która ma podejrzanе pochodzenie. Powinieneś już teraz przyglądać się ewentualnym kandydatom. Czy ona ma posag?

Mary ma rację, pomyślał Cliff. Znalezienie odpowiedniego męża dla Amandy nie będzie łatwe. Miał przy tym wrażenie, jakby niefrasobliwie rzucona śnieżna kulka miała za chwilę uruchomić lawinę. Jednak Amanda musi mieć męża, to oczywiste.

- To oczywiste, że zadbam o jej posag. Zlecę moim agentom, by znaleźli niewielki, ale dochodowy majątek, założę też fundusz powierniczy na nazwisko Carre. I już teraz zacznijmy myśleć o odpowiednich konkurentach. Znalezienie dobrej partii może trochę potrwać.

Mary wzięła Cliffa pod rękę.

- Kochanie, wiem od Reksa, że to prawdziwa piękność, co na pewno znacznie ułatwi sprawę. Wszyscy zajmujemy się sporządzaniem listy kan-

dydatów. - Wzrok hrabiny powędrował za jego ramię. Uśmiech znikł z jej twarzy.

Wszyscy odwrócili się w stronę drzwi. W koszuli, w bryczesach i wysokich butach stała Amanda. Była blada jak śmierć.

Cliff podbiegł do niej. Od razu zauważył, że ma oczy czerwone od płaczu.

- Dzień dobry - powiedział z wymuszonym uśmiechem. - Chcesz poznać moją macochę? Właśnie spotkaliśmy się przy śniadaniu.

Rzuciła mu zranione, nieufne spojrzenie. Najwyraźniej słyszała ich rozmowę. Chciał jak najszybciej załagodzić sytuację.

- Chodź, poznaj moją macochę. - Wziął ją za ramię.

Hrabina podeszła do niej, uśmiechając się serdecznie.

- Witaj w naszej rodzinie, kochanie. - Ujęła dłonie Amandy, pocałowała ją w policzek. - Tak mi przykro z powodu strat, jakie poniosłaś ostatnio. Czy mogłabym coś dla ciebie zrobić?

Amanda zaczerwieniła się.

- Nie - wyszeptała po chwili. - Dziękuję.

- Moglibyśmy zamienić słowo, jak już zjesz śniadanie? - zapytał Cliff.

- Zróbmy to teraz - odparła zachrypniętym głosem.

Natychmiast wróciło wspomnienie dzisiejszej nocy - pocałunki, namiętności. Czuł, że również ona myśli o tej chwili szaleństwa.

- Wybaczcie nam, proszę. - Skłonił się rodzinie i poszedł z Amandą do biblioteki. - Jak się czujesz?

- Nie chciał rozmawiać o nocy. Nie miał nic na swoje usprawiedliwienie.

- Słyszałam was! - krzyknęła. - Rozmawialiście o konkurentach i o posagu dla mnie!

- Taka jest rola opiekuna, Amando. Jak mogę inaczej zabezpieczyć twoją przyszłość?

Zrobiła się przeraźliwie blada.

- Nie jest pan moim opiekunem.

- Złożyłem w tej sprawie oficjalne oświadczenie. Sporządzą też odpowiednie dokumenty, by było jasne, że Carre powierzył mi opiekę nad tobą.

Milczała chwilę.

- Jeśli twoja kuratela ma oznaczać pośpieszne wydanie mnie za mąż, to nie chcę, żebyś był moim opiekunem.

- Rozumiem, że to cię przeraża.

- Tej nocy spaliśmy z sobą! Całowałaś mnie wiele razy. Myślałam, że jesteśmy kochankami!

Poczuł się zdruzgotany.

- Nie jesteśmy kochankami. To była pomyłka, która nigdy się nie powtórzy. Nadal jesteś dziewicą.

- Niewiele brakowało! Jak po tym wszystkim możesz mówić, że nie jesteśmy kochankami?

- Straciłem kontrolę. - Był czerwony jak burak.

- Nie pierwszy raz! - krzyknęła roztrzęsiona.

- A co było na statku, po sztormie? Myślałam, że to był sen, ale wiesz, że tak nie było! Kochałeś się ze mną na „Fair Lady”!

- Straciłem kontrolę - powtórzył drętwym głosem. Jakże głupio to zabrzmiało. - Jesteś nadzwyczaj piękna i szalenie kusząca, ale tak nie można. Zasłużyłaś na męża...



- Nie chcę żadnego męża. Chcę ciebie.

- Nie uczynię cię swoją kochanką - wydusił po chwili. - Jedna noc gry wstępnej nie czyni z nas kochanków. Dałem się ponieść żądzy, ale chciałem cię tylko pocieszyć. Obiecałem ci jako twój opiekun, że będę cię chronić przed takimi łajdakami jak ja.

- Ostatnia noc wszystko zmieniła!

- Niczego nie zmieniła, Amando. Nie możesz udać się do Belford House, więc zostałam pod moją opieką. - Z trudem odzyskiwał spokój. - Potrzebujesz męża, jak każda kobieta.

Milczała długą chwilę, wreszcie powiedziała:

- To zostań moim mężem.

Nie wierzył własnym uszom. Wszystkie myśli odpłynęły i została tylko smukła, piękna kobieta, która prosi, żeby się z nią ożenił.

- Niedługo będę miała osiemnaście lat - oznajmiła drżącym głosem. - Jeśli miałbyś się z kimś ożenić, to dlaczego nie ze mną? Wiem, że ci się podobam. Jestem tego pewna! Moglibyśmy razem żeglować! Nie musiałabym być wytworną damą, i tak byś mnie pragnął. Mogłabym nawet dać ci więcej dzieci! Musiał usiąść.

Myśl o niej na pokładzie „Fair Lady” wydała się szalenie kusząca. Razem pokonywaliby bezkres oceanu, walczyli ze sztormem... Potem padałby z nią na łóżko - tak samo dziką jak morze pędzone przez wiatr.

Zbliżyła się nieśmiało.

- Lubisz mnie troszeczkę? Czyż nie jesteśmy zgraną parą?

- Oczywiście, że cię lubię - ostrożnie ważył słowa - ale jesteś kobietą i moją podopieczną, a nie towarzyszką morskich wypraw.

- Co ty mówisz! Pokonaliśmy razem huragan na morzu!

Zerwał się z miejsca.

- Nie zamierzam z nikim się żenić. Bo i po co? - Opanował się nieco. - Amando, mam dzieci, które uwielbiam. Niczego mi nie brak. Nie potrzebuję zaszczytów ani pieniędzy. Poza tym nie wierzę w miłość. Nie widzę żadnego sensownego powodu, żeby w ogóle rozważać możliwość małżeństwa.

- Och... - Jej policzki zrobiły się szkarłatne.

- I lubię się łajdaczyć, co nigdy się nie zmieni. Wiesz o tym sama.

Była zbulwersowana. Splotła ramiona na piersi, jakby miało to ją przed czymś ochronić.

- Oczywiście, nie powinieneś się żenić... nie ze mną... Nie mówiłam tego serio... po prostu miesza mi się w głowie.

Tak bardzo chciał ją objąć. Nic dziwnego, że ma mędik w głowie. Właśnie dowiedziała się, że jest nieślubnym dzieckiem, matka jej nie chce, a on...

- Złamałbym ci serce, Amando.

- Boże... - Zacisnęła powieki. Wiedział, że żałowała pochopnych słów.

- Amando - powiedział łagodnie. - Cała wina za tę noc leży po mojej stronie, choć jeśli odrobinę pomyślisz, ucieszysz się, że jesteś moją podopieczną. Będziesz zadbana i otoczona troską jak nigdy dotąd. Nie tylko przeze mnie, ale przez całą moją rodzinę.

- Nie chcę być twoją podopieczną.
- Jest mi przykro, Amando. - Gdyby nie wszedł tej nocy do jej pokoju, nie musiałby teraz przekazywać tej jakże bolesnej prawdy. - Nie masz innego wyboru.
- Twoja macocha powiedziała, że trudno będzie znaleźć dla mnie męża, bo jestem podejrzana. Wzdrygnął się.
- Nie, powiedziała, że twoje pochodzenie jest podejrzone, a to coś całkiem innego. Chętnie pomoże ci wejść do towarzystwa i odnieść sukces. - Gdy popatrzyła na niego oskarżycielsko, ale i z wielkim bólem, przeraził się. - Co ci chodzi po głowie, Amando?
- Chcę znać prawdę.
- W jakiej sprawie?
- W sprawie... -zwilżyła wargi- ...no... tego, czy moglibyśmy zostać kochankami. Serce waliło mu mocno.
- A jak brzmi pytanie?
- Czy gdybym była szlachetnie urodzoną damą o wspaniałych manierach, zostalibyśmy kochankami?
- To nie fair! - zawołał.
- Zostalibyśmy, i dobrze o tym wiesz! Co, może zaprzeczysz? Nie opiekowałbyś się mną, tylko przeleciał i odrzucił! - krzyknęła przez łzy. - Tak jak to zrobiłeś ostatniej nocy!
- Może by tak było, ale nie z powodu, o jaki mnie oskarżasz! - powiedział ze złością. - Nie mam obsesji na twoim punkcie. Masz dopiero osiemnaście lat, ja dziesięć więcej i jestem znacznie bardziej doświadczony! - krzyczał. - Przyznaję, że jesteś kusząca! I gdybyś była starsza i bardziej doświadczona, z przyjemnością skorzystałbym z propozycji. Tak jednak nie jest. Chcę, żebyś miała udane życie, Amando, a gdybym cię przeleciał i odrzucił, jak to ujęłaś, żaden dżentelmen nie spojrzałby w twoją stronę. Czy wyrażam się jasno?
- Wiedziałam, że tak będzie. Nie jestem dość dobra dla pana, tak jak nie jestem dość dobra dla mojej matki!

- Powiedziałem coś wręcz przeciwnego.  
- Nie! - Walnęła go z całej siły w tors, drugą pięścią celowała w szczękę.  
Zdażył złapać ją za nadgarstek.  
- Masz prawo być wściekła, bo w nocy zachowałem się jak drań. W kółko powtarzam, że nie miałem takiego zamiaru, ale już się stało. Przykro mi, naprawdę.  
- A mnie nie! - Wyszarpnęła rękę. - Nienawidzę cię! Byłoby lepiej, gdybyśmy nigdy się nie spotkali.  
Wolałabym być wszędzie, tylko nie tutaj! - Podbiegła do drzwi.  
Ruszył za nią.  
- Zaczekaj, chyba nie chcesz... Odepchnęła go.  
- Niech mnie pan zostawi w spokoju, de Warenne! I niech pan już nigdy nie wchodzi nieproszony do mojego pokoju!  
Potykając się, wybiegła za próg.  
W korytarzu stała Eleanor. Najwyraźniej podsłuchiwała kłótnię. Cliff był zbyt przygnębiony, żeby zwracać na to uwagę, ale kiedy siostra ob

rzuciła go lodowatym spojrzeniem, doszedł do wniosku, że katastrofa wisi w powietrzu.

- Amando, kochanie. - Eleanor wyciągnęła do niej rękę. - Przyszła madame Didier, a ja chciałabym ci pomóc wybrać garderobę. Chodź, będzie wesoło! W drodze na górę powiem ci wszystko o moim żalonym, nikczemnym, okrutnym i egoistycznym bracie. Och, zapomniałam dodać, że jest też arogancki, zarozumiały i bezduszny, jak na drania przystało. Nie martw się jednak. Już nigdy nie wejdzie do twojego pokoju!

Amanda pociągnęła nosem.

- Jest wstrętny, ale nie jest okrutny ani nie jest draniem.

Kiedy ramię w ramię udały się na górę, z jadalni wynurzył się Rex.

- Nie ma co! Choć raz w życiu mógłbyś się zachować przyzwoicie. - Z niesmakiem zmierzył brata wzrokiem.

Cliff fuknął gniewnie, ale nie powiedział słowa. W korytarzu pojawiła się hrabina. Popatrzyła z niepokojem na pasierba, po czym podążyła za Eleanor i Amandą.

Oparł się o drzwi biblioteki. Czuł się podle. Zranił Amandę i wiedział, że cokolwiek zrobi, nie naprawi swojego błędu. Jakże nienawidził siebie! Wykorzystał ją, a przecież zarzekał się, że tego nie zrobi.

Złożył jej też wiele obietnic, a najważniejszą było zapewnienie godnej przyszłości.

Przyszłości, w której nie ma dla niego miejsca!

Podczas kiedy krawcowa rozpakowywała walizkę, Amanda podeszła do okna. Płonęła ze wstydu, była przerażona swoją śmiałością. Jak mogła prosić de Warenne'a, żeby się z nią ożenił? Nawet o tym nie śniła. Przecież zna swoje miejsce. Jednak kiedy usłyszała rozmowę w jadalni, wpadła w popłoch. Obmyśliła już pewien plan na życie, plan, w którym de Warenne odgrywał bardzo ważną rolę. Z jego pomocą chciała opanować tajniki dobrych manier, by wejść do towarzystwa i zamieszkać z matką.

Choć jej wysiłki przynosiły marne rezultaty, była zdecydowana pokonać swoje ograniczenia i dokonać niemożliwego. Chciała stać się damą, choćby tylko z pozoru, i wcale nie dlatego, żeby

zdobyć miłość matki. Przez całe życie była wyrzutkiem i outsiderką, co najwyżej mogła oglądać z ulicy wytworne domy, podglądać eleganckie salony i sklepy, wiedząc, że jest niechciana i inna. Od de Warenne'a otrzymała szansę na zmianę życia. Udawała, że nie zależy jej na tym, ale było odwrotnie. Przecież bardzo się starała. I nadal jej na tym zależy.

Otarła łzy.

To oczywiste, że de Warenne nigdy by się z nią nie ożenił. A że zakochała się w nim jak głupia i chciała zostać jego kochanką, nawet teraz, świadczy tylko o jej naiwności. De Warenne jest człowiekiem honoru. Prawdę mówiąc, nawet nie wiedziała, że istnieją tacy ludzie, póki go nie poznała. Po tym wszystkim, co zrobiła, mógł ją wyrzucić, tymczasem postanowił szczerze ją wyposażyć i dobrze wydać za mąż.

Była zboląła, ale i wdzięczna. Obraz, który dotąd

hołubiła w wyobraźni, stopniowo ulegał zmianie. Zobaczyła siebie w pięknej sukni, wytworną i dobrze ułożoną. Siedzi z Cliffem de WARENNE'em w różanym ogrodzie, a on czule uśmiecha się do niej. Jednak byli tylko dobrymi znajomymi - ponieważ ona jest żoną innego.

- Spójrz na tę kość słoniową z koralem. - Eleanor pokazała próbkę materiału o roślinnym wzorze.

- Będzie ślicznie pasował do twoich włosów i oczu.

Amanda uświadomiła sobie, że Eleanor patrzy na nią ze współczuciem i niepokojem. Otrząsnęła się, podeszła do spiętrzonych na jej łóżku tkanin. Jeszcze nigdy nie widziała takiej ilości jedwabiu, atłasu, szyfonu i bawełny. Cliff postanowił ubrać ją jak księżniczkę!

- To chyba nie dla mnie?

- Możesz mieć wszystko, cokolwiek zechcesz

- oznajmiła z uśmiechem Eleanor. - Cliff ma wszystkiego w bród, więc nie będziemy oszczędzać. Że też potrafi być takim chamem!

- Jest wspaniałym człowiekiem - nieśmiało zaprotestowała Amanda.

- Musisz być w nim strasznie zakochana! Amanda ocknęła się z marzeń.

- Skądże znowu! Jestem mu wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobił. Pozwolił, bym została w waszym domu, dał mi szansę na poprawienie mojej sytuacji.

- Mój brat ma nie najlepszą reputację. A jeśli chodzi o małżeństwo...

- Wiem! - Amanda zdobyła się na uśmiech.

- Widywałam go na wyspie. Kiedy kroczył ulicami, wszystkie damy robiły z siebie idiotki, byle zwrócił na nie uwagę. - Uświadomiła sobie, że nie jest pierwszą kobietą, która zakochała się w Cliffie de WARENNE'ie i została odepchnięta.

- Jest bardzo przystojny, bardzo czarujący i bardzo bogaty. Owszem, robi duże wrażenie na kobietach, więc łatwo się w nim zakochują, ale musisz wiedzieć, że jeszcze nigdy nie widziałam, by był taki troskliwy. Zwykle jego romanse trwają krótko, nigdy też nie przyprowadził żadnej kobiety do domu.

Amanda skrzyżowała ramiona na piersi. Nie była pewna, czy ma ochotę rozmawiać o tak osobistych sprawach z Eleanor.

- Nie jestem aż tak nierozgarnięta, żeby myśleć o małżeństwie z twoim bratem. Uważam, że ma rację, chcąc mnie wydać za mąż. Inną możliwością byłby powrót na wyspę, ale choć kocham morze i uwielbiam żeglować, nie mogę tam wrócić.

- Byłaś taka odważna!

- Odwagą jest samotne trwanie przez długie miesiące w niepewności, co przyniesie kolejny dzień, jak zdobyć następny posiłek. Odwagą jest wypatrywanie powrotu statku i niepokój o to, kto przeżył, a kto nie. - Takie było jej życie i strasznie się wówczas bała. - Nie jestem odważna.

Wiedziała, że nie ma odwrotu i rozpaczliwie pragnęła takiego życia, jakie ofiarowywał jej Cliff. Może w majątku, który jej kupi, będzie różany ogród, a jeśli nie, sama posadzi kwiaty. Może towarzystwo wyższych sfer nie okaże się tak straszne. W końcu rodzina Cliffa zajmuje bardzo wysoką



pozycję, więc chyba nikt nie odważy się odnosić do niej lekceważąco, przynajmniej na razie.

- Nic dziwnego - powiedziała cicho Eleanor - że Cliff tak patrzy na ciebie.

Jednak Amanda jej nie usłyszała.

- Potrzebna mi jest tylko jedna suknia. - Wzięła z łóżka próbkę w kolorze koralu i kości słoniowej i przyłożyła do szyi. Materiał był śliczny i bardzo kobiecy. - Ładnie mi w tym?

- Będiesz najpiękniejszą kobietą na sali balowej, a Cliff nie zdoła zapanować nad sobą - powiedziała Eleanor z błyskiem w oczach. - I potrzebujesz co najmniej tuzina sukienek, Amando.

Może to i lepiej, że nie zostanie kochanką Cliffa de Warenne'a. W końcu nigdy nie miała bezpiecznego i zasobnego domu. A co do Cliffa? Pozostaną przyjaciółmi, a jeśli jej miłość do niego nie wygaśnie, będzie go kochać z daleka, tak jak z oddali podziwiała go na wyspie.

## **Rozdział trzynasty**

Cliff ze wszystkich sił starał się opanować, ale nie mógł usiedzieć na miejscu. Cała rodzina, oprócz Amandy i Eleanor, zebrała się w salonie w oczekiwaniu na kolację. Niecierpliwił się, nie rozumiejąc, co ich jeszcze zatrzymuje.

Prześladowały go słowa Amandy: „Nienawidzę cię! Byłoby lepiej, gdybyśmy nigdy się nie spotkali”. Nie wiedział, co by zrobił, gdyby Amanda rzeczywiście nim gardziła. Nie dopuszczał myśli, że mogliby się już nie widywać. Stała się ważna dla niego. Była zraniona i zła, więc chyba nie mówiła tego poważnie?

Krążąc po domu, zajrzał do dzieci, które korzystały z ostatnich chwil przed pójściem spać. Nagle z korytarza dobiegł go zduszony szept Eleanor. Przez szparę w drzwiach dojrzał zjawisko w różu. Amanda, ubrana w jedwabną różową suknię, z włosami upiętymi do góry, wyglądała zjawiskowo.

Był porażony jej urodą i niewinnym wyglądem, nie mógł oderwać od niej oczu. Opadł na krzesło.

Z rumieńcami na twarzy uśmiechała się nieśmiało.

Dobry Boże, jest piękna aż do bólu, pomyślał, ale czy nie wiedział tego od początku?

- Cliff! - rzekła strofującym tonem Eleanor, podparłszy się pod boki.

Zerwał się na nogi i rzucił do przodu, potykając się o dywan. Wyhamował tuż przed Amandą.

Zapatrzyli się w siebie. Nie znajdował słów, choć chciał jej powiedzieć, że jest najpiękniejszą kobietą w całej Wielkiej Brytanii.

- Czy... czy wyglądam głupkowato? - zapytała szeptem.

- Wyglądasz... niezwykle pięknie.

- Nie musi się pan silić na uprzejmość. - Zaczerwieniła się jak rak.

Podniósł jej dłoń do ust.

- Amando... nie ma piękniejszej kobiety od ciebie.

Zobaczył w jej oczach radość. Uśmiechnęła się z większą ufnością.

Czule pocałował jej dłoń. Ogarnęła go straszna tęsknota. Gdyby mógł, nie puściłby nigdy jej ręki.

- Obcięłaś włosy? - zapytał łagodnie.

- Nie.

- To dobrze.

- Lizzie upięła mi włosy do góry. Nigdy nikogo tak nie pragnął.

- Domyślam się, że madame Didier miała suknię, której nie chciała jej klientka.

- Była taka miła, że wykonała parę poprawek... nie rozumiem, jak ktoś zrezygnował z tak ślicznej kreacji.

- Miałaś szczęście. Kupię ci sto innych. Uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy.

- Nie potrzebuję stu sukienek, Cliff. Na szczęście opamiętałam się - powiedziała łagodnie.

Mina mu zrzedła. Co to, u licha, ma znaczyć?

- Miałam nadzieję... - Zawahała się, zagryzając wargę. - Chciałam cię o coś zapytać po kolacji.

Zostań moim mężem. Takiej prośby nie da się zapomnieć.

- Możesz mnie prosić o wszystko, co zechcesz

- powiedział, nie odrywając od niej oczu. Wtedy ktoś zakaszłał.

Nagle uświadomił sobie, że nie są sam. Cała rodzina była w komplecie, włącznie z dziećmi. Mary i Lizzie wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Ariella patrzyła na niego z nieskrywaną ciekawością, jakby drogi tatuś zrobił coś dziwnego.

- Amando, kochanie, przyznaję, że wyglądasz prześlicznie. Dlaczego nie miałabyś zamienić z Cliffem paru słów teraz? - zasugerowała hrabina.

- W tym czasie my zajmujemy się dziećmi.

- Dziękuję. - Cliff serdecznie pocałował macochę w policzek.

- Cieszę się z twojego sukcesu - uśmiechnęła się do niego.

Nie miał pojęcia, o co chodzi.

- Czy mam zamknąć drzwi? - zapytał Amandę po wyjściu rodziny z salonu.

- To nie ma znaczenia.

- Amando, tak mł przykro z powodu dzisiejszego poranka - zaczął.  
Kiedy położyła rękę na jego piersi, serce zaczęło mu bić jak szalone.
- Wspomniał pan o posagu... i o posiadłości.  
Jeden jej dotyk wystarczył, by wróciło wspomnienie ubiegłej nocy. Musiał przejść parę kroków, żeby ochłonąć.
- Tak. Uznałem, że musisz mieć posag i będziesz go miała. Posiadłość wejdzie w jego skład. Rano zleciłem tę sprawę moim agentom.
- Będzie należała do mnie czy do mojego męża? Kiedy usłyszał, jak beznamytnie mówi o swoim małżeństwie, poczuł się dziwnie nieswojo. „Zostań moim mężem!”
- Po ślubie majątek przechodzi na męża, choć prawo daje pewną furtkę. Osobiście wolałbym, żeby był zapisany na twoje nazwisko i by w przyszłości dziedziczył twój najstarszy syn. Zresztą w obu przypadkach dziedziczyć będzie wasz syn.
- Jest pan bardzo wspaniałomyślny.
- Zatem doszłaś do wniosku, że małżeństwo jest lepszym rozwiązaniem?  
Zaczerwieniła się.
- Cliff... panie de Warenne, rano zachowałam się niestosownie. Mówiłam, co mi ślina na język przyniesie. To znaczy... chciałam powiedzieć, że wolałabym cofnąć tamte słowa... to było głupie z mojej strony!
- Amando...
- Nie, proszę zaczekać! Wiem, że nigdy by się pan ze mną nie ożenił. To oczywiste. Nie wiem, dlaczego to wszystko powiedziałam. To znaczy naprawdę myślałam, że zostaniemy kochankami, ale przecież mówił pan sto razy, że chce się tylko mną opiekować. - Była już purpurowa. - Rozumiem to i nie jestem zła. I wcale... nie nienawidzę pana. Nigdy bym nie potrafiła. Zamknął drzwi.
- Cieszę się, Amando. Chyba mnie rozumiesz? Nie zamierzam się żenić.
- Gadanie... Pewnego dnia ożeni się pan z wielką damą, pewnie z księżniczką. Tak, z księżniczką.

Westchnął, wiedząc, że jej nie przekona.

- A więc żałujesz porannego wybuchu?

- Tak, ale jeszcze bardziej chciałam zrozumieć, czym ten majątek będzie dla mnie.

Odruchowo musnął jej policzek, po czym szybko wsunął dłonie do kieszeni.

- Majątek będzie twój z prawem własności po ślubie. Zresztą dzisiaj jeden z agentów trafił na coś interesującego. Jest to wiejska rezydencja ze sporym kawałkiem ziemi i trzema folwarkami w dzierżawie.

- Widząc, jak zaświeciły jej się oczy, kontynuował:

- Cena jest śmiesznie niska. Dwór leży na południe od miasta, niezbyt daleko stąd.

Przygryzła wargę, oczy jej błyszczały.

- O co chodzi, Amando?

- Ofiarowuje mi pan dom! - zawołała. - Anglicy zarekwirowali farmę Belle Mer i „Amandę C”. Nie mam nic, a pan ofiarowuje mi posiadłość, i to na wyłączną własność! Czy pan rozumie, co to dla mnie znaczy?

- Powoli zaczynam rozumieć. Nie bój się, na-

prawdę majątek będzie twój, nie męża. - Zamyślił się. - Czy teraz cieszy cię perspektywa małżeństwa? Uśmiech znikł z jej twarzy.

- Wiem, że znajdzie pan dla mnie odpowiedniego kandydata, nie wyda mnie pan na siłę za pierwszego lepszego.

- Oczywiście - wycedził.

- Nie uważa pan, że jest to nieduża cena za tak wspaniałe życie?

Czuł się nieswojo, zarazem zdziwił go jej cynizm.

- Tego się od kobiet oczekuje. Powinny znaleźć mężów, którzy będą je utrzymywać. Owszem, będziesz samowystarczalna, ale nawet dziedziczki największych fortun wychodzą za mąż dla poczucia bezpieczeństwa i żeby mieć spadkobierców.

- Tak, wiem. - Odeszła kawałek, nerwowo zaciskając rękę.

Przyglądał się jej z zapartym tchem. Z pewnością szybko znajdzie dla niej męża. Wystarczy na nią spojrzeć, żeby zakochać się po uszy. Poczul ukłucie zazdrości.

- To dobrze, Amando.

- Jakiego mężczyznę widziałby pan dla mnie? - zapytała, stając przed nim. - Takiego jak mój ojciec?

Nie mam oczywiście na myśli pirata, ale kogoś silnego i nieustraszonego.

Przeraziła go tym pytaniem. Czyżby uważała, że należy jej się taki nieokrzesany brutal jak Carre?

- Nie, to musi być dżentelmen, ktoś hojny i dobry, kto nigdy nie podniesie ręki na kobietę.

- Mówi pan... dżentelmen? Prawdziwy dżentelmen... jak pan?

- No... tak. - Jej słowa znów rozbrzmiały niczym echo: „Zostań moim mężem”. Odwrócił się gwałtownie. - Chciałabyś obejrzeć Ashford Hall? - zapytał.

- Tę posiadłość, którą zamierza pan mi dać? - zapytała rozpromieniona. - Razem?

- To dość blisko stąd, leży koło Ashton. Możemy zabrać dzieci, niech zobaczą wieś, a także monsieur Michelle'a, żebyś nie straciła lekcji. - Posłał jej olśniewający uśmiech. - I tak miałem to w planie, tylko musimy wybrać dogodny termin.

Amanda aż podskoczyła, a zanim Cliff się zorientował, rzuciła mu się na szyję i mocno uścisnęła.

- Cieszę się, że jest pan moim opiekunem - wyszeptała.

Poczuł... wiadomo, co poczuł. A tego nie było w planie.

Z duszą na ramieniu wyjrzała z okna powozu, który wjechał na szeroki, wysypany białym żwirem podjazd i mijał nienagannie utrzymane trawniki i żywopłoty. Należący do hrabiny wehikuł zaprzężony był w szóstkę dorodnych, idealnie dobranych karych koni z białą gwiazdką na czole. Na lakierowanych hebanowych drzwiach widniał herb de WARENNE'ÓW. Podzielona na dwie części tarcza przedstawiała złotego wilka na czarnym polu z jednej strony i złotą lilię na czerwonym polu z drugiej. Siedzenia były obite szafirowym aksamitem. Amanda siedziała obok Eleanor na ławeczce usytuowanej tyłem do jazdy, podczas gdy miejsce po przeciwnej stronie było zarezerwowane dla osób wyższych rangą, czyli hrabiny i Lizzie.



Po chwili wyłonił się ogromny pałac z ciemnego kamienia, rezydencja wicehrabiego Harringtona, który mieszkał tu z córką, jedną z najbogatszych dziedziczek na wyspie.

Od wyjazdu z Mayfair kobiety nie przestawały trajkotać. Lada dzień miał przyjechać do miasta Sean, a Eleanor umierała - tak przynajmniej twierdziła - z tęsknoty. Tyrell, mąż Lizzie, przysiągł, że zjawi się na słynnym balu lady Carrington. Sama Lizzie czuła się marnie i niewiele brakowało, żeby została w Harmon House. W styczniu spodziewała się czwartego dziecka.

Amanda niewiele słyszała z ich rozmowy.

Madame Didier spisała się w terminie, miała więc na sobie przepisową kreację w kolorze kości słoniowej, jasnopopielatą pelisę i stosowny kapelusz. Przed wyjazdem zjawił się Cliff i zapiął jej na szyi nieduży sznurek olśniewających pereł.

- Dama wymaga stosownej oprawy - szepnął.

Wzruszona Amanda prawie się popłakała.

Teraz nie mogła oddychać, a tym bardziej płakać. Tyle niepewności i znaków zapytania! Ma złożyć ukłon w chwili, kiedy lady Harrington zjawi się w holu, i ma unikać kontaktu wzrokowego. Jeżeli hrabina wyciągnie rękę, ma zamarkować pocałunek, jakby całowała powietrze. Ma się odzywać tylko wtedy, kiedy ktoś się do niej zwróci. Mówić spokojnie i powoli. Pamiętać o zachowaniu umiaru!

Usiąść, kiedy zostanie podstawione krzesło, ale nigdy nie siadać przed hrabiną ani kimkolwiek wyższym rangą, czyli przed nikim w Londynie. Jeżeli krzesła nie ma, trzeba stać i uśmiechać się powściągliwie. Właściwie należy mieć w pamięci tylko to jedno słowo: powściągliwość.

Było kilka bezpiecznych i powszechnie przyjętych tematów konwersacji: pogoda, ogród, stroje i sprawunki, a także plany na lato. Michelle radził jej tylko ich się trzymać, a nawet kazał wkuć kilka wielce przydatnych okrągłych zdań na tę okazję.

Tymczasem Cliff, kiedy dawał pereł, szepnął jej do ucha:

- Bądź sobą, ona to lubi. Wątpiła w to mocno.

- Amanda? Masz taki zbolwały wygląd, jak ja przed wyjściem z domu. - Lizzie poklepała ją po kolanie.

Przyszła hrabina Adare wiecznie zajęta była dziećmi, więc rozmawiały z sobą raz albo dwa, ale Amanda jeszcze nigdy nie spotkała miłszej i równie przyjaźnie nastawionej kobiety jak Lizzie. Próbowała się do niej uśmiechnąć, ale bez skutku. Nawet nie była w stanie mówić. To była jej pierwsza oficjalna wizyta i była pewna, że zostanie potraktowana jak oszustka, którą zresztą była.

- Och, kochanie. - Tym razem Lizzie pogłaskała ją po rękę. - Chcesz posłuchać pewnej historii?

To była ostatnia rzecz, na jaką Amanda miała ochotę, ale nie mogła odmówić.

- Kochałam się w Tyrellu, jeszcze będąc dziewczynką, ale on był z hrabiów i ledwie wiedział o moim istnieniu, a przynajmniej tak sądziłam. - Uśmiechnęła się szelmowsko. - I choć zakochałam się w nim do szaleństwa, nawet w snach nie marzyłam, że Tyrell kiedyś mnie poślubi.

Amanda nadstawiła ucha, wyprostowała się i pochyliła w kierunku Lizzie.

- Byłaś biedna?

- I o wiele za pulchna jak na panującą modę

- odparła ze śmiechem. - Nadal jestem pulchna, ale widać Tyrell to lubi. Mówiąc krótko, między rodziną Tyrella a moją była taka przepaść, że najwyżej mogłabym zostać jego gospodynią. A on był zaręczony z lady Harrington.

Amanda wytrzeszczyła oczy.

- I co się stało?

- Prawdziwa miłość - odpowiedziała Lizzie z niewinnym uśmiechem, na co Eleanor zachichotała.

- Jego obowiązkiem było poślubienie Blanche Harrington, tymczasem upatrzył sobie mnie. I wtedy Blanche zerwała zaręczyny, ponieważ z jakiegoś powodu wolała zostać niezamężna. Potem już tylko pamiętam, jak staliśmy przed ołtarzem i składaliśmy przysięgę małżeńską.

- I żyli długo i szczęśliwie. - Eleanor poklepała Amandę po ręku. - Tyrell zakochał się w Lizzie, a ona nie miała o tym zielonego pojęcia, tylko wzdychała cierpiętniczo do gwiazd. Powinnaś wiedzieć, że mężczyźni w naszej rodzinie, kobiety zresztą też, zakochują się raz i na zawsze.

- Jakie to romantyczne! - z zadumą stwierdziła Amanda.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła Lizzie.

- Blanche jest uroczą osobą, od lat utrzymujemy ze sobą najlepsze stosunki.

- Masz się tylko uśmiechać, potakiwać głową i starać się w ogóle nie mówić! - zażartowała Eleanor.

- Eleanor! - skarciła ją hrabina. Powóz zaczął zwalniać.

Amanda starała się wchłonąć udzielane jej rady, ale raz po raz spoglądała na ogromną kamienną fasadę dwupiętrowej rezydencji. Lizzie udało się odwrócić jej uwagę, ale na krótko, bo ze zdenerwowania rozbolał ją żołądek.

Forysie otworzyli drzwi powozu. Amanda wysiadła ostatnia, potem zaczęła wchodzić po imponujących kamiennych schodach, rzucając okiem na ogromną fontannę pośrodku podjazdu i na geomet-

ryczny ogród po bokach. Przy pałacu Harringtonów Harmon House wydawał się mały i kameralny. W asyście służby minęły ogromny hol z mnóstwem obrazów i przeszły do dużego salonu z trzema kryształowymi żyrandolami i z niezliczoną ilością stołów, stolików i krzeseł dla gości. Gdy zaanonsowano wejście hrabianki, Amanda zeszywniała, lecz kiedy w salonie pojawiła się nadzwyczaj elegancka blondynka, z miejsca się nią zachwyciła.

Blanche Harrington była śliczna jak z obrazka i choć jeszcze nie wypowiedziała słowa, Amanda wiedziała, że ma przed sobą uosobienie prawdziwej damy. Uśmiechając się serdecznie, hrabianka uściskała Mary de Warenne.

- Mary, jakże się cieszę, że cię widzę - powiedziała z niekłamana radością.

- Ja również jestem uszczęśliwiona, Blanche. Blanche odwróciła się i uśmiechnęła do Lizzie i Eleanor, obejmując spojrzeniem także Amandę.

- Tyle już czasu minęło, Lizzie! A ciebie, Eleanor, nie widziałam od dnia twojego ślubu!

Uściskały się.

Amanda drżała, zaciskała ręce, modliła się, żeby nie popełnić jakiejś strasznej gafy.

- Blanche, przedstawiam ci pannę Amandę Carre, podopieczną mojego syna.

- Witaj, moja droga. A więc Cliff de Warenne jest twoim opiekunem! Trudno o lepszego orędownika.

Od dawna jesteś w stolicy? - zapytała przyjaznym tonem Blanche.

Amanda próbowała się uśmiechnąć, ale była zbyt zdenerwowana.

- On jest wspaniałym opiekunem, milady. A w Londynie jestem dopiero od tygodnia.

- To cudowne miasto. Jestem pewna, że dane ci będzie poznać jego uroki.

Amanda pokiwała głową, zdając sobie sprawę z tego, że lady Harrington chce z nią porozmawiać. Czy powinna coś powiedzieć? Miała gonitwę myśli. Nie chciała paplać o pogodzie, bo to by było głupie.

- Ma pani piękny dom, milady. Uważałam, że Harmon House jest duży, ale ten jest jeszcze większy. -

Trzęsa się cała. Czy zwróciła się do niej poprawnie? - To znaczy Wasza Wysokość - wyszeptala skonsternowana. Ledwie to powiedziała, przypomniała sobie z ostatnich lekcji, że w tej formie należy się zwracać tylko do księcia albo do księżnej. Zaczerwieniła się.

Jednak Blanche Harrington zdawała się nie zauważyć jej faux pas.

- Dziękuję ci, moja droga. Lord Harrington, mój ojciec, zbudował tę posiadłość przed wieloma laty.

Najbardziej lubię ogrody.

Bojąc się ośmieszyć, Amanda odczekała chwilę, po czym wyrzuciła z siebie:

- Czy ma pani ogród różany?

- Oczywiście. Chcesz zobaczyć? - Wyciągnęła rękę.

- Tak, kocham róże. - Wreszcie trochę zapanowała nad tremą.

- Może więc wszyscy udamy się na spacer? Jest śliczna pogoda. Po powrocie zjemy podwieczorek.

Kiedy damy ruszyły w stronę drzwi tarasowych, Amanda była tak oszołomiona, że przez chwilę nie mogła się ruszyć. Wiedziała, że zdała swój pierwszy egzamin w towarzystwie. Głęboko odetchnęła i dołączyła do pań.

- Cliff! - zawołała Eleanor z miną niewiniątka, co nie przyszło jej łatwo. Nie mogła się doczekać, żeby dokuczyć bratu.

Siedział w bibliotece przy biurku pogrążony w papierkowej robocie. Podeszła do niego z kartką w ręku.

Na jej widok uśmiechnął się i wstał.

- Nie słyszałem, kiedy wróciłaś. Jak poszło? Nadal udawała niewiniątko.

- Och, świetnie! Matka odpoczywa przed kolacją... pozostali również. Mogę na słówko?

Skrzywił się, wychodząc zza biurka.

- Jak tam Amanda? Udała się wizyta? - Gdy Eleanor zbyła pytanie tajemniczą miną, rzucił niecierpliwie: - Nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę!

- Ty i cierpliwość! - Roześmiała się. - To był

dobry pomysł, żeby na początek odwiedzić Blanche. Spotkanie okazało się sukcesem. Amanda może nie zdaje sobie z tego sprawy, ale zachowywała się spokojnie i z gracją, nawet jeśli się bała. Zrobiła jedno faux pas, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Jest zdolna i da sobie radę w towarzystwie.

- Tak się cieszę. - Cliff odetchnął z ulgą.

- Tylko że nie wszyscy są tacy mili jak Blanche. Naokoło roi się od hien! Nawet nie wiesz, z jaką wyższością patrzą na mnie niektóre damy tylko dlatego, że jestem Irlandką. Co gorsza, chociaż jestem córką hrabiego, zdarzali się w towarzystwie rozpustnicy, którzy poczynali sobie wobec mnie całkiem bezkarnie. - Robiła wszystko, żeby nie uśmiechnąć się od ucha do ucha.

Cliff zmarszczył gniewnie czoło.

- Ochronię Amandę przed każdym zbereźni-kiem, który ośmieli się choć raz rzucić na nią okiem.

Z coraz większym trudem utrzymywała powagę.

- Naprawdę z wielką powagą traktujesz swoją rolę.

- Oczywiście - warknął, wyraźnie poirytowany. Wtedy dostrzegł dokument w jej ręku. - To dla mnie?

Eleanor wreszcie parsknęła śmiechem.

- Masz tu listę konkurentów.

- He?-Spojrzał na nią, jakbymówiła po chińsku. .

- Chcesz zobaczyć, kto na niej jest? Wyrwał jej kartkę.

- Tu są tylko cztery nazwiska!

- Dopiero pierwsze cztery, które mi przyszły do głowy. Cóż, chociaż ją wyposażasz, i tak nie uczynisz z niej wielkiej dziedziczki. Możemy utrzymywać, że jej rodzina ma saksońskie korzenie, ale nie mamy na to dowodu. Próbuję znaleźć dla Amandy idealnego męża. Bo chyba życzysz jej jak najlepiej i chcesz, żeby zaznała szczęścia w małżeństwie. Ponurym wzrokiem spojrzął na kartkę.

- John Cunningham? Któż to taki?

- Wdowiec, baronet. Ma niezbyt dochodową posiadłość w Dorset, ale jest młody i przystojny, no i podobno jurny, bo z pierwszą żoną spłodził dwóch synów. Ma...

- Nie.
  - Co proszę? - Eleanor udała zdziwienie.
  - Kto jest następny?
  - Co ci się nie podoba w Cunninghamie?
  - Jest zubożały - fuknął Cliff. - I chce mieć tylko matkę dla swoich synów! Następny?
  - Doskonale. - Naburmuszyła się. - William de Brett. O, ten ci się spodoba! Skromny, ale pewny dochód w wysokości tysiąca dwustu funtów rocznie. Pochodzi ze świetnej rodziny, wprawdzie bez tytułu, ale ma normańskich przodków. Myślę...
  - Nie. Absolutnie nie.
  - Jak to? - Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. - Amanda mogłaby żyć skromnie, ale dostatnio za swoje i męża dochody. Znam de Bretta. Kobiety mdleją z zachwytu na jego widok. Cliff zmroził siostrę wzrokiem.
  - Jego majątek jest na granicy akceptacji, poza tym de Brett nie ma tytułu. Amanda wyjdzie za mężczyznę, w którego żyłach płynie błękitna krew.
  - Naprawdę?
- Spojrzenie Cliffa było lodowate i groźne.



- Naprawdę. A któż to taki ten Lionel Camden? Rozpromieniła się.
- Chyba najlepszy z całej czwórki. Ma tytuł barona. Nigdy nie był żonaty, ale ma siedmioro dzieci. Podobno ma ładny dom w Sussex i niezłe dochody. Około dwóch tysięcy rocznie.

Cliff był bliski apopleksji.

- Więc to rozpustnik!
- Sam masz nieślubne dzieci!
- Bo jestem rozpustnikiem! Następny. Zatkąło ją.
- Następny?
- Amanda nie poślubi rozpustnika. Jej mąż będzie wobec niej lojalny.
- Więc może jednak de Brett? Jest bardzo przystojny i na pewno zakocha się w Amandzie.
- Kim jest Ralph Sheffeild?

Najlepszego zachowała na koniec. Nie można mu było nic zarzucić.

- Uhonorowany za zasługi wojenne, najmłodszy syn hrabiego. Rodzina jest bardzo zamożna, może do woli przebierać wśród kandydatek. Nie jest rozpustnikiem. Byłoby wspaniale, gdyby Amanda zrobiła na nim wrażenie!
- Skąd wiesz, że nie jest rozpustnikiem?
- Wiem, jaką ma reputację.
- Musi być rozpustnikiem, w przeciwnym razie byłby żonaty. Czy ma metresę?
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Więc pewnie woli mężczyzn - triumfalnie oznajmił Cliff.
- Co też ci przyszło do głowy!
- Po prostu jest zbyt idealny. To jest podejrzane. Jeżeli nie chodzi o preferencje seksualne, to może uprawia hazard?

- Nie jest szulerem. - Z największym trudem utrzymała powagę. Nie miała pojęcia, czy Sheffield gra, czy nie. - Aha, wiem, że lubi kobiety. Jestem tego pewna. Poznałam go osobiście. Jest w sam raz dla Amandy!

Podarł kartkę na drobne kawałki.

- Cliff! Co ci się w nim nie podoba?

- Nikt nie jest doskonały - odparł z filozoficzną zadumą. - Musi coś ukrywać.

- Nie możesz odrzucić wszystkich!

- Mogę i zrobię to, dopóki nie znajdę odpowiedniego kandydata. Sporządź następną listę - rozkazał jak kadetowi na pokładzie i odszedł.

Eleanor cisnęła w niego książką i trafiła w plecy. Odwrócił się.

- Co ci strzeliło do głowy?

- Och, powiedzmy, że chciałam ci dać nauczkę. A nawiasem mówiąc, wszyscy trzymamy kciuki za Amandę.

Ktoś z tyłu zakaszłał. Eleanor spojrzała tam i krzyknęła:

- Sean!

Wysoki przystojny mężczyzna podszedł do niej i wziął ją w ramiona.

- Niespodzianka - powiedział miękko i upomniał się o pocałunek.

## **Rozdział czternasty**

Jak to możliwe, że wizyta u Blanche Harrington wypadła tak dobrze? - zastanawiała się Amanda. Konwersowała z prawdziwą damą, która ani razu nie potraktowała jej protekcjonalnie. I ani razu nikt nie odezwał się do niej drwiąco!

Pomyślała o swoim opiekunie i o tym, ile mu zawdzięcza. Naprawdę zaczęła wierzyć, że zostanie damą. Jej życie zmieniło się gruntownie, stało się porywające. Zdarzało się jeszcze, że tęskniła skrycie za Cliffem de Warenne'em, ale nie cierpiała już tak bardzo.

Rozległo się pukanie do drzwi. Poderwała się na nogi, wygładziła suknię, tę samą, którą miała podczas wizyty u Blanche, i poszła otworzyć.

- Pomyślałem, że mógłbym ci towarzyszyć w drodze na kolację - powitał ją z uśmiechem Cliff.

- Słyszał pan? - spytała rozemocjonowana. Dotknął jej ramienia.

- Tak. Słyszałem, że odniosłaś sukces. - Oczy mu błyszczały.

- Był pan w Harrington Hall?

- Byłem.

- Lady Harrington mieszka jak królowa, Cliff! - Nie posiadała się z radości, że może podzielić się z nim swoim zwycięstwem. - Pytała mnie o wiele rzeczy... mnie pytała! Jakby ją naprawdę obchodziło, co mam do powiedzenia! I spacerowaliśmy po jej pięknym ogrodzie. Ona jest naprawdę wielką damą! Szli korytarzem.

- Bardzo się cieszę. Sama widzisz, że towarzystwo nie jest tak straszne, jak myślałaś - zauważył, kiedy schodzili po schodach.

- Hrabina chce, żebyśmy poszły jutro po sprawunki na Bond Street i pospacerowały po Pall Mail. Co pan o tym sądzi? - Wszystko było takie nowe i pasjonujące. Prawie zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Z wyjątkiem Dulcei Belford. Choć starała się o tym nie myśleć, próbowała bagatelizować sprawę, każdego dnia przypominała sobie, że matka ją odrzuciła.

- Uważam, że powinnaś zobaczyć najciekawsze atrakcje Londynu. Obiecałem, że będę twoim przewodnikiem. Pamiętasz?

Serce Amandy podskoczyło jak szalone, ale z zupełnie innego powodu. W oczach Cliffa, który nie spuszczał z niej wzroku, dostrzegła szczery podziw.

- Tak, pamiętam. - Zerknęła na niego z ukosa. Prawie z nim flirtowała, ale jeszcze nigdy nie czuła się taka śliczna jak właśnie teraz.

- Zaczekajmy z tym do powrotu z Ashford. - zaproponował.

Zauważyła, że Cliff ma lekko różowe policzki, czuła, że działa na jego zmysły. I nagle usłyszała, jak chłopcy ryczą ze śmiechu, a ktoś, pewnie, Ariella, krzyczy wniebogłosy.

- Alex za bardzo się rozbrykał. Razem z Nedom i Michaelem wkrótce sterroryzują cały dom!

- Oni się bawią - szepnęła, licząc na to, że Cliff nie potraktuje ich zbyt surowo. Najważniejsze, że nigdy nie dostaną batów za swoje psoty. Szczęściarze! - Kiedy moglibyśmy obejrzeć Ashford?

- Myślę, że pojutrze.

W holu pojawili się rozdokazywani Alex i Ned oraz Rex, który próbował ich złapać.

- Co znowu nabroili?

- Wsadzili Arielli ropuchę pod sukienkę. Będą za karę przerabiać od początku lekcje - powiedział stanowczym głosem Rex.

- Świetny pomysł - uznał Cliff, patrząc chłodno na syna. - Zastanawiam się, chłopcze, czy nie odesłać cię statkiem na wyspę, żebyś dwa razy się zastanowił, zanim z kuzynem zaczniesz torturować siostrę albo dopuścisz się innych skandalicznych wybryków!

Alex zrobił się biały jak płótno.

- Odeślesz mnie na wyspę... - jęknął.

- Czy jutrzejszy dzień ci odpowiada?

- Obiecuję, że będę grzeczny! - zawołał Alex. Ned wysunął się do przodu.

- Sir, to moja wina - powiedział z poważną miną. - To ja namówiłem Aleksa. Jeżeli kogoś należy ukarać, to mnie. Proszę go nie odsyłać na wyspę!

- No, zobaczymy. Tymczasem po odrobieniu lekcji możecie napisać do Arielli list ze szczerymi przeprosinami.

Chłopcy kiwnęli głowami i pognali na górę.

- Należało im się. - Rex uśmiechnął się do Amandy. - Czy mogę ci towarzyszyć do jadalni, panno Carre? Z pewnością moja obecność będzie ci miłsza niż tego egoisty, mojego brata. Przy okazji opowiesz mi o wizycie u lady Harrington.

Amanda uśmiechnęła się uroczo i bez wahania stanęła u boku Reksa.

- Z największą przyjemnością, sir. - Zerknęła na Cliffa, szukając u niego aprobaty dla swojego nowego wcielenia.

- Brawo - szepnął. Poczwała się dumna jak paw.

Amanda czytała książkę o historii Londynu, którą dał jej Michelle. Posuwała się z trudem, często musiała korzystać ze słownika, ale była szczęśliwa. Uwielbiała czytać i z każdym dniem szło jej coraz lepiej.

Podskoczyła, kiedy drzwi otworzyły się na oścież i do pokoju wpadła podekscytowana Lizzie.

- Lizzie? Czy dom się pali?

Lizzie, zazwyczaj wzór opanowania, przeskakiwała z nogi na nogę.

- Musisz koniecznie zejść na dół. Jest tam moja siostra z mężem i ze znajomym!

Amanda słyszała już o Georginie, ekscentrycznej

siostrze Lizzie, i jej mężu Rorym, karykaturzyście z „Dublin Timesa”. Był znany z radykalnej politycznej satyry. Amanda rwała się do poznawania nowych ludzi, a jednocześnie wciąż bała się surowej oceny, z którą prędzej czy później się spotka.

- Chodź, na pewno ich polubisz! Są otwarci, mówią, co myślą, i mają bardzo ekstremalne poglądy. Będą próbowali przekonać cię do nich, przeciągnąć na swoją stronę. Georgie jest za Unią, a Rory uważa, że Irlandia powinna być niezależnym państwem. Pośpiesz się!

- Myślałam, że damy nie powinny dyskutować o polityce - ze śmiechem odparła Amanda.

- W zasadzie masz rację, ale w tej rodzinie wszyscy są pasjonatami. Pokochają cię tak samo jak ja. Przy nich możesz być sobą.

Popatrzyła na swoją piękną suknię, przypomniała sobie o krótkiej, ale miłej rozmowie z Blanche Harrington i wszystkich uroczych kolacjach w Harmon House. Tak, nie mam czego się bać, pomyślała, wszystko można o mnie powiedzieć, tylko nie to, że jestem Dzikuską.

- Oto ona - zawołała Lizzie, wciągając Amandę do holu.

Wysoka, smukła szatynka natychmiast wysunęła się do przodu, a za nią przystojny blondyn.

- Tyle o tobie słyszałam i cieszę się, że nareszcie mogę cię poznać - powiedziała Georgina McBane. - Jak ci się podoba Londyn? Czy ma cię kto oprowadzić? Chętnie to zrobię.

Amanda była zaskoczona jej entuzjazmem. Ciepły uśmiech Georginy był szczery, a zainteresowanie jej osobą jak najbardziej autentyczne. Na tym kończyło się podobieństwo między siostrami.

- Cała przyjemność po mojej stronie - zdobyła się na banał Amanda, szykując się do złożenia ukłonu.

- Och, dajmy spokój tym formalnościom! - Georgina machnęła ręką. - Poza tym jestem zwykłą, nieutytułowaną panią McBane. Nie stoję wyżej od ciebie, panno Carre.

- A więc wreszcie mam zaszczyt poznać podopieczną Cliffa - skłonił się szarmancko jej mąż. - Wcale mu się nie dziwię. Cliff zawsze miał oko do pięknych dam!

Amanda zaczerwieniła się. Przystojny Rory najwyraźniej z nią flirtował.

- Cliff jest bardzo uczynny, tak jak cała rodzina

- powiedziała. - Gdyby się mną nie zajął, najpewniej zostałabym odesłana do sierocińca. - Zbyt późno zdała sobie sprawę, że się zagalopowała, bo Georgina i Rory wymienili spojrzenia.

- No cóż, Cliff de Warenne zapewne jest człowiekiem honoru, ale raczej nie słynie z bezinteresowności - skwitowała cierpko Georgina.

- A właśnie, mam nadzieję, że wreszcie zobaczę tego łobuza.

Trzecia z przybyłych osób stała w tyle za Georgie i Rorem, prawie w cieniu. Amanda odwróciła się do gościa. Napotkała parę szmaragdowych oczu w oprawie gęstych czarnych rzęs. Piękne oczy nieznajomego wpatrywały się w nią. Serce jej podskoczyło.

W podobny sposób często patrzył na nią Cliff.



- Nasz przyjaciel, Garret MacLachlan - przedstawił go Rory. - Garret, poznaj pannę Carre. Amanda wyprostowała się i... oblała rumieńcem. Garret MacLachlan nie odrywał od niej oczu. Dostrzegła w nich zachwyty i autentyczny podziw.
- Niewiarygodne! Najpierw wczorajszy sukces, a teraz wizyta młodzieńca o czarującym wyglądem. Miała ochotę uszczyptać się, by sprawdzić, czy nie śni na jawie.
- Miło mi, sir - powiedziała.
- Zdaje się, że straciłem rozum - odparł z silnym szkockim akcentem, który w jego wykonaniu zabrzmiał uwodzicielsko. - Panno Carre, to dla mnie przedziwny zaszczyt. Podobno pochodzi pani z wysp?
- Tak, rzeczywiście, ale niedawno zmarł mój ojciec, więc wolałabym... - Wiedziała, że musi unikać rozmów o swojej przeszłości, bo mogłaby zdradzić niechcący coś, co powinno pozostać tajemnicą.
- Nie wiedziałem. Przepraszam! - sumitował się. - Pani uroda mnie urzekła - dodał. - Żadna Angielka pani nie dorówna.
- Amanda zaczerwieniła się, myśląc o swojej skórze opalanej od słońca i wichru. Gdyby MacLachlan znał prawdziwy powód jej hożego wyglądu, pewnie patrzyłby na nią inaczej!
- Angielki są bardzo piękne, a te damy - wskazała Lizzie i Georginę - są tak dobrze ubrane i takie eleganckie. Chciałabym kiedyś tak wyglądać.
- Po co? - spytał zdumiony. - To raczej one powinny naśladować panią.
- Mam nadzieję, że tego nie zrobią! - Rozbawił ją taki komplement. - A gdyby pan widział, jak ja źle tańczę, na pewno zmieniłby pan zdanie.
- Mogę się założyć, że pani taniec jest równie wyjątkowy jak kolor pani oczu. Są szmaragdowe jak irlandzka wiosna.
- Zdumiona doszła do wniosku, że MacLachlan ją uwodzi.
- Może któregoś dnia opowie mi pani o Indiach Zachodnich? Nigdy nie byłem za oceanem.
- Chętnie, sir.

- A może byśmy pospacerowali po ogrodzie? Opowiem pani o mojej ojczyźnie. W porównaniu ze Szkocją Londyn to tropiki.

Nie wiedziała, co robić. Powiedziano jej, że dżentelmen, który zaprasza damę na przechadzkę, ma wobec niej poważne zamiary, o ile nie jest łajdakiem. Zerknęła na Lizzie.

- Idź, kochanie, i baw się dobrze. Garret jest dżentelmenem i zna wiele ciekawych anegdot.

Podał jej ramię. Zawahała się. Biorąc pod rękę Garreta, poczuła się tak, jakby zdradzała Cliffa.

Powiedział jednak wyraźnie, że szuka dla niej męża. Może się ucieszy, kiedy mu wspomni, że Garret MacLachlan jest potencjalnym kandydatem.

Już miała położyć dłoń w zagięciu jego ramienia - tak jak uczył ją monsieur Michelle, kiedy pojawił się jej opiekun.

- Czy ja dobrze słyszę? - Podszedł do nich z groźnym błyskiem w oczach. - Z kim mam przyjemność?

- zapytał oziębłe gościa.

Lizzie wpadła między nich.

- Cliff, to jest Garret MacLachlan, syn hrabiego Baina.

Protekcjonalnym wzrokiem zmierzył Garreta od stóp do głów.

- A kim pan jest? - odparował Garret.

- Jestem opiekunem panny Carre - oznajmił Cliff. - I nie przypominam sobie, żebym zezwolił panu na spacerowanie z nią sam na sam na dworze.

- Cliff- zaprotestowała Amanda, zdumiona jego zachowaniem.

Jednak jakby jej nie słyszeli.

- Więc jest pan opiekunem panny Carre? - MacLachlan również zmierzył Cliffa od stóp do głów. -

Jestem dżentelmenem, sir, i poprosiłem pańską podopieczną o pokazanie mi ogrodu. Nie sądziłem, że na niewinną przechadzkę potrzebne jest pańskie pozwolenie.

Cliff spochmurniał, zmierzył wzrokiem Amandę.

- No to teraz pan wie - zakomunikował. Rory złapał go za ramię.

- Cliff! Ręczę za prawość Garreta. Nie masz się czego obawiać, zwłaszcza że Georgie i Lizzie też postanowiły zaczerpnąć powietrza. - Uśmiechnął się promiennie, jakby chciał rozpędzić chmury. .

Wyglądało na to, że za chwilę Cliff wyciągnie sztylet zza pasa. Zmitygował się jednak, spojrzał dziwnie na Amandę, potem groźnie na Garreta i odwrócił się na pięcie.

- Czy on zawsze jest taki opiekuńczy? - zapytał Garret Amandę, kiedy wszyscy ochłonęli. - Nie miałem niecných zamiarów!

- Jest bardzo opiekuńczy - powiedziała kategorycznym tonem, niezłomnie stając po stronie Cliffa. -

Mnie to nie przeszkadza. Gdyby nie on, nie byłoby mnie tutaj. - Gdy Garret, który nic o niej nie wiedział, spojrzał na nią badawczo, dodała, siłąc się na swobodny ton: - Przywiózł mnie do Londynu na własny koszt, sir, za co jestem mu bardzo wdzięczna. Nie wiem, dlaczego jest zły, ale wiem na pewno, że mu to minie. A teraz, o ile nadal życzy pan sobie wyjść na dwór, chętnie pokażę panu ogrody hrabiny. Nie byłam w Szkocji i chciałabym dowiedzieć się wszystkiego o pana kraju.

- Zatem mam nadzieję, że poświęci mi pani cały dzień - wyszeptał.

Z okna saloniku Cliff obserwował Amandę i Mac-Lachlana. Gardził nim i nie zamierzał zastanawiać się, dlaczego. Amandzie najwyraźniej spodobał się adorator. Cliff od razu dostrzegł w nim groźnego rywala. Nie tylko był bardzo przystojny. Był również człowiekiem, który wywalczył swoją pozycję pięściami, dowcipem i szablą. Miał silny charakter, tytuł i pewność siebie, co rzucało się w oczy. Spacerowali ponad godzinę, ramię przy ramieniu. Cliff najchętniej by ich rozdzielił. Co za dużo, to niezdrowo! Przekonywał siebie samego, że nie jest zazdrosny. Właśnie zamierzał wypaść z domu i położyć kres temu absurdalnemu flirtowi, kiedy rozdzielili się, stanęli naprzeciw siebie i... Cliff natychmiast się zorientował, że zanosi się na pocałunek. Sięgnął po sztylet i ruszył w stronę tarasowych drzwi.

- Hola, hola, przyjacielu - powiedział Sean,

wchodząc do pokoju razem z Reksem. - Czyje to gardło zamierzasz poderżnąć?

Cliff przystanął, ale nie odrywał oczu od pary, która jeszcze się nie objęła.

- Kimże, do diabła, jest ten Garret MacLachlan, poza tym że jest Szkotem?

Rex zachichotał.

- Jest synem hrabiego.

Obaj z Seanem zastąpili Cliff owi drogę.

- Ach, zaczynam rozumieć - oznajmił Sean. - Czy on zaleca się do panny Carre?

Cliff aż sapnął z furii.

- On jest zubożały... ma wytarte ubranie.

- Jest synem hrabiego - ze śmiechem przypomniał Rex.

- Na pewno kradnie bydło sąsiadom - upierał się Cliff.

- On jest Szkotem - wtrącił Sean - a nie złodziejem bydła.

- Na jedno wychodzi! - pieklił się Cliff. - A teraz wybaczcie.

- Co ci się nie podoba? - zadrwił Sean. - Boisz się, że prześpią się przed ślubem? Może MacLachlan szuka żony. Elle mówiła, że szukasz męża dla panny Carre. Więc co, jeśli mamy do czynienia ze szczęśliwym zrzędzeniem losu?

- Ona nie wyjdzie za Szkota - wycedził Cliff i pognał do ogrodu.

Po chwili był u celu.

- Amando, hrabina pragnie zamienić z tobą słowo - skłamał.

- Oczywiście. - Jak na gust Cliffa, uśmiechnęła się zbyt słodko do Garreta. - Dziękuję za uroczy spacer i za informacje. Odnoszę wrażenie, że Highlands to bardzo piękne miejsce.

- Nie znam równie pięknej krainy. Żałuję, że nasz spacer dobiegł końca, panno Carre. - MacLachlan skłonił się nisko. - Jestem zachwycony ogrodem... i pani towarzystwem.

- Ja również, sir - wdzięczyła się, po czym dygnęła i pośpieszyła w stronę domu, nie oglądając się ani razu.

Za to Garret wpatrywał się łakomie w jej znikającą sylwetkę.

- Powiedz, jakie są twoje zamiary, MacLachlan - zażądał Cliff, jakby rzucał rękawicę.

Dla pana jestem lordem MacLachlanem. A nawiasem mówiąc, pańska reputacją nie przemawia za panem. Jestem zgorszony, że właśnie pan jest prawnym opiekunem panny Carre.

- Nie obchodzi mnie pańskie zgorszenie, MacLachlan. Zadałem panu pytanie i oczekuję odpowiedzi.

- Ma pan szczęście, że szczerze podziwiam pańskiego ojca, hrabiego Adare'a - odparł pogardliwym tonem.

- Naprawdę? Bo gdyby nie, to co?

- Udzieliłbym panu lekcji dobrych manier. Cliff zaśmiał się, ciesząc się na myśl o nieuchronnej potyczce.

- A ile ty masz lat, mój chłopcze? Jakoś nie widzę, żebyś się kwapił do wypróbowania swoich sił na mnie.

- Mam dwadzieścia cztery lata. Wiem, że nie ma

pan sobie równych na otwartych wodach, ale i ja walczyłem na lądzie i na morzu. Nie boję się pana!

- A powinieneś, bo nie jesteś tu mile widziany.

- Zamierzam spotkać się ponownie z pańską podopieczną. Jest cudowna, jak powiew świeżego powietrza w tym dusznym mieście.

- Sugeruję, żebyś zażył świeżego powietrza w Szkocji.

Ręka Garreta spoczęła na rękojeści sztyletu, który nosił u boku.

- Moim ojcem jest hrabia Bain, Aleksander Żelazne Serce. Jestem kawalerem. Będę się starał o rękę panny Carre. Nie może mi pan zabronić.

- Mogę i właśnie to robię. Amanda nie zostanie rzucona na pastwę barbarzyńskiemu Szkotowi. Poza tym widać gołym okiem, że jest pan łowcą posagów.

MacLachlan poczerwieniał ze złości.

- O ile wiem, wiano panny Carre jest skromne. Gdybym był łowcą posagu, nie prosiłbym o pozwolenie zalecania się do pańskiej podopiecznej.

- Ach, więc jednak chodzi o konkury? Więc znasz moje zdanie. I nie zmienię go.

Garret, czerwony z wściekłości i zdumiony zarazem, popatrzył na Cliffa.

- Jesteś Irlandczykiem - powiedział na koniec. - Do licha, jesteśmy braćmi!

- Moi bracia znajdują się w tym domu. - Cliff wskazał na pałac. - To moje ostatnie słowo. Żegnam.

Z satysfakcją spoglądał na powoli oddalającego się Szkota.

## **Rozdział piętnasty**

Dulcea Belford, przybierając miły uśmiech, zatrzymała się przed frontowymi drzwiami Harmon House. Obciągnęła kusy żakiet i ujęła rączkę kołatki.

Jej córka przebywa od ponad tygodnia w mieście, a ona nawet nie rzuciła na nią okiem. Wprawdzie wpadła wczoraj na przyjęcie do Blanche Harrington i dowiedziała się, że Amanda złożyła jej wizytę w towarzystwie hrabiny Adare. Nie zdziwiło jej to. Wszyscy wiedzą, że hrabina utrzymuje dobre stosunki z damą, która omal nie została jej synową.

Była wściekła na de Warenne'a. Nie tak dawno próbowała go uwieść, co spotkało się z jego grzeczną odmową i co wówczas ją zdumiało, ale ostatnio zachował się wręcz skandalicznie. Miał czelność oświadczyć, że nią gardzi, jakby była cokolwiek winna Amandzie Carre! Skoro wychował ją ojciec, a jej sytuacja materialna nie jest satysfakcjonująca, winą należy obarczyć Carre'a, nie ją!



Do tego wszystkiego de Warenne, słynny uwodziciel i kochanek, zainteresował się jej córką. Miała poważne wątpliwości, czy człowiek o takiej reputacji może być odpowiednim opiekunem jakiegokolwiek młodej kobiety, przy tym skończonej piękności, jak twierdzi Blanche.

Czuła, że lady Harrington osłania Amandę. Tylko dlaczego? Bóg jeden raczy wiedzieć.

Zamierzała dojść prawdy. Jednak nawet jeśli Cliff sypia z podopieczną, a Blanche w jakiś sposób interesuje jej los, to prawdziwie szokującą nowiną jest to, że Amanda ma posag. Podobno Carre zostawił jej w spadku niedużą, ale dochodową posiadłość niedaleko Ashton. To było jedyne logiczne wytłumaczenie plotek, które wiązały ten majątek z panną Carre.

Zwilżyła wargi. Odkąd dowiedziała się o posagu, zrewidowała swoje nastawienie do Amandy. Życie na kredyt jest potworne.

Nie odważyłyby się otwarcie uznać jej za córkę. Rozważała możliwość podania jej za swoją kuzynkę, ale gdyby Belford poznał prawdę, wyrzuciłby ją natychmiast. Z drugiej strony jest biologiczną matką Amandy i jako taka powinna być wciągnięta w jej plany na przyszłość. Dulcea zżymała się na myśl o płaszczeniu się przed Cliffem de Warenne'em, ale musi go przekonać, że jako matka ma prawo uczestniczyć w decyzjach dotyczących córki.

Uważała, że ten pomysł okaże się niezawodny. Gdyby nakryła Cliffa w łóżku z Amandą, mogłaby szantażem zmusić go do przekazania jej kontroli nad posiadłością.

Odźwierny wprowadził ją do salonu i wziął od niej kartę wizytową.

Słyszac zbliżające się kroki, zmieniła wyraz twarzy na skromny i uwodzicielski. Na początek będzie uwodzić, a jeżeli ten chwyt zawiedzie, ucieknie się do szantażu.

Cliff wkroczył do salonu i zamknął za sobą drzwi.

- Nie będę owijał w bawełnę, lady Belford. Nie jest pani tu mile widziana.

Jej uśmiech znikł, podobnie jak przyjemność z oglądania tak wspaniałego mężczyzny. Z trudem opanowała złość.

- Milordzie, dzień dobry, mimo wszystko - szepnęła słodko.

- Czy muszę się powtarzać? Nie jest pani mile widziana w tym domu.

Wyprostowała się jak struna. Nikczemnik!

- Moja córka tu mieszka, Cliff. Przykro mi z powodu naszego ostatniego spotkania. Przychodzę, żeby pana przeprosić i zapytać, jak jej się wiedzie. - W pięknych oczach Dulcei pojawił się zły błysk.

- Coś podobnego! Jeszcze niedawno nie chciała pani nawet jej widzieć!

- Przemyślałam to i chcę się z nią spotkać. Rozważam możliwość przedstawienia jej jako mojej kuzynki, ale boję się Belforda. - Położyła dłoń na jego przedramieniu. Wzdrygnął się, co odebrała z satysfakcją, uznając, że nie jest nieczuły na jej wdzięki. - Cliff, tak strasznie żałuję! Ona jest moją córką i pragnę pomóc jej wejść do towarzystwa. Oczywiście dyskretnie. - Uśmiechnęła się i zatrzepotała rzęsami.

Cofnął się z obrzydzeniem.

- Złamała pani serce Amandzie, a teraz chce się nią pobawić? Zdumiewająca zmiana, madame.

Uwiedzenie Cliffa nie będzie łatwe, doszła do wniosku. Najgorsze słowa cisnęły jej się na usta, jednak kontynuowała grę.

- Dałby pan spokój, Cliff. W jaki sposób mogłam złamać jej serce? Przecież nie znam jej ani ona mnie.

- Carre był pewny, że kocha ją pani, madame. Pani odrzucenie pograżyło ją w bezgranicznym smutku. Jest wobec niej bardzo opiekuńczy, pomyślała z zazdrością. Czy on z nią sypia?

- To znaczy, że jest podobna do ojca. Złamałam mu serce, choć wcale tego nie chciałam. Carre miał słaby charakter.

- Amanda jest najsilniejszą kobietą, jaką znam. Przejdźmy do rzeczy. Czego pani naprawdę chce?

- Jak już powiedziałam, chcę panu pomóc ogładzić towarzysko Amandę. Do jakiego stopnia jest nieokrzesana? - zapytała, choć jej to nie obchodziło. - Czy można ją wprowadzić do prawdziwej socjety? Bo jeśli nie, to obawiam się, że nie znajdziemy dla niej kandydata na męża.

- Nie istnieje żadne my, lady Belford, i nie chcę pani widzieć w pobliżu Amandy. Bardziej ufam żmii niż pani, by postawić sprawę jasno.

- Och, Cliff... - Jakże go nienawidziła! Jakże marzyła o zemście!

- Nie przyszlaby pani tutaj, gdyby nie usłyszała o niewielkim majątku Amandy. Ma mnie pani za głupca? - Rzucił na nią mordercze spojrzenie. Plotki rozchodzą się szybko, pomyślał ze złością o swoim agencie. To z jego biura musiała wypłynąć wieść, że panna Carre nie jest jednak gołą jak święty turecki. Dulcea sięgnęła po ostatnią broń.

- Mam wszelkie prawo, by pomóc panu wprowadzić ją w wielki świat, sir. Mam nawet prawo podejmować decyzje, które wpłyną na jej przyszłość.

- Nie ma pani żadnych praw! - krzyknął.

- Od jak dawna sypia pan z nią, de Warenne? Wytrzeszczył oczy.

Zaśmiała się z dziką radością.

- Wiem, że ma pan z nią romans. Słyszałam, że jest piękna. Do niedawna wołał pan takie kobiety jak ja, lecz nagle zagustował pan w niewinnej młodości. I to niby ja jestem ta nikczemna? - prychnęła jak kot.

Bliski furii, podniósł ręce, jakby zamierzał rzucić nią o ścianę.

- Tak, jest młoda, bardzo młoda. Jest moją podopieczną, lady Belford! Zamierzam znaleźć dla niej męża.

Chociaż autentyczne oburzenie de Warenne'a wprowadziło Dulceę w zdumienie, podeszła jednak do niego tak blisko, że otarła się biustem o jego klatkę piersiową. Odskoczył jak oparzony.

- Jeśli wyjdzie na jaw, że wdał się pan w przygodę miłosną z panną Carre, zniszczy ją pan, Cliff. Chwyć ją za ramię, aż jęknęła z bólu, i popchnął na ścianę.

- Akurat! Nie śpię z Amandą! Dulcea zaśmiała się triumfująco.

- Nawet jeśli to prawda, kto panu uwierzy?  
- Jak pani śmie mnie szantażować! Czego pani właściwie chce?  
- Jestem jej matką! Powinnam pokierować jej przyszłością i sprawować kontrolę nad jej majątkiem.  
Puścił jej ramię.

- A więc miałem rację. Jest pani pozbawiona serca, przebiegła, a ja nie będę się zniżał do pani poziomu. A teraz proszę stąd wyjść!

- Ty bydlaku...

- Proszę wyjść - powiedział łagodnie - zanim panią wyrzucę.

Zatrzęsa się z wściekłości, ale widząc furię w jego oczach, wypadła z Harmon House i wsiadła do powozu.

- Jeszcze się zemszczę - poprzysięgła sobie. - Harris! - rzuciła do woźnicy. - Zawieź mnie do lady Ferris.

Baronessa Lidden-Way była największą plotkarką w mieście. Dulcea nie ośmieliłaby się rozgłaszać kłamstw, ale przecież skandal sam wyjdzie na jaw i nikt nie będzie w stanie udowodnić, że pogłoska wyszła od niej.

Amanda poruszała się lekko, ale ponieważ kazano jej wyciągnąć się jak struna i usztywnić kręgosłup, a do tego podczas walca trzymać książkę na głowie, nie nadążała za tancmistrem.

- Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy - podawał takt, ale zanim doliczył do końca drugiej frazy, książka upadła na podłogę.

- Panno Carre! Walc jest łatwym tańcem. Trzeba tylko opanować trzy podstawowe kroki i trzymać się prosto. Czy to takie trudne?

Zaczerwieniona Amanda podniosła książkę. Znała kroki, nie mogła tylko zrozumieć, jak można jednocześnie poruszać nogami i mieć unieruchomione plecy i głowę. Zawzięła się jednak. Damy muszą umieć tańczyć, i to dobrze. Wcześniej czy później opanuje ten taniec. Poza tym wszyscy w

rodzinie Cliffa mają nadzieję, że będzie gotowa na czas i weźmie udział w balu wydawanym co roku przez lady Carrington, do którego zostały już tylko tygodnie.

- Możemy zacząć? - spytał zrezygnowany pan Burns.

Amanda ułożyła starannie książkę na głowie, położyła rękę na ramieniu tancmistrza, a drugą na jego dłoni.

- Raz, dwa, trzy... Książka stuknęła o podłogę.

- Przepraszam! - Znów spiekła raka. Jeszcze nigdy nie czuła się taka niezdarna. Nagle... serce jej zamarło. Ku własnemu przerażeniu zobaczyła w drzwiach sali balowej Cliffa.

- Od dawna pan tu stoi? - zapytała niepewnie.

- Od paru minut. - Powoli ruszył w jej stronę. Nie odrywała od niego oczu. Miał w sobie coś władczego i jednocześnie zniewalającego. Jakże chciałaby mieć go za męża! Szybko jednak odeгнаła tę myśl. Był jej opiekunem, orędownikiem i przyjacielem, niczym więcej.

Kiedy jednak się zbliżał, wydawał się jakby urzeczony, jakby miał za chwilę wziąć ją w ramiona.

- Zademonstruję pani Carre walca, panie Burns. Może pan nas zostawić. - Wyjął książkę z jej rąk. -  
To piękny i elegancki taniec - wyszeptał.

Serce Amandy zabiło mocno...

- Naucz mnie pan walca? - Ileż to razy marzyła  
o zatańczeniu z nim na balu lady Carrington.

Z uśmiechem położył jej lewą rękę na swoim ramieniu, a następnie ujął prawą dłoń.

- Masz coś przeciwko temu? - zapytał łagodnie.

- Skądże znowu - szepnęła, świadoma faktu, że dzieli ich zaledwie cal.

Zaczęli tańczyć. Nagle okazało się, że ich kroki są lekkie i cudownie zsynchronizowane. Zdawało się,  
że podłoga ucieka pod stopami. Płynęli w tańcu niestrudzenie i bez wysiłku. To była prawdziwa  
magia. Ani razu nie pomyliła kroku, nie potknęła się

1 nie zachwiała. Jakby tańczyła z nim od zawsze.

Nie umiałyby powiedzieć, jak długo to trwało. Mogłyby tak tańczyć całe życie.

Nagle wzrok Cliffa powędrował za nią i ku jej zdziwieniu pomylił krok.

Krzyknęła, kiedy nadepnął jej na palce. Chwycił ją za ramiona, gdy omal nie upadła.

- Przepraszam! Bardzo przepraszam! - zawołał wystraszony. - Zabolało!

- Nic się nie stało. - Odwróciła głowę, żeby zobaczyć, co rozproszyło jego uwagę.

W drzwiach sali balowej stał wysoki, ciemny, imponujący mężczyzna we wspaniałym, iście królew-  
skim ubraniu. Nie uśmiechał się, tylko przyglądał im się uważnie. Domyśliła się, że ma przed sobą  
hrabiego Adare'a.

Zadrzała.

Hrabia obrzucił ją wzrokiem od stóp do głów i skierował się w ich stronę. Amanda modliła się, żeby ta lustracja wypadła korzystnie.

Cliff skłonił się ojcu z wielkim respektem.

- Milordzie, oto panna Carre. Amando, mój ojciec, lord Adare.

Złożyła najniższy ukłon, na jaki było ją stać, mając nadzieję, że dotknie nosem podłogi.

- Panno Carre, wiem o pani wszystko od żony i cieszę się bardzo, że została panna członkiem naszej rodziny - powitał ją z uśmiechem.

- Dziękuję, milordzie. - Ten wielki człowiek zdawał się naprawdę cieszyć z jej pobytu w ich domu!

- Mary bardzo cię polubiła, moja droga, więc i ja podzielam jej sympatię. Mam nadzieję, że masz wszystko, co trzeba, żeby czuć się u nas wygodnie i przyjemnie.

- Mam więcej niż trzeba, sir. - Doszła do wniosku, że za onieśmielającym wyglądem kryje się człowiek równie serdeczny i miły jak reszta rodziny.

Kiedy zwrócił się do Cliffa, jego uśmiech trochę przybladł.

- Tak się cieszę, że cię widzę, choć prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że zastanę cię tutaj.

- Przyspieszyłem trochę przyjazd ze względu na pilne sprawy handlowe. Przywiozłem z sobą Aleksa i Ariellę.

- Już widziałem twoje dzieci. - Hrabia rozpromienił się. - Alex przypomina mi ciebie, a Ariella to istny aniołek.



Cliff uśmiechnął się z dumą.

- Moja córka jest aniołem, do tego jest błyskotliwa, a co do Aleksa... no cóż, muszę przyznać, że jest trochę krnąbrny.

- Po kim on to ma? - Hrabia zaśmiał się, po czym zwrócił się do Amandy. - Nie widziałem syna półtora roku. Mam z nim parę spraw do omówienia. Wybaczysz nam?

- Oczywiście. - Ponownie dygnęła, tym razem w normalny sposób. - Milordzie, dziękuję za gościnę. Pański dom jest cudowny... Uwielbiam pańską rodzinę!

Znów się uśmiechnął, podobnie jak Cliff.

- A tak przy okazji, to pięknie tańczysz - rzekł z aprobatą.

- Byłem pewny, że okaże się wdzięczną tancerką - oznajmił z dumą Cliff, odprowadzając wzrokiem znikającą w drzwiach Amandę.

- Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby dwoje ludzi tak pięknie razem wirowało na parkiecie - zauważył hrabia. - Wyglądacie, jakbyście tańczyli walca całymi latami.

- Znamy się od paru miesięcy. - Spoważniał, zastanawiając się, do czego ojciec zmierza. - A żebyś ją zobaczył ze szpadą! Bez trudu by sparowała naszego Tyrella.

- Jesteś w niej zadurzony. - Hrabia uniósł brwi.

- Jest moją podopieczną, sir - odpowiedział zakłopotany Cliff. - Wprowadzam ją do towarzystwa. Jestem zadowolony z jej postępów.

- Panna Carre jest piękna i słodka. Nie wyobrażam jej sobie, jak wywija szpadą. Ona też zdaje się zadurzona w tobie. - Ton jego głosu był stanowczy, a nawet surowy.

- Dobrze nam się tańczyło walca. Dotąd nigdy nie tańczyła. Z pewnością hrabina opowiedziała ci historię jej życia.

- Twoja matka wspomniała o łączącej was sympatii. Jak dalece ona sięga?

- Ojczy, nie zapominaj, że nie jestem już czternastoletnim chłopcem.

- Nie zapominam. Cliff, ze wszystkich moich synów ty jeden zawsze brałeś konno najwyższe przeszkody. To ciebie, a nie Tyrella czy Reksa przyłapałem w łóżku z żoną człowieka, który był moim gościem. Tylko ty uciekłeś z domu, a miałeś zaledwie czternaście lat! Zawsze byłem dumny z ciebie, ale też często spędzałeś nam z Mary sen z powiek. Więc chyba rozumiesz, że niepokoję się o mojego najbardziej samowolnego i niezależnego syna!

- Nie musisz. Amanda jest moją podopieczną. Przyrzekłem, że zapewnię jej jasną przyszłość. Jako opiekun szukam dla niej męża.

- Spałeś z nią?

Cliff nie wiedział, co powiedzieć. Jeszcze nigdy nie okłamał ojca.

- Ona jest dziewicą. Nie odebrałbym jej cnoty, choć pokusa była wielka.

- Jednak byłeś z nią w łóżku. Mary ma rację.

- Staram się postępować zgodnie z nakazami honoru! - odparował Cliff. - Uratowałem ją przed motłochem, kiedy wieszali jej ojca. Oświadczyłem, że zostanę jej prawnym opiekunem, choć nie

musiałem. Mogłem ją zostawić bez grosza przy duszy na Jamajce! Miałem nadzieję, że połączę ją z matką, która jednak okazała się przebiegłą gnidą. Tak, byłem z nią łożku, ale pozostała niewinna, i to się już nigdy nie powtórzy.

- Wierzę, że masz taki zamiar, Cliff. Jestem dumny, że zaopiekowałeś się panną Carre. Postąpiłeś słusznie i szlachetnie. Mam też nadzieję, że ochronisz ją przed ewentualną kompromitacją. Widząc jednak, jak na nią patrzysz, i mając w pamięci twoje liczne przygody, miałem podstawy, by podejrzewać, że coś was łączy.

- Nie skompromituję Amandy, choć muszę przyznać, że jest niezwykle ponętna. A swoją drogą, gdybym jednak okazał się łajdakiem, to tego samego dnia ożenię się z nią.

- Więc takie są twoje zasady - skomentował po chwili zadumy hrabia.

- Sir, nie mam zamiaru z nikim się żenić. Wolę moje obecne życie. Zamierzam natomiast znaleźć dla Amandy odpowiedniego męża. Jest moją podopieczną. No i jesteśmy przyjaciółmi - dodał po chwili.

- Rozumiem... - Zabrzmiało to raczej sceptycznie. - Co byś powiedział na kieliszek wina?

- Z przyjemnością. Wyszli z sali balowej.

- Czy nigdy nie pomyślałeś, że możesz być w niej zakochany? - zapytał z uśmiechem hrabia.

- To wykluczone! - zaprotestował Cliff.

## **Rozdział szesnasty**

Minęli Ashton, urocze, typowo angielskie miasteczko, i po dziesięciu minutach znaleźli się na ślicznej wiejskiej drodze prowadzącej do posiadłości Ashford Hall. Kiedy jednak powóz skręcił na skąpo posypany żwirem podjazd i minęli dwa wyszczerbione ceglane filary bramy oraz kamienną tablicę z prawie nieczytelnym napisem, Cliff nie miał wątpliwości, że dwór znajduje się w opłakanym stanie. Spojrzał na Amandę, ona jednak wyglądała przez okno zaróżowiona z emocji. Zaklął pod nosem na własną krótkowzroczność. Gdyby wcześniej obejrzał posiadłość, nie przywoziłby jej tutaj. Jadący za nimi powóz wiozł Ariellę i Anahid, Michelle'a, pokojowca Cliffa, a także nową służącą Amandy. Alex uprosił ojca, aby pozwolił mu zostać w Harmon House. On i Ned stali się nierozłączni, a chłopiec przysiągł, że będzie słuchać stryjów i babki.

- Jesteśmy na miejscu - wyszeptała Amanda, która aż zachryła z wrażenia.

- Strasznie tu wszystko zaniedbane - zauważył zde gustowany Cliff.

Popatrzyła na niego tak rozpromienionym wzrokiem, jakby nie mogła doczekać się, kiedy wybiegnie z powozu i obejrzy dom. Nawet nie zdążył przygotować jej na najgorsze i powiedzieć, że znajdzie dla niej znacznie lepszą posiadłość, gdy otworzyły się drzwi. Zapominając o dobrych manierach, Amanda wyskoczyła z powozu. Ruszył za nią bez pośpiechu, kiedy zajechał drugi powóz, a równocześnie otworzyły się drzwi frontowe, z których wyszedł służący. Wyglądał nędznie w sfatygowanym i źle dopasowanym ubraniu.

Kiedy towarzystwo z drugiego powozu również wysiadło, podeszli do dworu.

Cliff został poinformowany, że rezydencję zbudowano w ubiegłym stuleciu. Kiedyś była otoczona murem, po którym nie został ślad. Dom miał dwie kondygnacje, obecnie wyglądał żałośnie.

- Milordzie. - Służący złożył ukłon.

Cliff natychmiast uznał go za pijaczynę, zresztą zaraz wyczuł zapach alkoholu.

- Panno Carre, to jest Watkins, jeśli dobrze pamiętam.

- Tak, nazywam się Watkins. Przygotowałem pokoje, żebyście mogli zostać tu na noc zamiast w miejscowej oberży. Żona szykuje kolację. Zdaje się, milordzie, że takie były pańskie oczekiwania?

- W porządku. Dlaczego ten teren jest taki zaniedbany?

- O ile mi wiadomo, ostatni właściciel zszedł z tego świata, a spadkobierca mieszka w stolicy. Chce sprzedać posiadłość bez ponoszenia kosztów remontu.

Cliff dał znak służącemu, żeby ich wprowadził do domu.

- Nie zniechęcaj się - powiedział do Amandy, biorąc ją za rękę.

Spojrzała na niego rozpromieniona, wyrwała się i pobięła za Watkinsem.

Idąc za nimi, wszedł do średniej wielkości głównego holu. Skrzywił się na widok pajęczyn. Ściany wymagały generalnego remontu, dwie belki stropowe były zbutwiałe, a drewniana podłoga mocno zniszczona i od lat niewoskowana. Pojedynczy stół na kozłach i sześć niepasujących do siebie krzesel

z wyblakłą i podartą tapicerką stanowiły całe umeblowanie holu. Cliff był wściekły na swojego agenta i służącego.

- Miał pan dwa dni na przygotowanie domu, Watkins.

- Milordzie, tu nie ma służby - odparł z urazą.

- Ja tylko doglądam posiadłości.

- Nie skorzystamy wieczorem z waszych usług

- oznajmił Cliff.

- Ależ milordzie...

- Możecie z żoną wziąć sobie wolny wieczór. Proponuję, żebyś zostawił nas samych - zasugerował Cliff łagodnym tonem, co oznaczało, że nie żartuje.

Watkins ulotnił się, a do holu wpadła Ariella i od razu zmarszczyła nosek.

- Faj! Tatku, tu śmierdzi! - Rozejrzała się dokoła.

- Kupisz to pannie Carre?

Dopiero teraz zorientował się, że Amanda gdzieś poszła.

- Oczywiście, że nie. - Uśmiechnął się do córki.

- Lepiej pobaw się na dworze, a ja sprowadzę pannę Carre. Zatrzymamy się w oberży.

- Tatku, ale ona tak się cieszyła na przyjazd tutaj! Powiedziała mi... będzie niepokieszona, jeżeli stąd wyjedziemy.

- Kochanie - wziął córkę na ręce - myślę, że panna Amanda z radością opuści to miejsce.

- Wcale nie. Ta posiadłość znaczy dla niej wszystko, tatku. Opowiedziała mi, jak odebrali jej dom na Jamajce. Tatku, ona nigdy nie miała prawdziwego domu!

- Lecz teraz mieszka z nami. Dziewczynka rozpromieniła się.

- No właśnie, to dlaczego nie może zostać z nami? Dlaczego Harmon House i Windsong nie mogą być jej domem?

Spoważniał.

- Na pewno wiesz, co to jest posag. Posiadłość ma być posagiem Amandy.

- Żeby mogła wyjść za jakiegoś dżentelmena. Wiem, co to posag. Tatku, czy jesteś szczęśliwy z panną Carre?

Zakłopotany postawił córkę na podłodze.

- Bardzo ją lubię. Ariella uśmiechnęła się.

- Bo ciągle na nią patrzysz i uśmiechasz się. Wyglądasz na bardzo szczęśliwego.

Cliff zamilkł. Czyżby córka odgadła, jakim uczuciem darzy swoją podopieczną?

- To ty mnie uszczęśliwiasz, kochanie - powiedział, by odwrócić jej uwagę.

- Kochasz pannę Carre? - nie ustępowała Ariella.

- Co też ci chodzi po głowie?

- Zastanawialiśmy się z Alekssem, czy nie mógłbyś się z nią ożenić, zamiast szukać dla niej męża, na przykład tego Szkota, którego tak nie cierpisz.

- Podśluchiwaliście?!

- Nic nie poradzę, że każdy w rodzinie mówi przy mnie o tobie i panie Carre. - Uśmiechnęła się figlarnie, by po chwili zrobić poważną minkę. - Nie miałabym nic przeciwko temu.

Spytał nerwowo:

- Przeciwno czemu?

- Żeby panna Carre została moją matką, tak samo Alex.

Zamilkł, bo nie znajdował słów. Ariella wyraźnie czekała na odpowiedź. Ukląkł, patrzyli sobie w oczy.

- Kochanie... pragniesz mieć matkę? Czyż nie jestem dobrym ojcem? Czy Anahid nie jest jak matka?

- Och, tatku, kocham Anahid i ona mnie kocha, ale nie jest moją mamą, tylko przyjaciółką. Poza tym ją zatrudniasz, tatku.

Dotknął jej policzka.

- Czy kiedykolwiek cię zawiodłem?

- Ależ skąd, jesteś najlepszym tatkiem na świecie! Naprawdę, ale bardzo lubię pannę Carre, a ty ją kochasz! Moglibyśmy być prawdziwą rodziną, tatku.



Cliff zadumał się nad słowami córki. A zaraz potem pomyślał o Garrecie MacLachlanie. Jeżeli nie pozwoli Amandzie poślubić Garreta lub innego konkurenta, decyzja spadnie na niego. A zatem musi wydać pannę Carre za kogoś prawego i z charakterem. Tyle że on nie chce się żenić! Sama myśl o tym go przerażała.

- Nie zamierzam się żenić z Amandą ani z nikim innym, Ariello - powiedział stanowczo. Przy tym serce zabiło mu mocno, ale nie dociekał przyczyny.

- Ojej! - Usteczka małej ułożyły się w śliczną podkówkę.

- Może poszłabyś na dwór i zaczekała tam chwilkę na nas?

Kiedy wyszła, musiał odczekać parę minut, żeby dojść do siebie.

- Cliff! Chodź tutaj szybko! - zawołała Amanda. Zastał ją w bibliotece przy drzwiach tarasowych. Na dwóch ścianach stały półki z książkami. Na podłodze leżał stary wschodni dywan, pośrodku stało proste biurko, a przy nim eleganckie, rzeźbione krzesło. Drzwi wychodziły na kryty łupkiem taras i altanę w oddali. Ostatnią ścianę zajmował kominek z pięknie rzeźbionym drewnianym gzymsem.

- Spójrz na ten pokój! - Miała łzy w oczach. Podbiegł do niej.

- Kocha... - Urwał skonsternowany, że omal nie powiedział „kochanie”. - Amando, ten dom nie jest dla ciebie. Zostaliśmy wprowadzeni w błąd. Znajdę ci inną posiadłość, zadbaną, gotową do zamieszkania.

- Nie widziałeś ogrodu różanego! - Wskazała oszklone drzwi. - Cliff, tam!
- Aha... - Zobaczył zapuszczony ogród z kwitnącymi krzakami róż.
- Cliff! - Złapała go za ręce. - Nie chcę innej posiadłości... Chcę Ashford Hall! Kocham to miejsce! Poszła obejrzeć górę. Schody przykrywał zniszczony chodnik. Nie widziała dziur ani rozdarć, widziała czerwoną wełnę, jej ulubiony kolor, wełnę bardzo drogą i szlachetną. Widziała pięknie rzeźbioną balustradę z poręczą, której cudownie gładkie drewno służyło ludziom od stulecia. Od godziny serce biło jak oszalałe. Dwór był taki piękny! Nie wyobrażała sobie wspanialszego domu. A bibliotekę i ogród różany pokochała od razu. Modliła się, żeby Cliff zaakceptował tę ofertę. Zatrzymała się na progu pierwszej sypialni. Zobaczyła łóżko z hebanowym, pięknie rzeźbionym baldachimem, z kapą w kolorze przydymionego złota i poduszkami. W oknie powiewały ciemnozłote zasłony, w rogu stało krzesło obite spłowiałym brązowym brokatem. Również i ten pokój ją urzekł. Cliff rozsunął aksamitną zasłonę. Zakłębiło się od kurzu. Kawałek materiału został mu w ręku. Amanda wiedziała, że nie polubił tego domu. Spojrzała na trawnik, który co prawda był strasznie zachwaszczony, ale bujny i zielony, i na uroczą altankę, która musiała być kiedyś biała.
- Tam jest staw! - krzyknęła.
- Tak, ale obawiam się, że zostały w nim tylko błoto i rześa.

- Można go napełnić świeżą wodą... i rybami!
- Oczywiście, Amando, ale czy naprawdę chcesz tę posiadłość?
- Jeszcze jak!
- Nie uważasz, że rozsądniej byłoby przyjrzeć się innym propozycjom?

Skrzyżowała ramiona na piersi.

- Cliff, powiedziałeś, że cena jest dobra, a na dodatek są tu trzy farmy. Bardzo mi się tutaj podoba. Jest tak cicho i spokojnie, i to jest takie... angielskie.

Zapatrzyła się na kwitnące róże, czerwone, żółte i różowe. Nie mogła się doczekać, żeby wziąć krzesło, wyjść na dwór, usiąść tam i poczytać książkę.

Dotknął jej ramienia.

- Możemy usiąść przed kolacją i zrobić listę koniecznych napraw i sprzętów.

Nie wierzyła własnym uszom. Czowała, że jeszcze chwila, a rozplynie się ze szczęścia.

- Czy to znaczy, że chcesz kupić dla mnie tę posiadłość?

- Skoro się upierasz...

Objęła go za szyję i mocno uściśnęła. Natychmiast wyczuła, jak bardzo jest podniecony. Takie przytulanie wciąż było niebezpieczne, co gorsza, wydawało się... czymś naturalnym. Nigdy nie zapomni ich walca. Od tamtego dnia wspominała go ze sto razy.

Tak bardzo cię kocham, pomyślała, ale zdążyła ugryźć się w język.

- Cliff, jak ci się odwdzięczę? - spytała cicho. Wysunął się z jej objęć.

- Pragnę tylko, żebyś była szczęśliwa.

- Jestem szczęśliwa. Przyjąłeś mnie do swojego domu, twoja rodzina jest taka dobra i gościnna, i nawet odniosłam sukces w towarzystwie. A teraz, dobry Boże, teraz jeszcze ten dom! Mój własny dom!

- Nagle posmutniała. Tak, być może dostanie Ashford Hall, ale wcześniej czy później czeka ją zamążpójście. Już czuła tę wieczną tęsknotę za Cliffem, ale z drugiej strony będzie miała własny dom,

a w końcu także cudowne dzieci. Chciała mieć takiego syna jak Alex i taką córkę jak Ariella. A ilekroć Cliff zawita do Londynu, spotka się z nim. W końcu to tylko pół dnia jazdy powozem.

- Chcę cię o coś zapytać - dziwnym głosem powiedział Cliff.

- Tak?

- Chcesz się spotkać ponownie z Garretem MacLachlanem?

- Oczywiście. To miły i pełen galanterii dżentelmen, podobnie jak ty. - Naprawdę czuła się dobrze w jego towarzystwie, nawet jeśli odniosła wrażenie, że w jakiś sposób zdradza Cliffa. -1 jest przystojny.

- Zabroniłem mu spotykać się z tobą, Amando

- wyznał z niechęcią - ale to kawaler do wzięcia. Jest też pierworodnym synem hrabiego. Nie należy do bogaczy, ale ma prawy charakter, no i ten tytuł.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Przeraziła się nie na żarty. - Chcesz mnie za niego wydać?!

- panikowała. To za wcześnie, nie była jeszcze gotowa!

- Nie znam jego matrymonialnych planów, ale wywarłaś na nim ogromne wrażenie. Pewnie nosi się z takim zamiarem.

- Nawet go nie znam. - Garret MacLachlan jest podobny do Cliffa, ale nie jest Cliffem! Ugięły się pod nią kolana.

Podtrzymał ją w porę.

- Staram się postępować zgodnie z honorem

- wycedził. - MacLachlan jest Szkotem, ma tytuł i jak myślę, zadba o ciebie. Będziesz musiała żyć skromnie, jednak jego niewielkie dobra i dochód z Ashford Hall zapewnią wam bezpieczeństwo.

Przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków.

- Szkocja znajduje się daleko stąd, prawda?

- Tak, a posiadłość MacLachlana położona jest na zachodzie. Statkiem można się tam dostać w ciągu kilku dni.

- Nie chcę mieszkać w Szkocji - wyszeptała.

- Chcę mieszkać tutaj, blisko Londynu. - I blisko Harmon House, blisko Cliffa.

- Co prawda, to barbarzyński i zacofany kraj.

- Poweselał nagle. - Jesteś pewna?

- Jak mało kiedy! - zawołała.

Objął ją, a ona utonęła w jego ramionach.

- W porządku - powiedział. - Więc to już postanowione.

Wpatrywał się w nią promiennym wzrokiem. Była pewna, że ją pocałuje.

Puścił ją jednak i wyszedł z pokoju.

Amanda zajęła Żółtą Sypialnię. Michelle znalazł sześć osób do sprzątanania, które ciężką pracą odmieniły, dwór. Wkrótce dom aż błyszczał. Po kolacji w oberży wrócili na noc do Asford Hall. Było tu cicho jak makiem zasiał.

Nie mogła zasnąć. Rozmyślała o dziwnej rozmowie z Cliffem. Zastanawiała się, dlaczego nie odpowiada mu kandydatura Garreta MacLachlana. A może jest zazdrosny? Wiedziała, że nadal podoba się Cliffowi, więcej, ich wzajemny pociąg wciąż przybiera na sile.

Wiedziała też, że bardzo podoba mu się w nowych strojach.

„Jesteś piękna... aż brak mi słów”.

Samo wspomnienie tego, co mówił, przyprawiło ją o dreszczyk rozkoszy. A z jakim zachwytem na nią patrzył.

Oczywiście, że nie jest w niej zakochany, ale bardzo ją lubi, to nie ulega wątpliwości, i pragnie jej, więc możliwe, że jest zazdrosny o MacLachlana.

Nie! Coś sobie ubzdurzyła. Nie mogła wyobrazić sobie zazdrosnego Cliffa.

Zastanawiała się też, czy Cliff zdaje sobie sprawę, jak wielkie zmiany zaszły w ich wzajemnych stosunkach. Jest w nich tyle ciepła. Prawdę mówiąc, wolałaby w ogóle nie wychodzić za mąż. Na zawsze mogłaby zostać podopieczną Cliffa.

Wspominała te ich dwie wspólne noce, gdy Cliff omal nie wziął jej dziewictwa. Nadal pragnęła, żeby zostali kochankami, ale jest na to zbyt honorowy.

Każdej nocy przed zaśnięciem marzyła o jego pocałunkach, pieszczotach. Tak jej wtedy było dobrze...

Teraz jednak jest damą. Co z tego? Damy z pewnością też miewają chwile fizycznego pożądania, przynajmniej póki nie wyjdą za mąż.

A gdyby jeszcze raz spróbowała? Mogłaby mieć Ashford Hall i w ogóle nie wychodzić za mąż, gdyby

Cliff zatrzymał ją jako swoją kochankę, ale wówczas musiałaby zrezygnować z pozycji damy. Coś się w niej buntowało. Z drugiej strony nie chciała poślubić nikogo innego.

Usłyszała jego kroki w korytarzu.

Zastygła w bezruchu. Była przekonana, że Cliff schodzi na dół, bo nie może zasnąć z tego samego powodu co ona. Gdyby uciekła się da sztuczek, jakich wcześniej nie stosowała, skończyłoby się jej marzenie o zostaniu prawdziwą damą. Tyle że kocha i pragnie Cliffa, a nie Garreta MacLachlana czy kogoś innego.

Wysunęła się z łóżka, otworzyła drzwi.

Cliff zatrzymał się i odwrócił w jej stronę.

Nie była w stanie uśmiechnąć się ani wymówić słowa. Wpatrywała się w niego. Musi go przekonać, że ma lepszy pomysł, a sądząc po błysku w jego oczach, może pójdzie jej łatwiej, niż sądzi.

Stał nieruchomo.

W korytarzu paliły się świece, więc widziała go dosyć wyraźnie.

Patrzył na jej usta, potem przeniósł wzrok na koronkowe wykończenie dekoltu różowej jedwabnej koszulki, wreszcie na marszczone falbanki w okolicy piersi. Zapomniała o bożym świetle. Widziała tylko mężczyznę, którego kocha.

- Cliff...

Potrząsnął przecząco głową. Zwilżyła suche wargi.

- Chodź do mojego łóżka - wyszeptała.

- Jestem twoim opiekunem. Ponownie zwilżyła wargi.

- Nie chcę wyjść za nikogo innego.

- Porozmawiamy o tym... jutro.

- Mogę tu zostać... jako twoja kochanka - wyszeptała jeszcze ciszej.

- Wracaj do łóżka, Amando! - zachnął się.

- Jak ci się podoba moja nowa koszulka? Dotknęła różowego jedwabiu w okolicy talii

i przejechała ręką wzdłuż biodra.

Jakże namiętnie na nią patrzył. Czuła się strasznie, uwodząc go tak bezwstydnie. Miała wrażenie, że czekanie na jego reakcję trwa wieczność. Wtedy zrobił coś, co nie do końca było dla niej jasne.

Odwrócił się, oparł czoło o ścianę i zaczął ciężko oddychać.

Objęła go, przytuliła się do jego pleców. Odwrócił się i desperacko wziął ją w ramiona.

- A co mi tam!

Pocałunek był gorący, mocny, zachłanny. Potem przez jedwab koszulki Cliff objął jej piersi. Jęknęła z rozkoszy, a on wsunął udo między jej nogi i posadził ją na nim okrakiem.

Zaczęła szlochać, wiła się, ocierała. Zapamiętali się w dzikich pieszczotach, gdy nagle uwolnił się z jej ramion.

Był wściekły, zobaczyła to w jego oczach.

- Nie gniewaj się - błagała. - Jest mi tak dobrze. Proszę, nie mówmy o honorze!

Cofnął się.

- Już i tak dostatecznie cię skrzywdziłem. Jestem tylko człowiekiem, Amando, i jak widać, za mało honorowym, żeby oprzeć się twoim wdziękom. A niech to! Jesteśmy tu po to, żeby obejrzeć twoją



majątność, która ma służyć tobie, twojemu mężowi i waszym dzieciom. Nie uczynię cię swoją metresa! Dlaczego tak nisko się cenisz?

Nigdy nie widziała go tak wściekłego.

- Jeśli tobie to nie robi różnicy...

- Robi! - ryknął.

- Chcę ciebie i zawsze chciałam. Co w tym złego?

- zawołała, choć wiedziała, że nic nie wskóra. Był niezłomny. - Ty też mnie chcesz, zależy ci na mnie.

Wiem to na pewno. Jesteśmy przyjaciółmi! Dobrymi przyjaciółmi!

- Do diabła, jestem twoim opiekunem! Mam obowiązek znaleźć ci męża, a nie uczynić swoją kochanką. - Milczał przez długą chwilę. - Amando, jesteś piękną i mądrą kobietą. Dlaczego chcesz zniszczyć swoją przyszłość? - Potrząsnął głową.

- Moja rodzina już się natrzęsa z moich prób honorowego zachowywania się wobec ciebie. To mi wcale nie pomaga!

Ogarnęła ją rozpacz. Lecz prawda przynajmniej pozwoli zachować jej godność.

- Mam tylko jedno na swoją obronę - powiedziała cicho. - Kocham cię.

- Och, Amando... Zależy mi na tobie. Bardzo mi zależy. I dlatego nie uczynię cię swoją metresa. Nie rozumiesz? Gdybym potrzebował kochanki, znalazłbym w mieście sto chętnych ladacznic. Próbuję zapewnić ci dobrą i godną przyszłość, ale nic z tego nie wyjdzie, jeżeli nadal tak to będzie między nami wyglądać.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała drżącym głosem.

- To przecież oczywiste. Nie powinniśmy razem przebywać. Nigdy więcej.

- Jak to? Niemożliwe!

- Nie będę dłużej tego odkładać. Potrzebujesz męża, i to już.

Zatoczyła się na ścianę.

- Jak to zrobisz? Zdawał się jej nie słyszeć.

- Wracamy dzisiaj do Londynu. Poproszę Eleanor i moją macochę o sporządzenie nowej listy kandydatów. Weźmiesz ślub w ciągu paru miesięcy.
- Nie!
- A ja muszę na krótko popłynąć do Holandii.
- Cliff, błagam! A co z balem u lady Carrington? Zostały trzy tygodnie. Obiecałeś mi pierwszy taniec!
- Wrócę na twój pierwszy walc, obiecuję.
- Nie odchodź - wyszeptała. Spotkali się wzrokiem.
- Tak dłużej być nie może, Amando. Nie mam innego wyboru.

## **Rozdział siedemnasty**

Poznała gorzki smak tęsknoty.

Wiedziała, że popełniła straszny błąd. Cliff wyjechał i wróci za tydzień, może później. Do Londynu przyjechali osobnymi powozami. Stała na progu pokoju dziecinnego i była świadkiem jego pożegnania z Alekssem, potem poszła za nim, kiedy udał się do Arielli.

- Nie musisz za mną chodzić po całym domu. - To było jedyne zdanie, na jakie się zdobył.

- Cliff, proszę, nie wyjeżdżaj w taki sposób! Twarz mu jeszcze bardziej stężała, przyspieszył kroku. Ona zaś została w drugim końcu korytarza ze łzami w oczach. Jakby to był koniec ich związku. Alex pociągnął ją za rękę.

- Co zrobiłaś, że tatko jest taki zły? - zapytał szeptem.

Coś bąknęła i poszła do sypialni, skąd patrzyła, jak Cliff opuszcza Harmon House. Choć powtarzała sobie, że po powrocie jeszcze się do niej uśmiechnie, jakby nic się nie stało, jednak miała okropne przeczucie, że już nigdy ich przyjaźń nie będzie taka sama. Cliff nie tylko wyjeżdżał w interesach, on oddalał się od niej. Postanowił jak najszybciej wydać ją za mąż. Pogodził się z tym. Nie minie wiele czasu, a poprowadzi ją do ołtarza i odda innemu mężczyźnie.

Nie mogła do tego dopuścić.

Nie miała już żadnych wątpliwości co do swych uczuć. Była zakochana po uszy w Cliffie de Waren-nie i to się nigdy nie zmieni. Nie wyjdzie za mężczyznę, którego nie kocha, ale wobec tego nie zostanie też w Harmon House, ze złamanym sercem, na utrzymaniu Cliffa i wciąż marząca o czymś, co nigdy nie nastąpi.

Zamierzała wrócić do domu, ale dopiero po balu.

Podeszła do szafy i wyjęła piękną suknię uszytą na tę okazję. To była precudna, najbardziej wyszukana i wyjątkowa kreacja, tak wykwintna, że mogłaby być ślubną. Miała długi prostokątny staniczek, króciutkie kimonowe rękawki, a spod delikatnego złotego szyfonu przebijał biały kwiecisty

jedwab. Chciała olśnić w niej Cliffa. Teraz jednak była pewna, że nawet na nią nie spojrzy. Gdyby nie to, że dał słowo, nawet nie zatańczyłby z nią pierwszego walca.

Jednak Cliff de Warenne zawsze dotrzymuje słowa.

Już sobie wyobrażała, jak niezręcznie będzie się czuła w jego ramionach. A po balu wyrazi swoją wdzięczność za wszystko, co dla niej zrobił i... pożegna się na dobre.

Wszystko się w niej buntowało. Przyłożyła suknię do ciała i przejrzała się w lustrze. Już nigdy nie będzie Dzikuską. Już nigdy nie będzie w bryczesach włóczyć się po wyspie jak chłopak. Wróci do domu jako dama i otworzy sklep. Jeśli będzie trzeba, weźmie pożyczkę. Zna się świetnie na żeglarstwie i na handlu z zamorskimi krajami. Będzie importować najpiękniejsze tkaniny - w Kingston nigdy nie było za dużo eleganckich sklepów z damskimi ubraniami. Będzie żądać wysokich cen za luksusowy towar, zacznie kumulować zyski. Aż wreszcie kupi statek, najmie załogę i ruszy w świat w poszukiwaniu egzotycznych towarów. Zamiast kraść czy żebrać, zostanie kupcem, pierwszym kupcem kobietą na wyspie. Na zewnątrz stonowana, uprzejma i dobrze ubrana, prywatnie będzie robiła, co dusza zapagnie. Popływa w zatoczce, ponurkuje w oceanie, skacząc z klifów. Damy nie zajmują się handlem, ale złamie tę regułę.

Jest jeden problem. Wcześniej czy później Cliff wróci do Windsong. Złoży mu wizytę. Bogata, niezależna i szanowana dama, starsza o kilka czy kilkanaście lat, pięknie ubrana, z biżuterią, którą sama sobie kupi.

Zamknęła oczy. Wróciło jej największe marzenie: upływa osiem, może dwanaście lat, a jego oczy płoną z podziwu i z tęsknoty, i uśmiecha się do niej w ten wiele obiecujący sposób, a potem bierze ją w ramiona...

Odłożyła suknię na łóżko. Zawsze będzie marzyć o miłości Cliffa, ale odtąd będzie wiedziała, że to szalone i nierealne marzenie.

Lepiej skoncentrować się na teraźniejszości.

Wczoraj wieczorem poszła z de WARENNE'ami do opery, znalazła się tam pierwszy raz w życiu. Była tak zachwycona spektaklem, że na moment udało jej się zapomnieć o Cliffie.

Nagle w lustrze ujrzała odbicie Eleanor. Natychmiast przybrała weselszą minę.

- Pukałam, ale nie odpowiedziałas. Widzę, że jesteś zadumana. Nie musisz przede mną udawać, Amando. Wszyscy wiemy, jaka jesteś nieszczęśliwa. Zaczęłam nawet kombinować, jak Cliffowi wlać trochę oleju do głowy, kiedy wróci.

Amanda uśmiechnęła się z przymusem.

- Uwielbiam tę suknię. - Chciała zmienić temat, ale się rozmyśliła: - Cliff był dla mnie cudowny. Nie złość się na niego.

- Masz przestać go bronić! - nakazała Eleanor. - Chcesz mi powiedzieć, co zdarzyło się w Ashford Hall, że uciekł od ciebie w taki sposób?

Amanda poczuła, jak palą ją policzki.

- Wyjechał w interesach.

- Akurat! Mógł wysłać agenta. Jesteś zbyt skromna, Amando. Nie zaszkodziłoby ci trochę próżności. On jest w tobie zadurzony, a ja chyba wiem, dlaczego wyjechał z miasta.

- On mnie lubi. Nawet się do tego przyznał. Nie jest jednak zadurzony.

- Powinnaś go uwieść, a wtedy nie pozostanie dłużny. - Eleanor uśmiechnęła się chytrze.

- Och, nie mów tak!

- A jednak przemyśl to sobie. - Przerwała na moment. - Aha, mamy gości. I nie jest to twój adorator MacLachlan.

Amanda czuła się winna. Nikomu nie zdradziła swoich planów. Bała się, by nie dotarły do Cliffa. Nazajutrz po balu sama wyzna mu prawdę. Wiedziała, że to będzie trudne. Cliff się wścieknie, zrobi wszystko, by odwieść ją od tego, ale decyzja była nieodwołalna.

- Kto to taki? - zapytała, udając ciekawość.

- Nie znam tych pań, ale przyszły do Lizzie i są w twoim wieku. - Eleanor uśmiechnęła się.

- Chodź, pewnie im się spodobaś. Powinnaś się cieszyć.

- Odnoszę wrażenie, jakbym przyjechała tutaj w bryczesach całe wieki temu - powiedziała Amanda, kiedy schodziły na dół.

- A to było tak niedawno.

- Zaledwie sześć tygodni temu. - I jeszcze sześć tygodni z Cliffem na statku, a czuła się tak, jakby go znała i kochała od zawsze.

- Chyba nie wątpisz, że możesz mi ufać i zdać się na mnie we wszystkim - nieoczekiwanie oświadczyła Eleanor. - Traktuję cię jak siostrę.

To wyznanie wzbudziło w Amandzie jeszcze większe poczucie winy.

- Stałaś się moją najbliższą przyjaciółką - odparła szczerze. - Powiedz mi coś o naszych gościach - zmieniła temat.

- Lady Jane Cochran jest córką baronowej Lid-den-Way. Słyszałam o niej, bo to spadkobierczyni wielkiej fortuny. Pozostałe dwie damy będą musiały zadowolić się skromniejszym spadkiem. - Szybkim krokiem minęły duży hol. - Może zaprzyjaźnimy się z nimi - dodała z pewnym powątpiewaniem.

- Może - wymijająco odparła Amanda.

- Lady Cochran sprawia wrażenie osoby zbyt pewnej siebie. Mam nadzieję, że nie jest zazdrosna o ciebie.

- A czegoż mogłaby mi zazdrościć? - Wzruszyła ramionami.

- Jest raczej brzydka, kochanie, a ty jesteś taka piękna. Wszystkie trzy są pannami i zamierzają znaleźć mężów.

Zgromadzone przy stole damy odwróciły się jak na komendę, żeby obejrzeć Amandę. Lizzie dokonała prezentacji.

- Poznałyście już moją szwagierkę, panią O'Neill. A to jest podopieczna mojego szwagra, panna Amanda Carre. Amando, pozwól sobie przedstawić - lady Jane Cochran, lady Honora Deere i lady Anne Sutherland.

Amanda złożyła ukłon, podczas gdy damy pochyliły głowy. W salonie panowało dziwne napięcie. Atmosfera była sztuczna.

- Słyszałyśmy o tobie - rzekła lady Cochran. - I oczywiście znamy nieco twojego opiekuna. Kiedy przyjeżdża do stolicy i pojawia się na balu, panny mdleją. Uznałyśmy, że będzie właściwe odwiedzić cię i powitać w stolicy.

- To miło z waszej strony - podziękowała Amanda bez zbytniego entuzjazmu. Uśmiech Jane Cochran nie był ani przyjazny, ani serdeczny.

- Czy twój opiekun, kapitan de Warenne, przebywa w domu? - zapytała jednym tchem pulchna lady Deere, piekąc raka.

Było widać, że panna durzy się skrycie w Cliffie.



- Niestety, wyjechał z miasta w sprawach handlowych. Wróci na bal u lady Carrington.
- Lady de Warenne wspominała, że to będzie twój debiut w towarzystwie - napomknęła lady Cochran. Usta lady Deere skrzywiły się w podkówkę.
- Jest taki przystojny - wyszeptwała.
- Jest taki przystojny - zawtórowała lady Sutherland. - Nie uważasz? - Wymieniły spojrzenia z lady Cochran.
- Oczywiście, że jest przystojny. - Amanda nastroszyła się. - Trzeba być ślepym, żeby tego nie widzieć.

Lady Cochran roześmiała się.

- Jednak ty do takich nie należysz! Czy naprawdę jest bukanierem?
- Bukanier to pirat, lady Cochran - zaprotestowała Eleanor. - Mój brat jest przede wszystkim kupcem, a korsarzem bywa, gdy tego wymaga dobro Korony. To coś zupełnie innego. - Była wyraźnie zła. Amanda uspokajająco dotknęła jej ręki, po czym spytała spokojnie:

- O co wam właściwie chodzi?

Lady Cochran uśmiechnęła się do niej chłodno, a następnie zwróciła się do Eleanor.

- Pani O'Neill, nie przyszłyśmy obrażać kapitana de Warenne'a. Przyszłyśmy odwiedzić lady de Warenne i zawrzeć znajomość z panną Carre.
- Jak to miło - skwitowała zgryźliwie Eleanor. Amanda wiedziała już, że ta wizyta nie przyniesie nic dobrego. Te damy nie miały wobec niej przyjaznych zamiarów.

Lady Cochran spojrzała na Amandę.

- Wprawdzie krążą takie plotki, ale nigdy nie uważałam, że trudni się piractwem. Jest na to zbyt wytworny, nawet jeśli nie rozstaje się ze sztyletem i ostrogami.
- Jest największym łowcą piratów naszych czasów - oznajmiła Amanda. - Ma nawyk noszenia broni.
- Czy to on upolował twojego ojca, panno Carre?
- zapytała lady Cochran.

Serce Amandy zabiło gwałtownie. Przeczucie jej nie zawiodło.

- Co to ma znaczyć? - oburzyła się Eleanor.

- A więc ta przerażająca plotka to kłamstwo? Twój ojciec nie został powieszony za piractwo?

- kontynuowała rozbawiona lady Cochran. - Jak w ogóle , kapitan de WARENNE mógł przyjąć do rodziny córkę pirata i jak śmie wprowadzać ją do towarzystwa?

Przez chwilę Amanda nie mogła wydobyć głosu. W jej głowie przewijały się obrazy z ostatnich miesięcy - główny plac w Spanish Town i Cliff ratujący ją przed motłochem, kiedy wieszano jej ojca; ona i Cliff przy sterze w gwiazdzistą noc; zachwyty w oczach Cliffa, kiedy zbiegła ze schodów ubrana pierwszy raz w życiu w strojną sukienkę; oboje wirujący w walcu...

Nagle zrozumiała, że już nie jest Dzikuską. Ciężko pracowała, żeby stać się prawdziwą kobietą, godną i obytą w świecie. Jane i jej znajome nie mają prawa zachowywać się protekcyjnie, a ona nie pozwoli im kpić z siebie.

- Jak śmiesz nachodzić nasz dom i rozsiewać tak nikczemną pogłoskę! - krzyknęła Eleanor. - To kłamstwo, lady Cochran. Ojciec Amandy był plantatorem i kilka miesięcy temu utonął.
- To dziwne, bo słyszałam, że de Warenne uratował ją, gdy jej ojca wieszano za zbrodnie. - Lady Cochran spojrzała na Amandę jak na robaka, którego należy rozdeptać. - Słyszałam, że jej pretensjonalne maniery są tylko tym, czym są - pretensjonalnymi manierami, i że pływała razem z piratami, spała z piratami, biła się razem z nimi! Jak śmie zjawiać się w mieście i udawać jedną z nas! Amanda uniosła głowę, wyprostowała ramiona.
- To prawda - powiedziała, odtrącając rękę Eleanor, gdy ta próbowała ją powstrzymać. - Mój ojciec został powieszony za piractwo, a ja nauczyłam się wspinać po linach w wieku czterech lat. Władam szpadą lepiej niż większość dżentelmenów w tym mieście, ale też tańczę walca. Lady Cochran, umiem czytać i pisać, zaprzyjaźniłam się też z wieloma godnymi osobami w tym mieście.
- Nie trudź się... - zaczęła lady Cochran. Trzęsąc się ze wściekłości, Amanda stanęła na wprost niej.
- Nie - przerwała. - To ty i tylko ty nie potrafisz się zachować. Mój ojciec był oficerem i dżentelmenem, zanim został wagabundą. Połowa piratów na Karaibach to dawni oficerowie marynarki, lady Cochran.
- Jak śmiesz mówić do mnie tym tonem! Jednak Amanda jeszcze nie skończyła.
- A moja matka była damą. Może nie zostałam wychowana w eleganckiej rezydencji, ale mam wszelkie prawo, żeby mówić do ciebie, i wszelkie prawo, żeby przebywać w tym domu. I nie dlatego, że jestem podopieczną Cliffa de Warenne'a, ani że hrabia i hrabina Adare życzą sobie, że bym tu była. Mam do tego prawo z tytułu urodzenia! Jane rozdziawiła usta.
- Opuść lepiej ten dom, zanim każę służbie cię wyrzucić - wkroczyła do akcji Eleanor. Jane Cochran syknęła z oburzenia, skinęła na przyjaciółki i cała trójka ruszyła do drzwi.

- Możesz mówić, co chcesz - rzuciła na odchodnym - ale ani twój posag, ani pretensjonalne maniery nie wystarczą, żeby stać się jedną z nas. To skandal! - Spojrzała na Eleanor. - Pani O'Neill, wasza rodzina dopuściła się czynu godnego najwyższego potępienia!

- Jedyne, co jest godne potępienia - powiedziała łagodnym tonem Amanda - to to, że uważasz się za damę. Prawdziwe damy nie zachowują się w taki sposób.

Jane Cochran fuknęła ze złością, na co Amanda tylko się uśmiechnęła.

- Co za wiedźmy! - oburzyła się Eleanor, gdy zostały same. - Och, jeszcze mi za to zapłacą! Amando, byłaś wspaniała!

Ledwie ją słyszała. Zaszła tak daleko, a ta małostkowa Jane Cochran chce ją zniszczyć. A przecież jej nie zna, więc spisek ukartował ktoś inny.

- Jest wychudzoną, szpetną czarownicą i ma charakter sekutnicy! - piekliła się Eleanor. - Niech nie liczy na miłość czy choćby odrobinę męskiej sympatii. Najwyżej trafi jej się jakiś zadłużony po

uszy łowca posagu! - Sapnęła gniewnie. - Musimy opracować plan zemsty.

- Jesteś prawdziwą przyjaciółką - szepnęła rozczulona Amanda

- Kochanie, jesteś dla mnie siostrą! Och, jak by tu można jej zaszkodzić? Może rozpuścimy jakąś straszną pogłoskę?

- To nie byłoby złe, ale chociaż jest niegrzeczna i złośliwa, to przecież powiedziała tylko prawdę.

- Amando, ona może pokrzyżować twoje plany. Musimy natychmiast uciąć głowę tej plotce!

- To nie jest plotka, Eleanor. - Tak by chciała powiedzieć przyjaciółce, że nic jej to nie obchodzi, ponieważ już niedługo opuści Londyn. - Kiedy przyjechałam do stolicy, okropnie się bałam, że coś takiego się zdarzy. Przez całe życie mnie to spotykało. Byłam dzikim dzieckiem. Żebrałam i kradłam, kiedy ojciec wypływał w morze. Jednak się zmieniłam, Eleanor. Tata był kiedyś dżentelmenem, a moją matką jest lady Belford. Nie będę się ukrywać ani przed lady Cochran, ani przed nikim innym. - Wiedziała, że Cliff pochwaliby ją za tak zdecydowaną postawę.

- Amando, nawet nie wiesz, co potrafią ludzie z wyższych sfer. Dlatego uważam, że należy odeprzeć to oskarżenie jako podłe kłamstwo.

- Może masz rację, ale nie chcę więcej kulić się ze strachu. - Pomyślała o Cliffie, który złamał jej serce. - Gdy prawda stanie się prawdą, żadna plotka mnie nie zrani. - Nie dodała, że udało się to tylko bratu Eleanor. - I dajmy sobie spokój z lady Cochran, bo już nie jestem córką pirata.

Eleanor uścisnęła Amandę.

- Jesteś taka dzielna!

Dotknęła pereł na szyi, które dostała od Cliffa. Tak strasznie za nim tęskniła. Pomyślała, że byłby z niej dumny. Cóż, pozostanie jej mistrzem na odległość, a jej samotne serce nigdy nie przestanie go kochać.

Usłyszała pukanie do drzwi. Pojawiła się hrabina Adare i powiedziała od progu:

- Kochanie, Eleanor powiedziała mi o tym niemiłym incydencie.

- Tak mi przykro, że zdarzyło się to w pani domu, milady.

- Nie przepraszaj, moja droga! Zmartwiłam się z twojego powodu, ale wiem od Eleanor, że świetnie sobie poradziłaś z tą okropną lady Cochran.

- A jednak to boli - wyznała cicho Amanda. - Musi boleć. Nie zrobiłam niczego, co by mogło sprowokować jej napaść.

Usiadły w fotelach, Mary wzięła Amandę za rękę.

- Kochanie, cała rodzina jest z tobą. Nigdy cię nie opuścimy. Chyba w to nie wątpisz?

- Nie wątpię, hrabino, i jestem wdzięczna za gościnę, a pani uczucie bardzo wiele dla mnie znaczy.

- Myślę o tobie jak o córce, jednak Eleanor ma rację - powiedziała z błyskiem w oczach. - Pewnych spraw nie można puścić płazem.

- Och... - Amanda otworzyła szeroko oczy.

- Moja droga, jestem Irlandką, a moi przodkowie, nie wyłączając kobiet, byli znakomitymi

wojownikami. I trochę tej gorącej krwi płynie w moich żyłach.

- Przecież jest pani hrabiną!

- To prawda, dlatego z żalem muszę zrezygnować ze sztyletu czy miecza. - Uśmiechnęła się zawadiacko. - Pozostanie nam inna forma zemsty. Wiesz, taka drobna perfidia w dobrej sprawie.

Matka Jane przyjaźni się z lady Carrington, a Jane na pewno będzie na balu. Hm... może pożyczyć ci moje brylanty? Może też perłę i diadem z brylancikami? Jane umrze z zazdrości.

- Na pewno! - Amanda wybuchnęła śmiechem. - Milady, ale nie mogę pożyczyć tak wspaniałych klejnotów.

- Oczywiście, że możesz. - Mary poklepała ją po ręku. - Jednak po kolei. Pochwalam twoją odwagę, ale nie widzę powodu, żeby ta plotka miała unicestwić twoje plany. I dlatego złożymy jutro pewną wizytę.

- Kogo odwiedzimy? - żywo zainteresowała się Amanda.

- Moją dobrą znajomą, lady Marsden, poważaną i wielce wpływową matronę. Ona położy kres temu nonsensowi, któremu początek dała lady Cochran.

- Kiedy to nie jest nonsens, milady, tylko prawda, najczystsza prawda.

Mary de Warenne spojrzała na nią surowo.

- To jest nonsens, moja droga, i nie zmienię w tej sprawie zdania.

Nazajutrz po południu Amanda i Mary de Warenne zostały wprowadzone do wykwiutnego salonu.

Towarzyszyli im Eleanor i Lizzie, a także Tyrell de Warenne. Przyszły spadkobierca majątku i tytułu był wysokim, ciemnowłosym mężczyzną, do złudzenia podobnym do swojego brata Reksa.

Amanda denerwowała się. Wiedziała, że kilka pierwszych wizyt będzie trudnych, a lady Marsden okazała się tak dostojna, jak ją sobie wyobrażała. Była mocno zbudowaną kobietą o siwych włosach, która w biały dzień odważyła się nosić szafirową aksamitną suknię i kolie z szafirów. Podejmowała mieszane towarzystwo: dwóch dżentelmenów i trzy młode damy. Jednym z gości okazał się Garret

MacLachlan. Dopiero na jego widok Amanda przestraszyła się nie na żarty. Co innego konfrontacja z ludźmi, na których jej nie zależało, a co innego z mężczyzną, którego szczerze polubiła.

Zdumiał się na jej widok, zaraz jednak, jakby nie słyszał plotki, uśmiechnął się rozbrajająco.

U boku Amandy pojawił się Tyrell de Warenne.

- Panno Carre - rzekł przyjaźnie - jesteś podopieczną mojego brata, więc czuję się za ciebie odpowiedzialny.

- Miło mi. - Nie bardzo jednak rozumiała, do czego zmierzał.

- Przede wszystkim musisz opanować lęk. Wspólnie przebrniemy przez ten drobny, ale wysoce nieprzyjemny kryzys, a do czasu powrotu tego uparciucha, mojego brata, zdążymy zapomnieć, że to godne ubolewania zdarzenie w ogóle miało miejsce.

- Mam taką nadzieję - powiedziała Amanda z uśmiechem. - Ma pan liczne obowiązki, milordzie,



i naprawdę nie musi dodawać do nich jeszcze mojej osoby.

- Oczywiście, że muszę! Żona by mnie udusiła, gdybym się tobą nie zaopiekował. Lady Marsden nie jest taka groźna, na jaką wygląda, i bardzo lubi moją matkę. Głowa do góry, bądź sobą! Ani się! obejrzysz, jak zdobędziesz jej sympatię, tak jak podbiłaś serca mojej rodziny.

Postanowiła pójść za jego radą.

- Dzięki, milordzie, gdybym jednak miała być w pełni sobą, zadarłabym nos i nadepnęła na pantofelki Jane Cochran, która porusza się po bardzo śliskim gruncie.

- Przypominasz mi moją siostrę - ze śmiechem skomentował Tyrell. - To co, ruszamy? - Podał jej ramię.

Dopiero teraz dotarło do niej, jak symboliczny jest ten gest. Trzymała pod rękę przyszłego hrabiego Adare'a, dziedzica wielkiej fortuny, który kiedyś stanie na czele bardzo wpływowego rodu.

- Dziękuję za tak rycerskie zachowanie - szepnęła.

Skwitował to ujmującym spojrzeniem.

Lady Marsden zbliżała się w iście królewskim stylu. Oczy wszystkich skierowane były na Amandę i prowadzającego ją na środek salonu Tyrella. Mimo palących policzków, panna Carre ani na chwilę nie spuściła oczu i trzymała wysoko podniesioną głowę. Czowała, że poza Garretem całe towarzystwo wie o jej podejrzanym przeszłości.

- Droga hrabino Adare! Kochana Mary! - zawołała lady Marsden i wzięła ją w ramiona.

- To wielka przyjemność znów cię widzieć, Dot

- zrewanżowała się Mary.

Po przeciwnej stronie salonu trzy kobiety szeptały coś do siebie, zerkając na Amandę, która wyprostowała się jak struna i uśmiechnęła się do nich.

Lady Marsden zwróciła się do Eleanor, wyraźnie ignorując Amandę:

- Ach ty, wiem, no cóż - rzekła groźnym tonem.

- Więc wyszłaś za mąż za jakiegoś szaraczka bez tytułu! Dlaczego nie złożyłaś mi wizyty, Eleanor?

- Bo wiedziałam, że nie zaaprobuje pani małżeństwa z miłości - odpowiedziała zuchwale.

Lady Marsden roześmiała się.

- Ależ aprobuje, aprobuje. Przecież nie musiałaś wychodzić za mąż dla majątku. Poza tym czyż ten twój szelma nie jest przystojny? Liczę, że na kolejną wizytę przyjdiesz razem z mężem. Koniec tygodnia byłby idealny.

Następnie lady Marsden podeszła do Tyrella, który skłonił się i pocałował ją w rękę.

- Milady jak zawsze w świetnej formie - powiedział. - I równie łaskawa, co gościnna. Jakie wspaniałe spotkanie.

- Och, przestań mi schlebiać. Zmieniłeś się! - wykrzyknęła. - Jesteś przystojniejszy niż kiedykolwiek, jeśli to w ogóle możliwe. Podejź tu, Lizzie. Znowu przy nadziei? Tyrell! Jak ci nie wstyd?

- To moja wina, milady - odpowiedziała z błogim uśmiechem Lizzie, składając ukłon. - To ja nalegam na to, żeby mieć jak największą rodzinę.

Lady Marsden potrząsnęła głową.

- Nie przypuszczałam, że zobaczę was znowu,

bo wyglądało na to, że postanowiliście zapaść w sen zimowy w tym barbarzyńskim kraju, który z uporem nazywacie swoim domem.

Tyrell i Lizzie wdali się w krótką rozmowę z matroną, której apodyktyczny sposób bycia wcale ich nie onieśmielał. W oczekiwaniu na prezentację Amanda rozejrzała się po salonie.

Garret uśmiechnął się i natychmiast do niej podszedł. Dalsze unikanie go stało się niemożliwe.

- Panno Carre, to prawdziwa niespodzianka móc spotkać panią w tym miejscu.

- Mamy dziś śliczny dzień, milordzie. - Zdobywając się na odwagę, spojrzała w jego gorejące oczy.

- Dzień jest ładny... ale widzę cię smutku na twojej pięknej twarzy.

Zaczerwieniła się. Bezwstydnie z nią flirtował.

- Mam się doskonale.

- Hm... Podziwiam pani odwagę, panno Carre - powiedział delikatnie. - Masz wystarczająco dużo atutów nawet na tuzin mężczyzn.

- Milordzie... - Czyżby dotarła do niego plotka? Jednak dostrzegła współczucie w jego oczach.

Odciągnął ją na bok.

- Słyszałem oszczerstwa rozgłaszane przez lady Cochran. Uważam, że tej sekutnicy przydałaby się lekcja dobrych manier.

- To prawda - przytaknęła zaskoczona Amanda. Przez chwilę nie odrywali od siebie wzroku, a kiedy. Garret uśmiechnął się do niej, był to łagodny, rozdzierający serce uśmiech, jaki często posyłał jej Cliff.

- Chyba już wiem. Dzikiej róży nie można pomylić z cieplarnianą kuzynką. Panno Carre, to, że tu jesteś, świadczy tylko o twoim wyjątkowym charakterze.

Była zbyt oszołomiona, żeby odpowiedzieć.

- Lady Marsden, nie poznała pani podopiecznej mojego brata, panny Amandy Carre - stanowczo przerwał tę dziwną rozmowę Tyrell.

- Wiem, kim ona jest - powiedziała oziębłe lady Marsden i odwróciła się do hrabiny. - No nie, Mary, czy to twoja sprawa?

Amanda nawet nie drgnęła. Czerwony ze złości Tyrell zaczął coś mówić, ale Mary go ubiegła:

- Panna Carre jest dla mnie jak córka - powiedziała z uśmiechem. - Jej ojciec, emerytowany oficer marynarki, utonął na Jamajce, gdzie był plantatorem. Przyjaźnił się z Cliffem, dlatego prosił go, by w razie nieszczęścia otoczył ją opieką. Powoli wprowadzamy ją do towarzystwa, a ponieważ panna Carre jest przykładną, ale przy tym niezwykle młodą damą, musiałam ją tutaj przyprowadzić.

Lady Marsden popatrzyła uważniej na Amandę.

- To prawda? Twój ojciec utonął? Bo słyszałam coś zupełnie innego!

Amanda już chciała wypalić prawdę, zobaczyła jednak błagalne spojrzenie Mary.

- Tak, milady, to prawda. Mój ojciec utonął. Mary odetchnęła.

- Dot, Jane Cochran jest wściekła, bo uwielbia mojego syna, a Cliff w ogóle nie zwraca na nią uwagi. Bo i dlaczego? Jest zupełnie nieatrakcyjna,

ma niemiły sposób bycia, a on nie potrzebuje jej majątku. A już sam fakt rozpowszechniania tak nikczemnych kłamstw o mojej córce, bo Amanda stała się dla mnie córką, świadczy najlepiej o jej niegodziwym charakterze.

- Nigdy nie lubiłam tej Cochran - powiedziała po namyśle lady Marsden, podejmując ważną dla londyńskiej socjety decyzję. Notowania pewnej damy drastycznie spadły. - Zgadzam się z tobą, że jej maniery nie idą w parze z dobrym pochodzeniem. No cóż, skoro uznałaś pannę Carre za córkę...

- Zwróciła się do Amandy. - Podejź tutaj, panno Carre - rozkazała, gdy Amanda ponownie złożyła ukłon, dodała: - Strasznie się wycierpiałaś. Teraz zdaję sobie z tego sprawę. A jednak jesteś bardzo śmiała, skoro odważyłaś się ponownie postawić nogę w towarzystwie.

Amanda uśmiechnęła się. Starsza pani wcale nie była przerażająca.

- Hrabina chciała przedstawić mnie pani, a ja nie miałam powodu, żeby się ukrywać. - Tak to czuła.

- Dziękuję za uczyniony mi zaszczyt, że mogłam panią poznać, milady.

- Więc wychowałaś się na Jamajce? Czy to przypadkiem nie są Indie Zachodnie?

- Tak, milady.

- Hm. Bardzo lubię podróżować. Zechciej mi opowiedzieć o wyspie i poradź, czy w tak podeszłym wieku mogłabym się wybrać w rejs po morzach i oceanach.

## **Rozdział osiemnasty**

Amanda czuła się okropnie. Dwa tygodnie minęły, było już po szóstej, a o wpół do ósmej mieli opuścić Harmon House i udać się na bal lady Carrington. Cliff nadal się nie pojawił.

Stała przy oknie. Na upiętych włosach lśniły zachwycająca perła i diadem wysadzany brylantami, a na szyi perły, które dostała od Cliffa. Pozostało już tylko zdjąć szlafroczek i włożyć suknię balową, rękawiczki oraz brylantową bransoletkę, którą również pożyczyła od hrabiny.

Cliff nigdy jej nie zawiódł. Musiało stać się coś strasznego, co opóźniło jego powrót. Chyba że jest na nią bardziej zły, niż przypuszcza.

Jeżeli nie przyjedzie, ona też nie uda się na bal. Niezależnie od wszystkiego, co się wydarzyło, pierwszy taniec należy do niego.

I nagle ujrzała na końcu podjazdu jednokonkę. Krzyknęła, otworzyła okno i wpatrywała się w nad

jeżdżający pojazd, który po chwili zatrzymał się przed domem. Wsiadł z niego Cliff.

Trzymała się kurczowo parapetu, serce waliło jak oszalałe. Nie sprawił jej zawodu. Patrzyła na niego upojona miłością.

Spojrzał do góry.

Chociaż znajdowała się dwie kondygnacje wyżej, ich oczy natychmiast się spotkały.

Nie uśmiechnęła się. On też nie.

Po chwili Cliff wielkimi krokami wbiegł do domu, patrząc na nią, aż zniknął pod portykiem.

Zamknęła okno. Cliff wrócił.

Wkroczył do holu, starając się nie śpieszyć, choć najchętniej by pobiegł. Z coraz szybciej bijącym sercem udał się w stronę klatki schodowej. Uściśnie dzieci, a potem najnaturalniej w świecie przywita się z Amandą. Wiedział, że musi trzymać się od niej z daleka, ale stęsknił się za nią bardziej niż za kimkolwiek w świecie. Myśl o niej prześladowała go w dzień i w nocy.

Zaczął mieć poważne wątpliwości, czy będzie w stanie oddać ją komuś innemu przy ślubnym ołtarzu.  
- Cliff.

Zatrzymał się, stając twarzą w twarz z Tyrellem, który wyszedł z saloniku. Dojrzał tam również Reksa i Seana, ubranych w czarne fraki i wieczorowe spodnie.

Bracia, uścisnęli się.

- Spóźniłeś się - z uśmiechem zauważył Tyrell.

- Wiem. O której wychodzimy? - Starał się nie okazywać zniecierpliwienia. Dlaczego Amanda nie uśmiechnęła się do niego? Pewnie jest zła za to, jak się zachował przed wyjazdem z Londynu. Cóż, okazał się gburem, więc miała prawo być wściekła.

- Wpół do ósmej. Śpieszysz się na górę, żeby się przebrać? - Pytanie Tyrella szyte było zbyt grubymi nićmi.

- A niby w jakim celu rzuciłem się do schodów?

- Wyrażano obawę co do twojego terminowego powrotu.

- Dlaczego? Dałem słowo Amandzie, że będę na balu. Obiecała mi pierwszy taniec. Jak ona się miewa?

- Bardzo dobrze, pomimo faktu, że ktoś rozpuścił plotkę, iż jest córką pirata.

- Co?! - ryknął, oczy rozbłyły mu wściekle. Tyrell szybko zrelacjonował intrygę. W tym czasie dołączyli do nich Sean i Rex.

Furia Cliffa sięgała zenitu.

- Musi być załamana!

- Ani trochę, poza tym plotce szybko ucięto głowę - oznajmił Tyrell.

Cliff nie dał temu wiary. Amanda najbardziej bała się pogardy i szyderstwa ze strony socjety. Ruszył na górę, lecz drogę zastąpił mu Sean.

- Masz prawo odwiedzić dzieci i przebrać się, ale pod żadnym pozorem nie zagłądaj do Amandy, póki nie skończy się ubierać. To rozkaz mojej żony.

- Chcę z nią porozmawiać. Jestem jej opiekunem!

- Jesteś zadurzony - sparował ze śmiechem Sean. - Czy nie lepiej poddać się uczuciu, pogodzić się z nim i je wyznać?

Cliff z radością przyłożyłby szwagrowi w szczękę.



- Sam jesteś zadurzony! Dobry Boże, ilekroć wchodzę do pokoju, najpierw muszę się upewnić, czy ty i Eleanor nie wyczyniacie dzikich harców na kanapie jak napalone młokosy!

Do akcji wkroczył rozbawiony Rex.

- Poczekaj, aż Amanda zejdzie na dół. Uspokój się, Cliff. W końcu to były tylko dwa tygodnie.

- Osiemnaście dni - rzucił ze złością, a kiedy towarzystwo zachichotało, zrobił się czerwony.

- Sugeruję, żebyś przywitał się z dziećmi, i radzę się śpieszyć - załagodził sytuację Tyrell, po czym wrócił z Seanem do salonu.

Cliff niecierpliwie spojrział na Reksa, który wyraźnie spoważniał.

- Z Amandą wszystko w porządku. To bardzo odważna i pełna godności dama. Następnego dnia po przykrym incydencie udała się z hrabiną i Tyrellem z wizytą, by położyć kres plotce.

- Jesteś pewien? - gorączkowo dopytywał Cliff. - Nawet nie wiesz, jakich krzywd i upokorzeń doznała na wyspie.

- Mogę to sobie wyobrazić. Powiem więcej, z bezdomnego dziecka, które przywiozłeś do domu, Amanda przeobraziła się w świadomą siebie kobietę.

Cliff sam przekonał się o tym podczas wyprawy do Ashford, ale akurat o tym nie zamierzał z nikim rozmawiać.

- Muszę wziąć gorącą kąpiel. - Pognał na górę.

Punktualnie o wpół do ósmej schodził na dół. Ubrany w smoking, poprawiał jeszcze krawat. Serce waliło mu wariacko. Wiedział dlaczego.

Cała rodzina zebrała się już w holu. Kiedy zobaczył Amandę, która wyglądała zjawiskowo, zwolnił kroku i przytrzymał się poręczy, żeby zachować równowagę. Stała w samym środku grupy i uśmiechała się niepewnie do niego.

Wpatrywał się w nią z zapartym tchem. Włosy miała upięte, piękną twarz okalały drobne loczki, a egzotyczne szmaragdowe oczy utkwione były w niego. Balowa suknia w stylu greckim zmysłowo

opływała krągłości. Na szyi Amanda miała perły, które dostała od niego, a oprócz nich brylantowy komplet hrabiny.

Tak strasznie za nią tęsknił, że niejedną raz chciał wrócić wcześniej, niż planował.

W dniu, w którym uratował ją przed gubernatorem Woodsem, stała się treścią jego życia. Była dla niego wszystkim. Nie wyobrażał sobie drugiego takiego rozstania.

Zakochałem się, pomyślał z niedowierzaniem.

Wpatrywał się w nią, obezwładniony ogromem swojego uczucia.

Postanowił przestać z tym walczyć.

Wokół panowała cisza, a on gapił się oniemiały na Amandę. Zszedł z ostatnich stopni i uśmiechnął się na myśl, że tak może wyglądać tylko śmiertelnie zakochany mężczyzna.

Kiedy podchodził do niej, spoglądała na niego rozszerzonymi źrenicami, jakby się domyślała jego uczuć.

Dotknął jej podbródka, lekko uniósł. - Jesteś zbyt śliczna, Amando. Tak śliczna, że brak mi słów.

Jej oczy mówiły, że i ona strasznie tęskniła.

- Już nie gniewasz się na mnie? - zapytała.

- Nie. - Dotknął jej policzka, potem szyi. - Coś ci kupiłem. - Wyjął z kieszeni aksamitne pudełeczko i je otworzył. Znajdowały się w nim perła i brylantowe kolczyki w kształcie kropelek wody.

- Pamiętałeś o mnie - wyszeptała.

- Tak. - Podał jej pudełeczko, wyjął jeden kolczyk i przymocował jej do ucha, potem zrobił to samo z drugim.

- Dziękuję - szepnęła.

Owładnięty nadmiarem uczuć, z uśmiechem w oczach podał jej ramię.

Amanda była oszołomiona. Znajdowała się we wspaniałym pałacu w Greenwich, w cudownej sali balowej wielkości dużego statku, w otoczeniu setek eleganckich dam i dżentelmenów z najwyższych sfer i trzymała pod rękę Cliffa. Przedstawiał ją na prawo i lewo każdemu, kogo mijali w tym skrzącym się, obwieszonym biżuterią tłumie. Nikt nie zachowywał się wobec niej protekcjonalnie, nie pochwyciła też żadnych ciekawskich spojrzeń. Plotka, którą próbowała rozprzestrzenić Jane Cochran, umarła, nim zdążyła zapuścić korzenie.

Najważniejsze jednak, że Cliff nie jest na nią zły.

W rzeczywistości, ilekroć patrzyli na siebie, co zdarzało się wielokrotnie, uśmiechał się do niej tak czule, że zapierało jej dech.

Nie była pewna, co się stało, wiedziała tylko, że chce, by ta noc trwała wiecznie. Nie było to jednak możliwe. Jutro mu powie, że wyjeżdża z Londynu.

- Zaczynają się tańce - szepnął Cliff i skłonił się nisko.

Amanda dygnęła. Była obezwładniona jego urodą i męskością, a także swoją miłością. Kochała go tak bardzo, że serce bolało z bezmiaru tego uczucia.

Wolała nie myśleć o jutrze, pragnęła tak przeżyć ten wieczór, jakby nic poza nim nie istniało.

Wsunęła dłoń w wyciągniętą rękę Cliffa, który z radosnym wyrazem twarzy poprowadził ją na parkiet. Przysunęła się do niego, położyła drugą dłoń na jego ramieniu, a on palcami dotknął jej talii. Orkiestra zaczęła grać. I popłynęli w tańcu...

- Wyglądasz na szczęśliwą.
- Nigdy nie byłam szczęśliwsza.
- Niezmiernie się cieszę.

Więcej nie rozmawiali, a gdy orkiestra skończyła walca, Amanda zapragnęła znów zatańczyć z Cliffem.

- Czy ofiarujesz mi jeszcze jeden taniec? - zapytała.
- Bardzo bym chciał, ale widzę, że twój karnecik jest pełny. Jeśli można, rezerwuję ostatni taniec.

Uśmiechnęła się radośnie.

Po chwili Cliff zapytał zmienionym głosem:

- Czy podczas mojej nieobecności pojawiło się wielu konkurentów?
- Tak, całe mnóstwo - odparła niechętnie.
- Twój ojciec zadbał o to.
- A zatem będę musiał jutro z nim porozmawiać
- zakomunikował, unikając jej wzroku. Zaszokowana, wysunęła rękę spod jego ramienia. A więc nadal chce ją wydać za mąż za innego. Jakże łatwo przychodzi mu ją ranić!

- Baw się dobrze, Amando. Może uda nam się zjeść razem deser - powiedział, kiedy zeszli z parkietu.

- Pomyślę o tym - odpowiedziała, siląc się na uśmiech.

Kilka godzin później Amanda stała w pobliżu złoconej kolumny. Skreśliła już dwie trzecie nazwisk tancerzy z karneciku. Wolałaby, żeby na tym się skończyło. Czekwała na ostatni taniec z Cliffem.

- Panno Carre? - Garret MacLachlan skłonił się dwornie.

Przywitała go uśmiechem. MacLachlan prezentował na sobie tradycyjny szkocki strój: jasnoniebieską kurteczkę i kilt w niebiesko-czarno-czerwona kratę, miał gołe nogi i niebieskie podkolanówki. Do tego берет i sztylet. Wyglądał jeszcze przystojniej niż zwykle.

- Panno Carre, przez cały bal nie mogę oderwać od pani oczu. Jesteś najpiękniejszą kobietą na sali.

- Sir, straszny z pana flirtiarz. - Zaczerwieniła się.

- Mówię szczerą prawdę, Amando. Podszedłem, żeby się pożegnać.

- Opuszcza pan Londyn?

- Tak, zostałem wezwany do domu. Zażęskni pani za mną?

- Oczywiście - odpowiedziała półzartem.

- Kochasz swojego opiekuna - stwierdził po chwili milczenia. - Obserwowałem panią w tańcu i widziałem, jak na niego patrzyłaś.

Nie wiedziała, co powiedzieć, ale przecież Garret zaakceptował prawdę o jej życiu z niezachwianym przekonaniem i wielkodusznością, pochwalił ją za dokonania, zamiast szydzić z jej przeszłości.

Uznała więc, że należy mu się prawda.

- Tak, kocham go.

- Więc życzę ci wszystkiego najlepszego.

- Pan nie rozumie.

- Rozumiem.

- Nie, jest inaczej, niż pan myśli. Kocham Cliffa i nigdy nie przestanę, ale on nie odwzajemnia mojego uczucia. Wracam do domu, Garret, na wyspę, i nie wyjdę za nikogo.

Uśmiechnął się dziwnie.

- Obawiam się, że daleko pani nie odjedzie. Milczała. Nie była pewna, co MacLachlan ma na myśli.

Ujął jej dłoń i pocałował z atencją.

- Do widzenia, panno Carre. - Skłonił się dwornie i odszedł.

Patrzyła, jak znika w tłumie, i różne myśli chodziły jej po głowie. Na pewno będzie go jej brakować.

Miała nadzieję, że nie zламаła mu serca.

- Amanda?

Odwróciła się i zdrętwiała.

Znalazła się oko w oko z elegancką i piękną blondynką we wspaniałej różowej sukni z atłasu i w biżuterii z brylantami. Amanda skuliła się w sobie, jakby zadano jej brutalny cios.

- Wiesz, kim jestem - powiedziała Dulcea pełnym napięcia głosem.

- Jest pani Dulceą Belford.

- Jestem twoją matką.

## Rozdział dziewiętnasty

Przewidziała to spotkanie, ale nie spodziewała się, że nastąpi właśnie dzisiaj.

- Jestem twoją matką - powtórzyła łagodnie Dulcea, patrząc wyczekująco na Amandę.

- Nie - odpowiedziała stanowczym tonem. - Ja nie mam matki. Nigdy nie miałam. Miałam ojca, który nie żyje. Nie udawajmy, że jesteśmy matką i córką. - Targały nią emocję, nad którymi z trudem panowała. - Bo nie jesteśmy.

- Jakie to brutalne! - wykrztusiła zbolalym głosem Dulcea, wodząc oczami po diademie i perłach.

- Nie, lady Belford, to pani brutalnie mnie odrzuciła. - Chciała odejść, ale nogi dziwnie jej osłabły.

Wsparła się o ścianę. - Przyjechałam tu, bo taka była ostatnia wola mego ojca. Nie chciałam opuszczać wyspy i nie liczyłam na to, że przyjmie mnie pani z otwartymi ramionami. I nie pomyliłam się. Niech więc pani daruje sobie tę hipokryzję.

- Amando, chciałabym, żebyś poznała też moją wersję. Musimy porozmawiać, ale na osobności.

Proszę, wyjdźmy na zewnątrz.

- Nie mamy o czym rozmawiać. - Była bliska hysterii. A więc to jest kobieta, która wydała ją na świat, a potem bezdusznie porzuciła.

- Nie chcesz dowiedzieć się, co mam do powiedzenia? - zawołała płaczliwym głosem Dulcea i wyciągnęła rękę do Amandy.

- Nie. - Wzdrygnęła się, postąpiła w tył.

- To twój wieczór, Amando - przymilała się Dulcea. - Odniosłaś wielki sukces. Jestem z ciebie dumna. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Wcale nie jesteś ze mnie dumna. Nie obchodzę cię i nigdy nie obchodziłam.

- To nieprawda. Chcesz poznać całą prawdę? Zawahała się. Instynkt podpowiadał, żeby jak najszybciej odejść od tej kobiety, której słowa tylko raniły, nic więcej. Jednak po wyjeździe z Anglii nie będzie już miała okazji porozmawiać z Dulceą Belford i nigdy już się nie dowie, co naprawdę

zdarzyło się przed osiemnastoma laty, a także po jej przyjeździe do Londynu, kiedy ta kobieta się jej wyparła.

- Zgoda. - Była sztywna, dumna, choć w środku bliska załamania.

Poszły na taras.

- Kiedy uświadomiłam sobie, że spodziewam się dziecka, miałam siedemnaście lat, Amando. Byłam przerażona - wyznała Dulcea.

- A czy przynajmniej kochałaś mojego ojca?

- W tamtym czasie tak, kochałam go. Był przy-



stojny, wyglądał sztywnie w mundurze marynarskim.. Miał w sobie coś takiego, że kiedy kroczył ulicą, nie było kobiety, która by się za nim nie obejrzała.

- Nigdy nie przestał cię kochać - cicho powiedziała Amanda. - Jednak poślubiłaś Belforda. - Brzmiało to jak oskarżenie.

- Ślub z Belfordem to była moja życiowa szansa. Amando, znaleźliśmy się z twoim ojcem ledwie trzy tygodnie, a potem on odpłynął. Kiedy zorientowałam się, że jestem w ciąży, nie wiedziałam, co robić! Byłam taka młoda, a moja matka przedstawiła mi kilku dżentelmenów, niezbyt majątnych, lecz pochodzących ze starych rodów i utytułowanych. Wśród nich Belforda. Małżeństwo nie ma nic wspólnego z miłością. Zresztą z twoim ojcem nie łączyła mnie miłość, tylko namiętność. - Przerwała na moment. - Czyli to, co ty czujesz do de Warenne'a.

- Och... Nigdy nie podziwiałam nikogo bardziej niż Cliffa. I nie wstydzę się przyznać, co do niego czuję. Jest moim bohaterem, moim mistrzem i będę go kochać do śmierci. - Gdy Dulcea popatrzyła na nią zdumiona, krzyknęła: - Tak samo kochał cię tatko! Wychowałam się na opowieściach o twojej wielkiej urodzie, wdzięku, elegancji i dobroci. Wyniósł cię na piedestał. Robił wszystko, żebym pielęgnowała pamięć o tobie. Boże, jakże mi żal ojca!

- Skąd mogłam o tym wiedzieć? Nigdy mi tego nie powiedział! Amando, nie przyszliśmy tutaj, żeby się spierać.

Teraz to ona się zdumiała. Dlaczego tatko nic nie powiedział Dulcei?

- Nie jestem nieczuła, Amando. Jestem tylko kobietą, ale mam serce. Stworzyłam dom, mam męża i dwoje dzieci. Byłam pewna, że Carre zapomniał o mnie. Skąd mogłam wiedzieć, że było inaczej?

- Nie wiem. - To jej wersja, pomyślała. Instynktownie nie ufała tej kobiecie. - Powiedziałaś, że cię obchodzę, ale to nieprawda.

- To prawda! Jak mogłaby mnie nie obchodzić moja córka? Jednak zabrano mi ciebie zaraz po urodzeniu. Miałam wówczas siedemnaście lat, nie pozostawiono mi żadnego wyboru.

Amanda nie mogła, a nawet nie chciała w to uwierzyć.

- Nie próbuj mi wmówić, że zatrzymałabyś mnie przy sobie, gdybyś miała wybór!
- Płakałam całymi dniami, kiedy odebrano mi ciebie - załkała Dulcea. - Z drugiej strony moja matka chciała wydać mnie za męża, a ja nie zamierzałam się sprzeciwić. Jednak często o tobie myślałam, martwiłam się o ciebie, zwłaszcza gdy dowiedziałam się, że Carre został piratem. Amandzie coraz bardziej mąciło się w głowie. Dulcea była tak przekonująca... tyle że nie odpowiedziała na jej pytanie. Zrezygnowałaby z majątku i tytułu, by wychowywać nieślubną córkę?
- Tatko mnie kochał i ja go kochałam. Był dobrym ojcem. A zatem nie musiałś się martwić. Jeśli się tak martwiłaś, jak mówisz, dlaczego nie napisałaś?
- Belford wyrzuciłby mnie z domu, gdyby dowiedział się o tobie. Musiałam zachować bezpieczny dystans. Chyba mnie rozumiesz? Biedactwo, miałaś takie trudne życie! Strasznie mi przykro!

Chciałabym, żeby było inaczej, Amando, naprawdę bym chciała.

- Dwa miesiące temu miałaś okazję to zmienić!

- Nagle ogarnęła ją złość. - Jednak nie chciałaś o mnie słyszeć. Więc nie żądaj, żebym ci teraz uwierzyła!

- Kapitan de Warenne przeraził mnie, kiedy pojawił się w moim domu i oświadczył, że jesteś w stolicy.

- To on wszystko zmienił. Uratował mnie, chronił, hojnie wyposażył, a wszystko z poczucia honoru i ze szlachetności. W przeciwieństwie do ciebie, jego rodzina przyjęła mnie z otwartymi ramionami!

- Czuła, że się dusi.

Dulcea popatrzyła ze zdumieniem.

- Myślałam, że to Carre cię wyposażył.

- Nie, zrobił to Cliff, z własnej kieszeni. - Ze wszystkich tematów najżywiej zareagowała na posag, pomyślała ze smutkiem Amanda.

- Czy śpi z tobą?

- Och... To nie twoja sprawa! - krzyknęła.

- Wiedz jednak, że nigdy nie zachowałby się tak niegodnie.

- Nie próbował cię uwieść? - dopytywała się Dulcea.

- Nie, za to ja próbowałam - rzuciła wyzywająco. Ogarniała ją coraz większa irytacja. Ta kobieta była z gruntu zakłamaną. Amanda czuła, że usiłowała coś ugrać, zrealizować jakiś perfidny plan.

- Moje biedactwo - powiedziała Dulcea, biorąc Amandę za rękę.

Ze wstrętem wyrwała dłoń.

- Nie waż się okazywać mi współczucia!

- Jestem twoją matką! Nic nie poradzę, że mi nie ufasz, ale wiem, co to znaczy zakochać się bez wzajemności. A do tego w Cliffie de Warennie. Połowa kobiet na tej sali poświęciłaby wszystko, łącznie z reputacją, żeby zostać jego kochanką. Rozumiem cię, złotko. Doskonale rozumiem.

- Muszę już iść. - Amanda wiedziała, że ta rozmowa niczego nie rozwiązała. Z bólem doszła do wniosku, że tylko głupiec mógłby zaufać kobiecie, która ją urodziła.
  - Zaczekaj! Zrozum, że chcę być dla ciebie matką. Nawet nie wiesz, jak bardzo za tobą tęsknię. Chcę, żebyś zamieszkała w Belford House.
  - Co?! - Aż jej się zakręciło w głowie z wrażenia.
  - Powiemy, że jesteś moją kuzynką, a ja znajdę ci męża, Amando. To mój obowiązek.
  - Wracam do domu! - krzyknęła. - Wracam na wyspę i nie wyjdę za nikogo.
  - Mój Boże... Coś ty powiedziała? Chyba nie myślisz o powrocie do pirackiego życia! Twoje miejsce jest tutaj, razem ze mną!
  - Nie jestem piratem - wycodziła. - Czyżbyś tego nie zauważyła? Te perły należą do mnie. Ta suknia jest moja. Mój karnecik jest pełny. Usłyszałam dziś wielokrotnie, że jestem piękną damą.
  - Kochanie, nie chciałam cię obrazić. Powinniśmy poznać się lepiej, zostać rodziną. Pomogę ci znaleźć odpowiedniego męża.
- Amanda wybuchnęła śmiechem. Była pewna, że Dulcei bardzo na czymś zależy, z pewnością jednak nie na szczęściu córki.

- Za późno. Wracam na Jamajkę i otworzę tam sklep. Oddam posag Cliffowi.
- To czyste wariactwo! - Dulcea zbladła. - Nie pozwolę, żebyś jechała na wyspę! Sama, taka młoda! Twoja przyszłość jest tutaj, ze mną i z mężem, we własnym domu. Na Boga, Amando, nie rozumiesz, ile miałaś szczęścia, dostając od de Warenne'a taki posag? Bez tego nie miałabyś szansy na zamążpójście! A tak będziesz żyła nie po pańsku wprawdzie, ale niczego ci nie zabraknie.
- O co ci chodzi? Już dwa razy powiedziałam, że nie wyjdę za męża.
- Z powodu de Warenne'a?
- Tak, chodzi o Cliffa, ale i o mnie. Chcę się usamodzielnic. I nikt mnie od tego nie odwiedzie!
- Może ja cię odwiode - syknęła Dulcea. Amanda znieruchomiała, po czym utkwiała groźny wzrok w matce:
- Nie sądzę - powiedziała powoli, wyraźnie.
- Och, Amando, posłuchaj... A gdybym pomogła ci zrealizować twoje najbardziej szalone marzenia? - zapytała z uśmiechem Dulcea.
- Nie znasz mnie, więc nie możesz znać moich marzeń.
- Czyżbyś nie marzyła, żeby zostać żoną de Warenne'a? - spytała słodko. - Amando, możesz mieć to, czego pragniesz!
- Przestań! - Aż zadygotała w środku.
- Pomogę ci, kochanie. - Dulcea podeszła bardzo blisko. - Widziałam, jak on na ciebie patrzy. Musisz tylko zwabić go do łóżka. Zrobisz to w Belford House, a kiedy będzie z tobą, mój mąż was nakryje. - Uśmiechnęła się triumfalnie. - I tak zostaniesz żoną kapitana. Poczula nieodparty wstręt. Ta kobieta była do cna zepsuta i podła, wszystko w niej zrobaczywiało.
- Za nic na świecie nie zmuszę Cliffa do małżeństwa, zwłaszcza w ten sposób.
- Dlaczego?
- Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek to zrozumiała
- oznajmiła z pogardą, uniosła suknię i pobiegła przed siebie.

- Ty idiotko! - Dulcea deptała jej po piętach.

- To rozwiąże wszystkie nasze problemy!

- Co to znaczy? - Amanda spojrzała na nią czujnie, przenikliwie. A więc o to chodzi... - O jakich problemach mówisz? Czego chcesz naprawdę? Dlaczego nie spróbujesz choć raz być uczciwa? Może mogłabym ci pomóc. Nie dlatego, że mi na tobie zależy, ale mimo wszystko mnie urodziłaś.

Dulcea chwyciła ją za rękę.

- Znalazłam się w potwornych tarapatkach, Amando. Belford ma straszne długi. Skończyły nam się środki do życia. Błagam, pomóż nam.

- Wychodząc za mąż dla pieniędzy - wycodziła Amanda.

- Zapomnij o tym cholernym posagu. Nadal jesteś dziewicą, prawda? Nawet ja wiem, że de WARENNE zachowa się honorowo. A w razie czego możemy postraszyć go skandalem.

Cóż, karty zostały wyłożone na stół.

- Przez długie lata marzyłam, żeby znaleźć się w twoich ramionach. Sen minął. Jest już późno.

Dobranoc. - Odeszła szybkim krokiem.

- Odwiedź mnie jutro, skarbie - zawołała Dulcea, jakby nic do niej nie dotarło. - ^Przedstawię cię Bełfordowi i dzieciom, i zajmiemy się naszym planem!

Amanda wbiegła do środka. Była zdruzgotana, a zarazem czuła potworny niesmak. Wreszcie poznała matkę i jej prawdziwe oblicze...

Cóż, bal dla niej się skończył, nadawała się tylko do łóżka, czekało ją długie nocne dumanie. Musi stąd wyjść natychmiast, nim zniweczy sukces, który odniosła tego wieczoru.

Rozejrzała się uważnie po parkiecie, szukając kogoś - kogokolwiek, z wyjątkiem Cliffa - kto by ją zabrał do domu. Zamyślony Rex stał samotnie blisko pozłacanej kolumny. Utorowała sobie do niego drogę.

- Dobrze się czujesz? - Patrzył na nią zaniepokojony.

- Jestem wyczerpana. - Zmusiła się do uśmiechu. - Mógłbyś mnie odwiedzić do domu? Jeśli nie sprawi ci to większego kłopotu...

- Poczekaj, poszukam Cliffa. Zdaje się, że poszedł do palarni na cygaro.

- Proszę cię, Rex, przepraszam, że cię w to wciągam, ale wolałabym nie spotykać się teraz z Cliffem.

- Och... Ależ jak to tak?

- Nie chcę, żeby mnie zobaczył w tym stanie. Porozmawiam z nim z samego rana. Proszę. Naprawdę czuję się marnie.

Rex podumał chwilę, wreszcie oznajmił:

- Dobrze, Amando. Zresztą sam też mam już dość tego balu. Nie bawią mnie takie imprezy.

## **Rozdział dwudziesty**

Była druga nad ranem, gdy zaniepokojony Cliff przekroczył próg Harmon House. Kiedy uświadomił sobie, że od dobrej godziny nie widział Amandy, zaczął jej szukać, i dopiero służący powiedział mu, że Rex zabrał ją do domu. Coś tu nie grało. Przyszła tu z nim, nie z Reksem. Z pewnością ktoś jej dokuczył albo nawet obraził, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego nie zwróciła się do niego.

W domu panowała cisza. Wbiegł na górę i zatrzymał się pod drzwiami Amandy.

Tęsknił za nią. Uśmiechnął się mimowiednie. Cały de Warenne! Gdy mężczyzna w tej rodzinie zakocha się, to raz i na zawsze. Przeżyje tę noc sam, ale z chwilą, gdy Amanda zostanie jego żoną, nie spędzi jednej nocy bez niej. Będzie mu towarzyszyła w podróżach, przynajmniej do czasu zajścia w ciążę.

Jego żona. Nigdy nie przypuszczał, że kiedykol-



wiek wypowie te słowa choćby w myślach, że będzie chciał podjąć takie zobowiązanie. Z samego rana kupi jej pierścionek i poprosi o rękę. Nawet uklęknie na kolano. Zwykle uznaliby taki gest za romantyczną bzdurę, ale, na Boga, chciał być wobec Amandy tak romantyczny, jak tylko to możliwe. Jego dziecko. Uwielbiał dwójkę swoich dzieci, ojcostwo było największą radością jego życia. Myśl, że Amanda będzie nosić jego kolejnego syna albo córkę, wprowadziła go w błogostan. Dotąd los okrutnie ją doświadczał, pragnął więc dać jej to wszystko, co życie ma do zaoferowania, chciał ją zabierać do opery i do teatru, obsypywać klejnotami, otaczać dziełami sztuki, ubierać w stroje zaprojektowane przez paryskich krawców, a przede wszystkim zapewnić jej bezpieczeństwo i miłość. Może poczekać na trzecie dziecko. Jakże daleko wybiegł myślami!

Przyłapał się na tym, że trzyma rękę na klamce. Gdyby wszedł do jej pokoju, na pewno by się z nią kochał. Odskoczył więc od drzwi.

Amandzie należą się prawdziwe oświadczyzny, a potem huczne wesele i noc poślubna, której nigdy nie zapomni.

Zszedł na dół i zapukał do pokoju brata.

- Hej, śpisz?

- Już nie - mruknął rozeźlony Rex.

Cliff wszedł do sypialni. Rex wygramolił się z łóżka i zapalił lampę.

- Co się stało? - zapytał Cliff. - Dlaczego mnie nie odszukałeś? To ja powinienem odprowadzić Amandę do domu.

- Wracaj do łóżka i nie zwracaj głowy - zirytował się Rex. - Porozmawiaj z nią jutro. Tyle wiem, że była zdenerwowana. - Zgasił lampę i opadł z powrotem na łóżko, w oczywisty sposób kończąc rozmowę.

- Czy powiedziała, co ją wzburzyło? - nie dawał za wygraną Cliff.

- Nie powiedziała. Dobranoc.

- Jak bardzo była zdenerwowana?

- Była. Dobranoc!

Cliff westchnął i wyszedł. Gdyby stało się coś poważnego, Rex by go powiadomił. Rano, przed udaniem się na Bond Street po pierścionek, porozmawia z Amandą. Kupi jej najwspanialszy diament, jaki uda mu się znaleźć.

Był szczęśliwy.

Z nadmiaru emocji Cliff nie zmrużył prawie oka. Parę minut po ósmej on i Tyrell jako jedyni jedli śniadanie o tak wczesnej porze. Cliff nie mógł usiedzieć w miejscu. Żołądek miał ściśnięty, tylko sączył kawę. Amanda zejdzie dopiero za jakiś czas, a sklepy na Bond Street otwierają o jedenastej. Chciał ją zobaczyć przed wyjściem. Jeszcze nigdy czas nie dłużył się tak okropnie.

- Co z tobą? - zapytał Tyrell.

- Nic. - Przestał stukać nerwowo po stole.

- Wyglądasz jak narowisty koń wyścigowy tuż przed wyjściem z bramki startowej.

Cóż, nic dodać, nic ująć, pomyślał. Do jadalni weszła Amanda. Cliff poderwał się na nogi. Była niewyspana, przy tym spięta i zdener-

wowana. Coś poważnego musiało się wydarzyć na balu.

Podszedł do niej.

- Dzień dobry. - Z wymuszonym uśmiechem skinęła głową Tyrellowi, po czym zwróciła się do Cliffa:

- Chciałabym zamienić z tobą słowo. Na osobności.

Odniosł wrażenie, jakby to ona była dorosłą osobą, a on dzieckiem, któremu należy się reprimenda.

- Oczywiście. - Spojrzał na Tyrella. - Wybacz nam, proszę.

Poszli do biblioteki. Amanda zamknęła drzwi.

- Jestem coraz bardziej zaniepokojony. - Przyglądał się jej z uwagą. - Widzę, że źle spałaś.

- Podobnie jak ty. - Uśmiechnęła się blado.

- Co wydarzyło się wczoraj? Dlaczego opuściłaś bal w takim pośpiechu? Dlaczego nie kazałaś mnie zawołać? Zabrałbym cię do domu!

- Byłam pewna, że bawisz się w najlepsze. O co jej chodzi? - myślał zdezorientowany.

- Największą przyjemność miałem z tego, gdy obserwowałem, jakie masz niewiarygodne powodzenie. - Nie to chciał powiedzieć. - Amando, z radością patrzyłem na ciebie.

- Cliff, muszę z tobą o czymś porozmawiać.

- Jesteś smutna z mojego powodu? Obraziłem cię czymś? - Zaniepokoiła go jej stanowczość.

- Och, Cliff, jak mogłabym być smutna z twojego powodu? Zawsze będę ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, a już bal był cudowny. - Zarumieniła się. - Nigdy nie zapomnę naszego walca.

- Mówisz tak, jakbyśmy już nigdy mieli nie zatańczyć! - Podszedł do niej. - Mówisz tak, jakbyś się gdzieś wybierała.

Zwilżyła wargi, spojrzała na niego.

- Mam pewne plany - wyszeptała.

- Plan? Jakie znów plany? - zapytał przerażony.

- Kiedy wyjechałeś, uświadomiłam sobie, że nie pragnę wyjść za mąż. Wracam do domu.

- Co?

- Wracam do domu. Nie chcę brać ślubu. Nie wezmę. Proszę, nie zrozum mnie źle. Zawsze będę ci wdzięczna za wszystko, ale moje miejsce jest na Jamajce. Zamierzam otworzyć sklep, a jak zbiorę fundusze, założę przedsiębiorstwo żeglugowe.

Poczuł się tak, jakby ktoś zadał mu potężny cios.

- Chcesz wrócić na wyspę? Twój dom jest tutaj!

- Harmon House jest twoim domem. Wiem, co czujesz, ponieważ wiązałeś inne plany z moją osobą, ale nie zmienię zdania.

- Chcesz otworzyć sklep? O co tak naprawdę chodzi? Co się stało wczorajszej nocy?

- Nie chodzi o wczorajszą noc, w każdym razie nie do końca. Podjęłam decyzję, kiedy byłeś w Holandii. Miałam czas, by wszystko przemyśleć. Cliff, wiem, że pragniesz wyłącznie mojego dobra. Doceniam to i jestem ci wdzięczna. Nie chcę jednak wyjść za kogoś obcego. Jamajka jest moim domem. Muszę się zabezpieczyć, więc wymyśliłam sklep. Znam się na handlu i żeglarstwie.

Wszystko bardzo starannie przemyślałam i jestem pewna, że mi się uda.

Upłynęła długa chwila, zanim zdołał przemówić:

- Rozumiem, że nie chcesz poślubić kogoś

obcego. - Wahał się, chciał wyjawic swoje uczucia, ale nie był pewny, jak zostanie przyjęty. - Nie musisz wychodzić za mąż, Amando, dopóki nie zechcesz. Jednak możesz tu zostać. Odprawię wszystkich adoratorów.

- Cliff, nie mogę tu zostać. Chcę wrócić do siebie i natychmiast rozpocząć działalność.

- Czy to przez Dulceę? Spotkałaś ją? Powiedziała ci coś przykrego? Chociaż nie widzę, żebyś była załamana...

- Rozmawiałam z nią - wpadła mu w słowo.

- Miała mnóstwo propozycji - rzuciła drwiąco.

- Również i taką, żebym zamieszkała w Belford House.

- I dlatego uciekasz na wyspę?

- Nie uciekam! I nie wyjeżdżam z powodu Dulcei. Jest okropnym człowiekiem, nie chcę jej więcej widzieć na oczy, to wszystko. Musisz jednak coś zrozumieć, Cliff. W Spanish Town uratowałeś dziecko. Teraz jestem kobietą. Nie możesz opiekować się mną w nieskończoność. Najwyższy czas, żebym przejęła sprawy w swoje ręce. - Oczy jej zwilgotniały.

- Dlaczego nie mogę opiekować się tobą? To całkiem miły obowiązek.

- Bo przez to nie mogłabym się usamodzielnic. Był w rozterce. Dlaczego Amanda postanowiła być niezależna właśnie teraz, kiedy zakochał się po uszy?

- Jeżeli naprawdę chcesz wrócić na wyspę, zawiozę cię. Jeśli chcesz otworzyć sklep, udzielę ci kredytu. Jeśli chodzi o żeglarstwo...

- Nie!

- Nie chcesz ode mnie żadnej pomocy?

- Nic nie rozumiesz! - krzyknęła. - Chcę to zrobić sama! Muszę zrobić to sama!

Był przerażony. Czy właśnie tracił Amandę? Absolutnie nie może do tego dopuścić. Musi odzyskać jej uczucia.

- Dlaczego? Wyjaśnij mi, bo naprawdę nie rozumiem, co się tutaj wydarzyło.

Uśmiechnęła się smutno, po czym zaczęła powoli przemierzać bibliotekę. To była zupełnie inna osoba. Zmiana, którą zauważył w niej wczoraj, aż rzucała się w oczy. Ta nieznana mu dotąd, elegancka dama obchodziła statecznym krokiem bibliotekę, dobierając starannie słowa. Słowa odrzucenia. Zatrzymała się przed nim.

- Nie smuć się.

- Nie mogę cię zostawić, zapomnieć o tobie. Błagam, Amando, nie żądaj tego ode mnie.

- Wcale tego nie żądam. Proszę tylko, żebyś zwrócił mi wolność.

- Tak to odbierasz? - Był zdruzgotany. Błada jak papier, pokiwała głową.

Wreszcie zrozumiał. W towarzystwie czuł się jak zwierzę w klatce i śpieszno mu było wyruszyć na morze, na pełną swobodę. Amanda czuje podobnie. Spędziła dwa miesiące w stolicy i ma już dosyć. Za olśniewającą i nobliwą fasadą nadal kryje się Dzikuska.

- Zabiorę cię do domu. - I dopilnuje, żeby zbudowała swoje życie z dala od cieni przeszłości, bo czy tego chce, czy nie, zawsze będzie przy niej

jako jej opiekun i protektor. Po raz pierwszy w życiu wyrzeknie się swoich męskich spraw i będzie czekać tak długo, jak długo potrwa zabieganie o jej względy.

Ujął jej dłonie.

- Przywiozłem cię tutaj, żebyś poczuła wolność, a nie tkwiła zamknięta w elitarniej celi.

- Wiem.

- Nie żal ci pięknych strojów, lekcji czytania, walca?

- Oczywiście, ale nic nie rozumiesz. - Musnęła go po policzku. - Nie wracam do domu jako Dzikuska, lecz jako panna Carre. Tęsknię za wiatrem we włosach, ale nie uciekam przed socjetą. Muszę wrócić na wyspę, bo nie mogę być dłużej twoją podopieczną.

Wbiła mu sztylet w serce.

- Rozumiem. Chcesz uciec przede mną.

- Mogę tylko powtórzyć, że chcę zacząć żyć na własny koszt, bez męża, bez opiekuna. Bez ciebie. Czy jednak nie pozostaniemy już na zawsze przyjaciółmi?

Czy to znaczy, że go odrzuca? Nie, to nie ma sensu! Nie może utracić jedynej kobiety, którą pokochał! Jeśli Amanda ucieka od towarzystwa, pojedzie za nią i będzie na nią czekał, ale jeśli ucieka od niego, nie pozwoli jej odejść.

Patrzył na nią w milczeniu.

- Sprawiałam ci ból! - zawołała. - Cliff, byłeś najlepszym mistrzem, o jakim może marzyć kobieta! I takim pozostaniesz na zawsze w moim sercu. A pewnego dnia, kiedy będę bogatą i szanowaną damą, spotkamy się w Windsong i powspominamy dawne czasy.

- Jeszcze jak!

- I oddam ci do ostatniego pensa, co na mnie wydałeś. Jak widzisz, tym razem to ja składam ci obietnicę.

- Nie chcę, żebyś mnie spłacała! - zawołał rozdygotany. - Pewnie chodzi o to, co wydarzyło się w Ashford Hall!

Amanda aż się zachłysnęła, potwierdzając jego przypuszczenie.

- Nie wiem, co masz na myśli!

- Odrzuciłem cię.

- Jesteś człowiekiem honoru. Postąpiłeś słusznie. Moje zaloty były nie na miejscu.

- I dlatego uciekasz!

- Nie!

Przyparł ją do ściany.

- Powiedziałaś, że podjęłaś decyzję, kiedy byłem w Holandii. Pojechałem tam, bo zbyt mocno cię pożądałem. Pojechałem tam, żeby nie skorzystać z tego, co mi ofiarowałaś! A kiedy mnie nie było... postanowiłaś mnie opuścić.

- Tak, Cliff...

- Teraz jesteś szczerą - wyszeptał, gładząc jej policzek.

- Co robisz? - zapytała zmienionym głosem.

- Amando!

Zapatrzyła się na niego, czując, że tym razem Cliff gotów jest pójść za głosem pożądania. Wyciągnęła do niego ramiona. Przywarł do niej wargami.



Ledwie poczuł jej słodkie usta, zniknęły złość, strach i ochota na dziki, zaborczy pocałunek. To kobieta, którą kocha. Pragnie jej teraz i zawsze.

- Chodź ze mną, Amando - powiedział stłumionym głosem.

Wbiegli na palcach na górę, do jej sypialni. Cliff zamknął drzwi na klucz i zrzucił surdut.

Stała obok łóżka niczym łania sparaliżowana oślepiającym światłem.

Podszedł do niej.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa. - Pogłaskał jej policzek.

- Cliff... pośpiesz się.

I nagle wszystko stało się takie proste, takie oczywiste. Rozebrali się niecierpliwie, pomagając sobie nawzajem, pieszcząc przy tym, całując.

Leżeli na łóżku, olśnieni swoją nagością, czułym, coraz gwałtowniejszym dotykiem. Amanda знаła już to zachwycające uczucie, lecz spragniona była poznania ostatecznej tajemnicy. Cliff zaś, nicpoń i słynny uwodziciel, co to zwiedził setki damskich buduarów, wreszcie czuł się szczęśliwy z kobietą.

- Cliff, nie mogę dłużej czekać - jęknęła słodko Amanda.

- Kochanie, zaboli trochę...

- Teraz, już! - krzyknęła.

Zadrżała gwałtownie, przywarła do niego, oddając ukochanemu dziewiczy skarb.

A potem było już tylko cudowniej i cudowniej.

Leżała przytulona do niego. Kochała go bezgranicznie.

- Było ci dobrze, kochanie? - spytał. Pocałowała go, zamknęła oczy.

- Wspaniale...

- To była zaledwie mała przystawka - powiedział z błyskiem w oczach. - Jeszcze wiele dań przed nami.

Poznała smak ich wszystkich.

Siedziała przy sekretarzyku, w szlafrocisku, przy świecy, i czytała list, który właśnie napisała. Cliff, rozłożony w jej łóżku, spał w najlepsze. Było już dobrze po zmroku. Kochali się cały dzień. Wiele razy widywała jego podpis, i teraz podrobiła go starannie, złożyła kartkę z zawartą na niej instrukcją, starła łzę z papieru. Włożyła list do koperty i zapieczętowała. Serce jej się krajało na myśl, że wkrótce opuści Cliffa na zawsze.

Była pewna, że po przebudzeniu będzie nalegał, żeby wzięli ślub, bo honor, bo poczucie obowiązku. Jednak małżeństwo pod przymusem nie wchodziło dla niej w rachubę.

Przecież nic się nie zmieniło. Nadal jest beznadziejnie zakochana w mężczyźnie, który jej nie kocha. Najwyższy czas usamodzielnąć się.

Wstała od sekretarzyka. Złękła się, kiedy zaskrzypiała podłoga. Wolniusieńko otwierała drzwi, kiedy odezwał się Cliff:

- Co robisz?

Odwróciła się z wymuszonym uśmiechem.

- Pomyślałam, że poszukam pokojówki i poproszę o trochę wina i coś do jedzenia - skłamała, bo tak naprawdę chciała przekazać wiadomość do

portu. Jeżeli MacIver da wiarę instrukcjom, które otrzyma, jutro, w czasie najbliższego przyływu, zabierze ją do domu. Jutro wieczorem będzie na morzu. Wolała nie myśleć, jak bardzo zrani i roz-  
wścieczy tym Cliffa. Jednak prędzej czy później znajdzie sobie kochankę, która go pocieszy.

Cliff ziewnął, przeciągnął się i przesłał jej uwodzicielskie spojrzenie.

- Świetny pomysł. Poproś o szampana, a potem wracaj do łóżka.

Nigdy nie przestanę go kochać, pomyślała, wymykając się z pokoju.

Znalazła pokojówkę i wręczyła jej kopertę. Myślała przy tym o gniewie Cliffa, gdy się dowie, że go zdradziła.

## **Rozdział dwudziesty pierwszy**

Rozpierało go szczęście. Zrozumiał, czym naprawdę jest miłość. To tak, pomyślał, jakby wielokrotnie pomnożyć radość i upojenie.

Wszedł do Harmon House i natychmiast jego wzrok powędrował w kierunku schodów. Zaręczynowy pierścionek wypalał mu dziurę w kieszeni. Wypróbował z dziesięć różnych tekstów oświadczeń, ale żaden nie wydał mu się dostatecznie dobry i dorzeczny. Chciał jakoś wysławić głębię swych uczuć, jeśli nie zrobił tego ostatniej nocy.

Strasznie pragnął Amandy. Kochał się z nią mnóstwo razy na różne sposoby i nie mógł się doczekać, kiedy zaczną od nowa. Wierzył naj-święciej, że zrozumiała, co chciał wyrazić, gdy ją całował, dotykał i przytulał. Był pewny, że dwa magiczne słowa, które każda kobieta pragnie usłyszeć, mogą być trudne do wypowiedzenia, ale można je wyrazić w inny sposób.

Już stawiał nogę na stopniu, kiedy w głównym holu pojawił się ojciec.

- Zanim mnie zbesztasz, wiedz, że moje intencje są honorowe - uprzedził reprimendę ojca, sięgnął do kieszeni, wyjął szafirowoniebieskie aksamitne pudełeczko i otworzył je. Leżący w nim ośmiokaratowy brylant odbijał światło.

Hrabia uśmiechnął się.

- Nie miałem wątpliwości, synu, że zamierzasz się ożenić. Dałeś to dość jasno do zrozumienia w dniu mojego przyjazdu. Powiedziałeś, że w dniu, w którym ją uwiedziesz, ożenisz się z nią.

- Wtedy jeszcze tego nie planowałem.

- Hm, niech będzie... Pierścionek jest piękny, w sam raz dla niej. Moje gratulacje. Ogromnie się cieszę za was oboje.

Cliff odprężył się.

- Nie zgromisz mnie za mój brak opanowania?

- Nie, mój chłopcze. Jesteśmy normalnymi, pełnymi wigoru mężczyznami, a gdy zawładnie nami miłość, nic nie jest w stanie nas powstrzymać.

- Kapitanie? - odezwał się nieśmiało służący.

- Nie widzisz, że rozmawiamy? - zachnął się Cliff.

- Sir, panna Carre wyraźnie zaznaczyła, żeby oddać to panu punkt o czwartej.

- Gdzie jest panna Carre? - zapytał, biorąc kopertę, która była zaadresowana do niego jej charakterem pisma.

- Wyszła parę minut po dwunastej - odpowiedział sługa.

Cliff rozerwał kopertę i wyjął list.

***Drogi Cliffie,***

***Kiedy otrzymasz ten list, będę już na morzu w drodze do domu. Mam nadzieję, że zrozumiesz moją potrzebę powrotu na wyspę i pozwolisz mi bez przeszkód odjechać. Cliff, jestem Twoją dozgonną dłużniczką. Brak mi słów na wyrażenie wdzięczności za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Będzie mi***

***brakować naszej przyjaźni i Twoich dzieci, w ogóle całej Twojej ciepłej, kochającej, cudownej rodziny. Jednak muszę znaleźć własną drogę w życiu. Modłę się, żebyś to zrozumiał. Kiedy wrócisz do Windsong, z radością spotkam się z Tobą, o ile tylko się zgodzisz, zależy mi bowiem bardzo, byśmy pozostali przyjaciółmi. A na razie serdeczne pozdrowienia dla Ciebie, Twoich dzieci i Twojej rodziny.***

***Z czułością Amanda***

Wpatrywał się w kartkę, nie rozumiejąc ni słowa.

- Cliff? Co to takiego? - zainteresował się hrabia. Jeszcze raz przeczytał powoli każde słowo. Kiedy skończył, jedna myśl chodziła mu po głowie. Porzuciła go.

- Chodzi o Amandę? - Hrabia chwycił go za ramię. Porzuciła go. Zostawiła go po tym, jak kochał ją cały dzień i noc, wyrażając ciałem to, czego nie umiał wyrazić słowami.

Pisze o przyjaźni i czułości.

Mam pierścionek zaręczynowy w kieszeni płaszcza, myślał bezradnie.

- Cliff? Mogę?

Podał ojcu list.

Jak do tego doszło?

Chce, żeby byli przyjaciółmi?

Kocha tę kobietę. Miała zostać jego żoną, a teraz płynie bez niego przez Atlantyk? Nie trzeba dużej wyobraźni, żeby wyliczyć niebezpieczeństwa czyhające podczas takiej podróży. Musi sam dowieźć ją do Indii Zachodnich, jeśli zależy mu na jej życiu!

- Cliff, nie bierz tego tak dosłownie.

- Powóz, natychmiast! - krzyknął do odźwiernego.

Jak mogła to zrobić? Czy nie była w nim zakochana parę tygodni temu, przed jego wyjazdem do Holandii? Przyjaźń! Czy ona zupełnie zwariowała? Nie potrzebuje przyjaźni, pragnie żony... pragnie jej miłości.

Po chwili pędził dwukółką ulicami Londynu. Zatrzyma ją, jeśli jeszcze nie odpłynęła. Nagle zrozumiał, że Amanda nie mogła wyruszyć w rejs. Bywał codziennie na nabrzeżu i w urzędach spedycyjnych, doglądając spraw handlowych, i był niemal pewny, że dzisiaj żaden statek nie odpływa na wyspy. Zmusił wałacha do galopu. Woźnice wygrażali mu, kiedy musieli zjeżdżać na krawężnik. Zaklął pod nosem. Jakkolwiek nie był pewny rozkładu, wiedział doskonale, że od trzeciej po południu przypląwy sprzyjają opuszczaniu portu.

Jeśli Amanda odpłynęła, przygotowuje do drogi „Fair Lady” i ją dogoni.

Cały de Warenne! Amanda należy do niego, teraz i na zawsze, będzie więc ją ścigał, aż odnajdzie i odzyska jej miłość.

Gdy dotarł na nabrzeże, od razu stwierdził, że coś jest nie tak. O Boże! Miejsce, gdzie cumowała „Fair Lady”, było puste!

Dziesięć dni później Amanda siedziała w kabinie Cliffa, przy jego biurku, pochłonięta fascynującą historią Aleksandra Wielkiego. Postanowiła nie tonąć w smutku i nie użalać się nad sobą, a jedyną metodą na to było pograżenie się w lekturze.

Lepiej nie myśleć, powtarzała sobie. Z tym nastawieniem przeczytała tuzin książek w dziesięć dni. Jednak obraz Cliffa powracał co jakiś czas. Wtedy dopadała ją straszna tęsknota, a wraz z nią żal i rozpacz z powodu nieodwzajemnionej miłości. Gdy nadludzkim wysiłkiem wracała do równowagi, perswadowała sobie, że podjęła słuszną decyzję.

Kiedy indziej wyobrażała sobie jego wściekłość z powodu porwania „Fair Lady”. Nie miała jednak innego wyjścia, choć naprawdę czuła się winna. Zdradziła Cliffa, opuszczając go tak nagle i biorąc jego fregatę po tym wszystkim, co dla niej zrobił. Być może swoim czynem pogrzebała nawet ich przyjaźń.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Panno Carre? Kapitan prosi o rozmowę - zameldował młody marynarz.

Niechętnie wyszła na pokład. Wszystko tam przypominało jej Cliffa. Oczyma wyobraźni zobaczyła go przy sterze, w bawełnianej koszuli, w kurtce z marokinu, białych bryczesach i wysokich butach. Otrząsnęła się jednak i podeszła do MacIvera.

Na szczęście Mac nie zakwestionował rozkazów, które sfalszowała. Zdziwił się wprawdzie, że kapi-



tan przysłała instrukcje na piśmie, skoro codziennie bywa w porcie, lecz wyjaśniła, że Cliff zajęty jest dziećmi. Maclver przyjął to do wiadomości, po czym kazał przygotować statek do drogi i parę minut po trzeciej wypłynęli.

Maclver przekazał ster kadetowi Clarkowi i uśmiechnął się do niej pełną gębą.

- Dzień dobry, panno Carre.

- Dzień dobry. - Zachłysnęła się świeżym, słonym powietrzem i zapachem morza. - Co się stało?

- Polują na nas.

Stężała. Znała marynarski żargon. Maclver mógł powiedzieć, że ich ścigają, płyną ich śladem, ale każde z tych słów miało inny niuans.

- Kto może na nas polować?

- Nie wiem. Wypatrzyliśmy ich o wschodzie słońca, ale teraz widać wyraźnie, że to polowanie.

Ktokolwiek nam źle życzy, jest lekki i szybki, i zbliża się błyskawicznie. Daję mu najwyżej godzinę na dogonienie nas.

To Cliff, pomyślała w przyptywie radosnego podniecenia, zaraz jednak ogarnął ją strach.

- Żaden pirat nigdy nas nie zaatakował - oznajmił Maclver - chyba że był niepoczytalny albo działał na czyjeś zlecenie. Wygląda na to, że to szkuner. Przyjrzałem mu się przez lunetę i doliczyłem się piętnastu dział. Nie uciekniemy przed nim, bo jest mały i lekki, ale możemy walczyć. Łatwo go zniszczymy. Wydam rozkaz do zajęcia pozycji.

Amandzie dreszcz przeszedł po plecach.

- Chyba wiem, kto to - wyszeptała, wpatrując się w horyzont.

- Proszę powiedzieć!

- Sfalszowałam rozkazy de Warenne'a. Popełniłam straszny błąd!

- Co?

Odetchnęła głęboko.

- To prawda. Sfałszowałam jego rozkazy. Nie zlecił ci odwiedzić mnie do domu. Podrobiłam jego podpis.

- Chryste, zmiłuj się nad nami! - zawołał MacIver. - Jak nic, przeciągnie mnie pod kilem... Masz szczęście, że jesteś kobietą!

Zagryzła wargi. Okropnie się bała. Postąpiła w niewybaczalny sposób. To koniec ich przyjaźni!

- Matko przenajświętsza! Nic dziwnego, że na nas poluje. Ukradłś jego statek! - Poczerwieniał z przerażenia. - Ukradłś jego najlepszy statek.

To nieprawda, pomyślała. Za pół godziny Cliff wejdzie na pokład i wtedy wszystko mu wyjaśni.

- Pożyczyłam - powiedziała drżącym głosem.

- On tak nie uważa.

Miał rację. Patrząc na sprawę z punktu widzenia kapitana, przekroczyła pewną Jinię i nie da się już tego naprawić. Coraz bardziej się bała. Tatko zabiłby każdego za to, co zrobiła.

- Zaczekaj lepiej gdzieś na dole - warknął MacIver.

Wbiegła do kabiny kapitańskiej, zatrzasnęła drzwi. Chciała się zaryglować, ale to nie miało sensu.

Cliff zjawi się po swój statek, a ona nie zamierzała go unikać. Nie ucieknie też przed jego gniewem.

Nagle poczuła przepełniającą jej ciało słodycz i doszła do wniosku, że nie będzie się

bronić czy tłumaczyć. Chce tylko znaleźć się w jego ramionach i cofnąć czas.

Jednak sprawy zaszły za daleko. Musi być stanowcza. Nie zostanie jego kochanką i nie wyjdzie za niego tylko po to, by mógł zachować honor. Zaśmiała się histerycznie. Cliff nie myśli teraz o honorze! Chce ukarać winnych i odebrać swój statek.

Usłyszała kuter uderzający o kadłub i ludzi zarzucających sznurową drabinkę. Podbiegła do iluminatora.

Rozległ się huk, drzwi wyleciały z zawiasów. Stał w nich Cliff. Owszem, był spokojny - jak kula armatnia przed odpaleniem prochu.

Skierował ku niej palec.

- Mam ci do powiedzenia dwie rzeczy, moja panno.

Serce podeszło jej do gardła. Jakże musi jej nienawidzić!

- Wracasz ze mną do domu. Bierzemy ślub. Wypadł z kabiny.

## **Rozdział dwudziesty drugi**

Pobiegła za nim. Nadal chce się z nią żenić! Wiedziała, że Cliff kieruje się honorem, ale po tym, co zrobiła, powinien się czuć zwolniony z tego obowiązku.

Pomstując, wszedł na pokład rufowy.

- Daj mi butelkę whiskey.

- Robi się - pośpieszył z odpowiedzią oficer. Amanda zatrzymała się na głównym pokładzie.

Nie mogła patrzeć beczynnie na jego furję, musiała się wytłumaczyć. Nie zamierzała z nim wojować ani teraz, ani nigdy.

- Sir! - Błady jak płótno MacIver powitał Cliffa. Posłał mu lodowaty uśmiech.

- Wytłumacz się z twego udziału w sztuczce panny Carre.

- Otrzymałem list z rozkazami, sir. Mam go na koi. Widnieje na nim pański podpis. Zaraz go przyniosę.

Nie tylko jest zły, pomyślała Amanda, jest także zraniony.

- To ja sfalszowałam rozkazy - wyjąkała. - I twój podpis.

Kiedy popatrzył na nią, powiało takim chłodem, że zmieniła zdanie. Nie zraniła go, po prostu jest wściekły i nią gardzi.

- Spryciara. - Odwrócił się do Maclvera. - Dostarczysz mi rozkazy po wachcie.

Oficer przyniósł whiskey i szklankę. Cliff wzgardził szklanką, pociągnął mocno z butelki. Pił długo i zachłannie. Stopniowo jego ramiona i plecy się rozluźniły.

Spojrzał na Amandę. Już nie miał tak napiętej i ponurej miny. Ruchem głowy pokazał na swoją kabinę. Ruszyła tam. Wyprostowała ramiona, żeby dodać sobie odwagi. Spodziewała się najgorszego. Weszli do środka. Wyrwane drzwi leżały na podłodze.

- Opuściłaś mnie - powiedział.

- Przepraszam, że pożyczyłam twój statek i że...

- Opuściłaś mnie po wspólnie spędzonej nocy.

- Wiedziałeś, jakie mam plany. Nic się nie zmieniło. Było mi z tobą cudownie, ale mówiłam poważnie o moich zamiarach. Wiem, że jesteś zły. Wiem, że zachowałam się jak tchórz, wiem, że nie powinnam mieszać w to Maclvera...

- Nie obchodzi mnie statek! - ryknął. - Dobrze, że wzięłaś fregatę, przynajmniej obroniłabyś się przed piratami. Do diabła! Kochałem się z tobą, a ty mnie zostawiłaś!

- Miałam się zgodzić, żebyś ożenił się ze mną jedynie dlatego, że mnie uwiodłeś? Noc, którą spędziliśmy, tylko umocniła mnie w przekonaniu, że muszę odsunąć się od ciebie.

- Umocniła w przekonaniu, że musisz odsunąć się ode mnie?!

- Nie zrozum mnie źle, nie chcę zadawać ci bólu, ale uwiodłeś mnie i dlatego postanowiłeś się ze mną ożenić. Honorowe zachowanie nie jest ważnym argumentem, przynajmniej dla mnie.

Przeszył ją wzrokiem.

- Honorowe zachowanie... Czy ty w ogóle wiesz, czym się kieruję, Amando?

- Tak, wiem. - Nie zdołała powstrzymać łez. - Jesteś najbardziej honorowym człowiekiem, jakiego znam. Wiem, że mój list w niewielkim stopniu wyraził głębię moich uczuć, nie wątpię jednak, że doskonale zdajesz sobie sprawę, jak trudno było mi cię opuścić.
- Głębia twoich uczuć... - Podeszedł do niej. - Czy nawiązujesz do przyjaźni, którą chcesz podtrzymać, i do czułości, którą mnie darzysz? - Ton jego głosu był oziębły i sarkastyczny. Górował nad nią. Chciała się cofnąć, ale jej nogi jakby wrosły w ziemię.
- Nie myślę, że zechcesz kontynuować naszą przyjaźń, jednak dla mnie to ważne. Będę cię błagać o przebaczenie, bo pragnę, żebyśmy zostali bliskimi sobie ludźmi.
- Nie chcę być żadnym przyjacielem - powiedział szorstko. - Do licha, nie opowiadaj, że czujesz się jak przyjaciółka po tym, jak byłaś ze mną w łóżku!

- To nie fair!
  - Nie fair jest to, że mnie zostawiłaś!
  - Zgadzam się w pełni, że po wszystkim, co dla mnie zrobiłaś, zachowałam się skandalicznie. Jednak byłam zrozpaczona.
  - Nigdy nie uwierzę, że z rozpaczy chcesz zostać właścicielką sklepu. Jaka kobieta jest tak naprawdę niezależna? Tylko stara panna i wdowa, a ty do nich nie należysz.
  - Planowałam staropanieństwo.
  - Akurat! - prychnął.
  - Teraz mną gardzisz.
  - Czy naprawdę jesteś taka tępa i niedomyślna? Jakże mógłbym tobą gardzić! Czy stałbym tu teraz i proponował ci małżeństwo, gdybym tobą gardził?
- Z sercem walącym jak młot spytała:
- Dlaczego tak naprawdę mnie ścigasz?
  - Jestem de Warenne. - Wyprostował się. - Jak powiedział mój ojciec, nic nas nie powstrzyma, gdy w grę wchodzi miłość.
  - Co...? - Czyżby się przesłyszała?
  - Nigdy nie uwierzę, że chcesz zostać sklepikar-ką! Mam przed sobą piękną damę, ale wiem, że pod tą suknią nadal kryje się Dzikuska.
- Zadrżała z emocji.
- Nie przestanę być kobietą, którą się stałam. Za bardzo ją polubiłam. Masz jednak rację, w głębi duszy nadal wolę wiatr we włosach od balu. Cliff! Co miałeś na myśli? No wiesz, „gdy w grę wchodzi miłość”?
  - To znaczy, że muszę poznać prawdę. Na miły Bóg, Amando, czyż nie zasługuję na nią? Nie dają mi spokoju twoje słowa: „nie chcę być twoją podopieczną”. Czyż nie tak powiedziałaś? Uciekłaś nie po

to, żeby być sklepikarką, ale żeby odejść ode mnie! Co takiego zrobiłem, że aż tak mnie nie cierpisz? Sądziłem, że łączy nas coś zupełnie innego.

- Cliff! To nie tak. - Boże, jak trudno wypowiedzieć te słowa. Musiał jednak poznać prawdę, nie mogła dłużej go ranić. - Moje uczucia się nie zmieniły i nigdy się nie zmienią...

Chwycił jej dłoń i przyłożył sobie do piersi.

- W takim razie już nic nie rozumiem. Jeśli nadal mnie kochasz, jak mogłaś mnie opuścić? Bo jeśli chodzi o mnie, Amando, to kochałem się z tobą, i nigdy nie robiłem tego z żadną inną kobietą.

- Jak to? - I to mówi słynny uwodziciel?

- Seks a kochanie to wielka różnica. Przeżyłem z tobą najcudowniejsze chwile w moim życiu. Pokochałem cię, gdy byłaś jeszcze dziką dziewczynką włóczącą się po plażach wyspy. A może później, w Pałacu Królewskim, gdy wpadłaś uzbrojona po zęby. Starłem się ze wszystkich sił nie dopuszczać do siebie myśli o tym, jak bardzo cię pragnę i co czuję w sercu. Nigdy dotąd nie byłem zakochany!

Potrzeba było osiemnastu dni rozłąki, żeby dotarło do mnie, iż tęsknię za tobą tak bardzo, jak jeszcze za nikim nie tęskniłem. Kiedy zeszłaś wtedy ze schodów, uświadomiłem sobie, że nie walczę z pożądaniem, ale z miłością. - Wreszcie uśmiechnął się lekko. - Honor nie ma nic wspólnego z moimi oświadczeniami. Jeżeli nadal mnie kochasz, muszę wiedzieć to teraz.

Padła w jego ramiona, zapłakana i roześmiana jednocześnie.



- Nigdy nie przestałam cię kochać. Jakżebyś mogła? - Popatrzyła na niego. - Czy to sen? Naprawdę mnie kochasz? Jak można mnie kochać?
- No cóż - powiedział z uśmiechem - jeśli wykluczyć to, co oczywiste, czyli twoją urodę i odwagę... - Spoważniał. - Podziwiam cię jak nikogo dotąd, jednak jest coś więcej. Kiedy wyjechałaś, kiedy mnie opuściłaś, poczułem się zagubiony i pusty. - Wahał się chwilę. - Poczulem strach i panikę. Objęła go, świadoma faktu, że ten mężczyzna nie znał dotąd uczucia strachu.
- Tak naprawdę nie chciałam prowadzić sklepu - wyszeptała. - Nie chciałam rozstawać się z tobą i już nigdy- cię nie zostawię.
- Przez chwilę tulił ją mocno, a potem przeniósł na łóżko.
- Tęskniłem za tobą. I zamierzam pokazać ci jak bardzo. - Zatopił się w pocałunku.
- Czuję się jak Kopciuszek - wyszeptała Amanda, kiedy kładł ją na plecach. Ułożył się nad nią i uśmiechnął czule.
- Nie jestem księciem.
- Cliff, jesteś moim królewiczem z bajki! Uśmiechnął się od ucha do ucha, po czym zaczął ją całować.
- Nie obejmę dowództwa statku - mruknął, kiedy zrobili przerwę.
- Wiedziała, co to znaczy. Dziesięć dni w kabinie, w łóżku.
- Bardzo się cieszę, ale czy nie będzie ci brak wytwornego towarzystwa?
- My tu gadu-gadu, a tak naprawdę chciałbym ci coś dać. - Usiadł i sięgnął do kieszeni irchowych bryczesów, a następnie podał jej pierścionek z wielkim brylantem. Amanda aż jęknęła z wrażenia.
- Mogę? - zapytał.
- Skąd to masz? - Oszołomiona wyciągnęła rękę. Włożył go jej na palec.
- Pewnie w chwili, gdy dokonywałem tego zakupu, ty wchodziłaś na statek i podnosiście żagle.
- Och, tak mi przykro. Pocałował ją w rękę.

- Madame, bardzo ci zależy na hucznym weselu?

- Ani trochę.

- A co byś powiedziała, gdyby MacIver udzielił nam ślubu?

Usiadła i wyprostowała się jak struna.

- Tak.

- No to łatwo mi poszło. - Roześmiał się z ulgą.

- A tak liczyłem, że będę mógł wypróbować potęgę mojej perswazji.

- Będiesz miał okazję wykazać się po ślubie

- wyszeptała, ciągle jeszcze oszołomiona tak nagłą zmianą sytuacji. - Masz na myśli... teraz?

Wstał i wyciągnął do niej rękę.

- Oczywiście.

Wzięła go za rękę. Wychodząc z kabiny, Cliff wziął z biurka Biblię.

- MacIver, udzielisz nam ślubu. Oddaj ster Clarkowi.

- Tak jest, sir! - Roześmiany MacIver zeskoczył na główny pokład. - Sir, czy mogę zwołać załogę?

- Rób, co chcesz. Jesteś kapitanem.

Po chwili marynarze wybiegali z dolnych pokładów, zeskakiwali z olinowania. Amanda uprzytomniła sobie, że oto spełnia się jej marzenie. Nareszcie jest damą i zdobyła serce Cliffa.

- Gotowy, sir? - zapytał Maclver.

- Tak jest - odpowiedział zdławionym głosem Cliff. - Jednak najpierw chciałbym coś powiedzieć. - Ujął jej dłonie. - Amando, nie wiem, od czego zacząć... W dniu, w którym zobaczyłem cię w Pałacu Królewskim, stałaś się treścią mojego życia. Ślubowałem chronić cię i zabezpieczyć twoją przyszłość. Dzisiaj spełniam tamte śluby. - Patrzył na jej łzy wzruszenia. - Teraz przyrzekam ci więcej. Będę cię wielbić, czcić, szanować i podziwiać, a co najważniejsze, ślubuję, że będę cię kochać całym sercem i całą duszą, teraz i zawsze. Poruszę niebo i ziemię, żebyś mogła pławić się w luksusie, radości i spokoju. I uczynię wszystko, żeby na nasz dom spływała łaska. Pragnę, żebyś była bezgranicznie szczęśliwa.

Drżącymi dłońmi ujęła jego twarz.

- Tak bardzo cię kocham. Byłeś moim opiekunem i przyjacielem, moim mistrzem, kochankiem i moim bohaterem. Byłeś dla mnie wszystkim i nadal jesteś wszystkim. Byłeś i będziesz całym moim życiem. Cliff, jesteś moją miłością! - przerwała, żeby otrzeć łzy, on zaś pochylił się, by ją pocałować.

- Jeszcze nie skończyłam!

- Mów więc, proszę. - Uśmiechnął się czule. Nabrała dużo powietrza w płuca.

- Kocham Ariellę i Aleksa i pragnę być czułą i wyrozumiałą matką dla twoich dzieci. I... - zawstydziała się - ...chciałabym urodzić ci więcej dzieci.

- Tak bardzo tego pragnę - powiedział zdławionym głosem.

- Podczas tamtych strasznych wydarzeń, gdy miotałam się w rozpacz, zjawiłeś się ty... i oddałam ci serce. Jesteś moim królewiczem z bajki i nigdy nie przestanę cię kochać.

- Żadnych pocałunków, kapitanie! - zawołał Maclver, kiedy wzruszony Cliff pochylał się w stronę Amandy.

Wyprostował się zdziwiony. Nad ich głowami dobiegły z różnych stron wybuchy spontanicznego śmiechu.

- Zapomniałem - mruknął. - Proszę, zacznij ceremonię.

- Czy ty, kapitanie de Warenne, przyrzekasz czcić, kochać i opiekować się tą kobietą na dobre i na złe oraz dochować jej wierności, dopóki śmierć was nie rozdzieli?

- Przyrzekam - odpowiedział Cliff, biorąc Amandę za rękę.

- Czy ty, Amando Carre, przyrzekasz czcić, kochać i opiekować się tym mężczyzną na dobre i na złe oraz dochować mu wierności, dopóki śmierć was nie rozdzieli?

- Przyrzekam - powiedziała drżącym głosem.

- Z mocy nadanej mi jako kapitanowi tego statku ogłaszam was mężem i żoną - zagrzmiął Mac.

Cliff włożył jej piękny pierścionek na palec, a kiedy objęli się, cała załoga huknęła gromkie „hurra!”.

## **Epilog**

### ***Windhauen, Irlandia***

Bal rozkręcał się na dobre. Pierwszy bal wydany przez sławnego kapitana de WARENNE'a. Do domu, który zbudował dla żony, przybyli wszyscy z trzech sąsiednich hrabstw. Dwór, położony dwie godziny jazdy od Adare, wznosił się na klifach górujących nad morzem. Z zewnątrz bardziej przypominał francuski pałac niż irlandzką wiejską posiadłość. Wnętrze było wręcz szokujące - wystrój stanowił eklektyczną mieszankę Orientu, Karaibów i Europy, a meble pochodziły ze wszystkich zakątków świata. Plotkom i komerażom nie było końca, ale przecież nikt się nie spodziewał, że największy kobieciarz i awanturnik swoich czasów ożeni się, a do tego z miłości. Jeśli wierzyć pogłoskom, de WARENNE nie tylko wznosił tak wielką rezydencję na dowód swej dozgonnej miłości, ale także przepisał cały majątek na żonę.

- Tworzą wspaniałą parę - trajkotała wiekowa matrona, baronowa O'CONNELL. - On jest najprzystojniejszym mężczyzną w Irlandii, a ona to wcielenie wdzięku i urody!

- Idealna para! - przytaknęła przyjaciółka baronowej, hrabina MARION, śledząc przez monokl wirującą w walcu parę. Kapitan i jego żona znajdowali się sami na parkiecie, ponieważ był to pierwszy taniec wieczoru. - Jest świetnym tancerzem - skomentowała - ale uważam, że ona jest odrobinę lepsza. Oni nie tańczą, moja droga KATHERINE, ale płyną!

- Jakby tańczyli z sobą wiecznie. Jacyż są romantyczni! - Przez chwilę, kiedy na parkiecie pojawili się członkowie rodziny z hrabiostwem Adare na czele, obserwowała nowożeńców, którzy zachowywali się, jakby byli sobą nawzajem urzeczeni. - Są tacy zakochani. On nie odrywa od niej wzroku.

- No cóż, tak to już jest z mężczyznami w tej rodzinie. Kiedy spotykają prawdziwą miłość, niezależnie od skandalu, jaki towarzyszy temu spotkaniu, zakochują się raz i na zawsze.

A wspominając liczne niedawne skandale, łącznie z tym związanym z hrabią i hrabiną Adare, przyjaciółki się roześmiały. Albowiem dla nich wszystko to miało miejsce nie dalej jak wczoraj.

Baronowa zniżyła głos do szeptu.

- Dotarła do moich uszu najbardziej absurdalna i głupia plotka.
- Och, proszę, Katherine, zamieniam się w słuch.
- Słyszałam, że pani de Warenne jest córką pirata!

Hrabina zamrugła, a po chwili zaczęła się śmiać do wtóru z baronową.

- Spójrz na nią, jest uosobieniem elegancji! Wszystkie młode damy mogą tylko marzyć o takiej urodzie i gracji. Córka pirata. Niemożliwe!

- Zgadzam się w pełni - zachichotała baronowa. - To po prostu niemożliwe!